

CZYTELNIĄ

NA DŁUGIE WIECZORY

II.

ZBIÓR CZYTANEK Z „GOSPODARZA“ KALENDARZA DLA RODZIN POLSKICH NA ROK 1906.

Ułożył M. Brzeziński.

WŁASNOŚĆ
Towarzystwa
„POLSKA MACIERZ SZKOLNA“

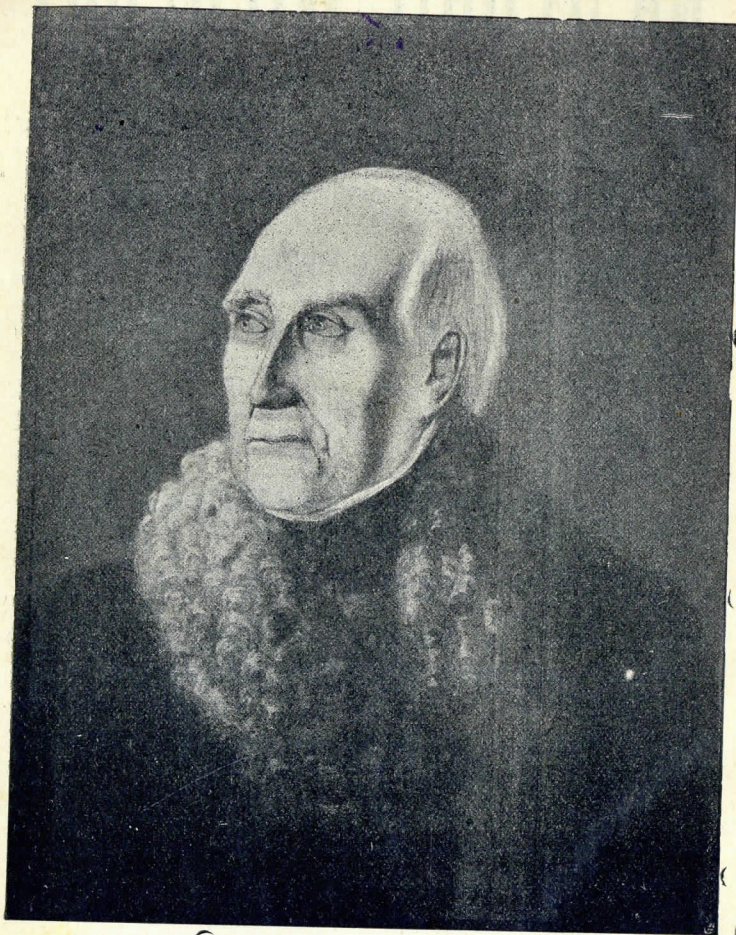


WARSZAWA.

Skład główny w „KSIĘGARNI POLSKIEJ“ Warecka 14.

DRUK JÓZEFA SIKORSKIEGO, WARECKA 14

1906.



Stanisław Staszyc.

Urodził się w r. 1755-ym; zmarł w r. 1826-ym.



884-82



Czytania miesięczne.

1. Styczeń.

Zadania gminy w zakresie uzdrowienia naszych wsi i miasteczek.

Sprawa podniesienia zdrowotności naszego kraju jest pilną i palącą potrzebą. Jest to jedyny sposób opanowania całego szeregu groźnych chorób, które rok rocznie pochłaniają dziesiątki tysięcy ofiar, stając się dla wielu rodzin przyczyną zmartwień, żałoby, a często i upadku majątkowego.

Dawnemi czasy, gdy nauki stały na niskim stopniu rozwoju, gdy nie umiano wytłomaczyć przyczyny powstawania i przenoszenia się wielu rozmaitych chorób, człowiek był zupełnie bezsilny wobec tego strasznego wroga. W ostatnich kilkudziesięciu latach wiedza lekarska została wzbogacona nowymi niezmiernie doniosłymi odkryciami, dzięki którym walka z chorobami stała się znacznie łatwiejszą.

Po stwierdzeniu, że przyczyną ogromnej większości chorób są drobne, niewidzialne gołym okiem zarazki, które, dostając się do ciała ludzkiego, wywołują zapalenie pewnych jego części, zdołano wynaleźć skuteczne środki dla pokonania już rozwiniętych chorób, a co ważniejsze, uzyskano możność usuwania ich przyczyn. Chorobotwórcze zarazki rozwijają się najłatwiej i najlepiej na gnijących resztkach zwierzęcych i roślinnych, w brudzie, kale, śmieciach, zepsutej i zanieczyszczonej wodzie. Niszcząc te siedliska zarazków, usuwamy źródło wielu chorób; czystość i porządek są najskuteczniejszymi sposobami ich zwalczania.

Nauka lekarska uzyskała więc środki, zapomocą których można w znacznym stopniu obezwładnić tego wroga człowieka. Idzie teraz o to, żeby dobroczynne zdobycze wiedzy dotarły do najszerszych warstw ludności, żeby wszyscy zrozumieli, w jaki sposób można i należy go zwalczać. W krajach zachodniej Europy, gdzie oświata stoi na wysokim poziomie, gdzie ogół ludności doszedł do przekonania, że trzeba pracować nad podniesieniem zdrowotności kraju, gdzie właściwe władze przychodzą

z życzliwą i rozumną pomocą, ludzie chorują rzadziej i śmiertelność zmniejsza się stale. U nas śmiertelność jest znaczna, a choroby, zwłaszcza zakaźne, panują z całą siłą. Według urzędowej rachuby na 1000 mieszkańców, zasięgających porady lekarskiej w gub. Królestwa Polskiego, przypada 196 ludzi dotkniętych chorobami zakaźnymi; z tej liczby 30 osób umiera. W guberniach Cesarstwa, posiadających ziemstwa, na tą samą ilość przypada 270 chorych zakaźnych, umiera 6. Szczególnie wielką ilość ofiar porywa ospa, szkarlatyna, dyfteryt i odra, a więc zakaźne choroby dziecięce. Gdyby, przypuszczając błędy w zestawieniach rachunkowych, zmniejszyć cyfrę, wyrażającą śmiertelność z powodu chorób zakaźnych u nas do połowy, to i tak przewyższa ona jeszcze znacznie śmiertelność w ziemskich guberniach Cesarstwa.

Te smutne cyfry nie mogą jednak dziwić tych, co znają stan naszych wsi i miasteczek pod względem zdrowotnym. Nizkie, ciasne i ciemne izby, z zimną, wilgotną podłogą z ubitej gliny, nieprzewietrzane należycie przez rok cały, bo okien bez zamków i zawiasów otwierać nie można—oto miejsce zamieszkania ogromnej większości naszego ludu wiejskiego. W takiej izbie śpi, gotuje, je, pracuje i bawi się cała rodzina, licząca zwykle 4 do 6 osób, a na noc z obawy przed złodziejami chowa się do tej samej izby kury, świnię, a u zamożniejszych i cielę. W takich pomieszczeniach rodzą się, żyją i umierają ludzie skazani na to, że w mieszkaniu swym nigdy nie mogą odetchnąć świeżym powietrzem, bo jest ono tak przesycone smrodliwymi wyziewami, że zapalona lampa nie może się często palić. Dom mieszkalny znajduje się zwykle przy drodze. Przed progiem leży kupa śmiecia, wyrzucanego z izby przez gospodynię; wywożą je raz w rok na wiośnię. Na drodze przed domem doły i wyboje, zamieniające się w czasie deszczu w ogromne kałuże obrzydliwego błota; jest to zwykle miejsce zabaw małoletnich dzieci. Brak miejsc ustępowych, bliskie sąsiedztwo chlewów swińskich dopełniają całości obrazu przeciętnych mieszkań służby folwarcznej, lub ściśniętej, zbitej na kupę wsi, zamieszkałej przez ubogich małorolnych włościan.

We wsiach rozkolonizowanych, złożonych z zamożniejszych gospodarzy, domy mieszkalne są obszerniejsze i lepiej urządzone; i tu jednak spotykamy zwykle na środku podwórza o kilka kroków od sieni niczem nieogrodzone zagłębienie, przeznaczone na gnojowisko i śmietnik; zbiera się tam obficie woda deszczowa i całymi tygodniami paruje powoli, zakażając stale powietrze w obrębie całej osady.

Pomimo takiego karygodnego lekceważenia najprostszych wymagań higieny,^{*)} zdrowotność na wsi jest wyższa, niż w mie-

ście. Naturalne warunki życia wiejskiego, a więc przestrzeń, obfitość powietrza i światła, duża ilość drzew i zieleni, oczyszczającej w czasie lata powietrze, równoważą do pewnego stopnia nieporządek i niechlujstwo człowieka. Stokroć gorzej jest po małych miasteczkach.

W miasteczkach na małej przestrzeni mieszka stosunkowo znaczna ilość ludności, składającej się w przeważnej części z żydów, którzy jeszcze mniej, niż nasz lud, liczą się z wymaganiami higieny. Brak śmietników, zlewów i miejsc ustępowych, stopy śmieci i kałuże błota na ulicach, brudy w piekarniach i rzeźniach, nieporządek w sklepikach spożywczych, brak łaźni i szpitalów—oto lista głównych grzechów przeciwko zasadom zdrowotności. Dodajmy jeszcze, że w każdym miasteczku lub bezpośrednim pobliżu znajduje się staw lub rzeka, które służą za miejsce wywózki śmieci, odpadków, oraz wszelkiej padliny, a nieobwałowane, w czasie wiosennych roztopów wylewają szeroko, zamieniając całą okolicę w jedno wielkie trzęsawisko.

Większość wsi i miast nie posiada dobrej wody do picia, bo studnie płytkie i nieogrodzone, położone tuż przy domach i gnojowiskach, zasilane wodą zaskórną, zawierającą mnóstwo szczątków zwierzęcych i roślinnych, same przez się są znakomitym źródłem zarazy.

Dla podniesienia stanu zdrowotnego wsi i miasteczek robi się u nas bardzo mało. Pracują nad tym według sił i możliwości towarzystwa hygieniczne; słyszymy coraz częściej, że grono ludzi dobrej woli zakłada tu i owdzie łaźnię, ochronkę lub szpitalik, ale jest to dotychczas praca jednostek lub pewnych grup, praca raczej dobroczynna, nie dostająca do rozmiarów szerokiej działalności społecznej. Cała ta praca jest kroplą w morzu wobec istniejących potrzeb i popłynie ona szerokim korytem wtedy dopiero, gdy ogół cały zrozumie, że o podniesieniu zdrowotności kraju należy myśleć poważnie. Działalność ta i dzisiaj mogłaby się szerzej rozwinąć, gdyby powołać do niej urządzenia, które mogą i powinny pracować na tym polu. Mam tu na myśli nasze gminy.

Powyżej przytoczone dane o rozpowszechnieniu chorób zakaźnych u nas i w guberniach Cesarstwa, które posiadają samorząd ziemski, stwierdzają, że te ostatnie stoją wyżej pod względem zdrowotnym. Nie można tego przypisać wyższemu poziomowi oświaty i lepszemu przestrzeganiu zasad higieny przez tamtejszą ludność; jest to w całości zasługa ziemstw, które zdolały zastosować z powodzeniem cały szereg środków dla podniesienia zdrowotności prowincji, oraz zaprowadzić łatwo dla wszystkich dostępną pomoc lekarską. Zadanie to może i powinna podjąć u nas gmina.

Gmina do dnia dzisiejszego nie robi nic na tym polu. Obowiązujące dla władz gminnych „przepisy o ochronie zdrowia pu-

*) Higiena—jestto nauka o zachowaniu zdrowia.

blicznego, wydane jeszcze w 1839 roku, są przestarzałe i nie odpowiadają dzisiejszym wymaganiom, a zresztą nie są i nie były należycie wykonywane.

W sprawie przymusowego szczepienia ospy obowiązuje dekret króla saskiego i księcia warszawskiego z 1811-go roku; według tego dekretu wójci gmin i sołtysi mają pilnie przestrzegać, żeby wszystkim dzieciom szczepiono dwukrotnie ospę. Sto lat blisko upływa od chwili wydania tego dekretu — pozostaje on do dziś dnia martwą literą.

Wobec tego mieszkańcy gmin powinni sami wziąć się do pracy. Na zebraniach gminnych należy uchwalić odpowiednie „przepisy zdrowotne” obowiązujące dla ogółu mieszkańców. Zezwala na to ustawa gminna, ponieważ § 208 tej ustawy mówi, że zebranie gminne ma prawo „wydawać uchwały we wszelkich interesach gospodarskich i innych całej gminy dotyczących”. Wykonania tych przepisów nie można powierzać wyłącznie tylko wójtowi, który i tak jest obciążony nadmiarem obowiązków, a z drugiej strony nie posiada często odpowiedniego wykształcenia dla spełniania tych zadań. Zebranie gminne może więc wybrać w myśl § 205 ustawy gminnej dwóch światłych i rozumnych gospodarzy, którzy wraz z wójtem mogą stanowić „Radę zdrowia”.

Pierwszym obowiązkiem tej rady będzie ułożenie przy pomocy któregoś z okolicznych lekarzy „przepisów zdrowotnych”, zastosowanych do miejscowych warunków. Przepisy te mają być przedstawione do zatwierdzenia na najbliższym zebraniu gminnym. Gdy to nastąpi, gdy właściwe władze nie sprzeciwiają się temu, przepisy te nabierają mocy obowiązującej dla wszystkich mieszkańców gminy. Wybrana Rada oraz sołtysi mają przestrzegać wykonania tych przepisów. Celem niedopuszczenia do wykroczeń, zebranie gminne może uchwalić, że wójt w porozumieniu z pozostałymi członkami Rady ma nakładać kary do wysokości 1 rb. na tych, co pomimo napomnień nie wypełniają przepisów. Pieniądze, jakie wypływają z tego tytułu, tworzą oddzielny „fundusz zdrowia”, który w części może być użytkowany na bieżące wypadki w zakresie zdrowotnym, w pozostałej zaś gromadzi się celem użytkowania w przyszłości na pobudowanie łaźni, szpitala lub podobnego zakładu.

Przepisy zdrowotne muszą być ściśle zastosowane do miejscowych warunków i nie powinny nakładać na mieszkańców gminy zbyt wielkich obowiązków, bo nie mamy na to środków i lud nasz jest za mało oświecony. Trzeba zaczynać od rzeczy najprostszych, najłatwiejszych, których wykonanie nie wymaga zbyt wielkich kosztów i pracy. W przepisach tych powinny być uwzględnione następujące sprawy:

1) Studnie mają być odpowiednio głębokie i położone we właściwej odległości od budynków mieszkalnych, zdala od śmiet-

ników i gnojowisk; studnie z wodą złą i zepsutą powinny być zamknięte.

2) Śmiecie winny być wyrzucane do odpowiednich ogrodzonych dołów, zdala od mieszkań — podobnie i gnojowiska.

3) Drogi przed domami mieszkalnymi mają być brukowane; odpływ wody powinien być zabezpieczony.

4) W miasteczkach, oraz po wsiach, gdzie jest skupiona większa ilość ludności, jako to przy mieszkaniach służby folwarcznej, w nierozkolezowanych wsiach, mają być urządzone miejsca ustępowe.

5) Nad piekarniami i rzeźniami ma być ustanowiony nadzór.

6) Wszystkie dzieci mają podlegać dwukrotnemu szczepieniu ospy. Dla ułatwienia nadzoru sołtysi winni corocznie składać Radzie listę dzieci z każdej wsi.

Uchwalenie i wykonanie powyższych przepisów nie przedstawia trudności ani kosztów, a bezwątpienia dzielnie może się przyczynić do podniesienia zdrowotności naszych gmin.

J. Gościcki.

2. Luty.

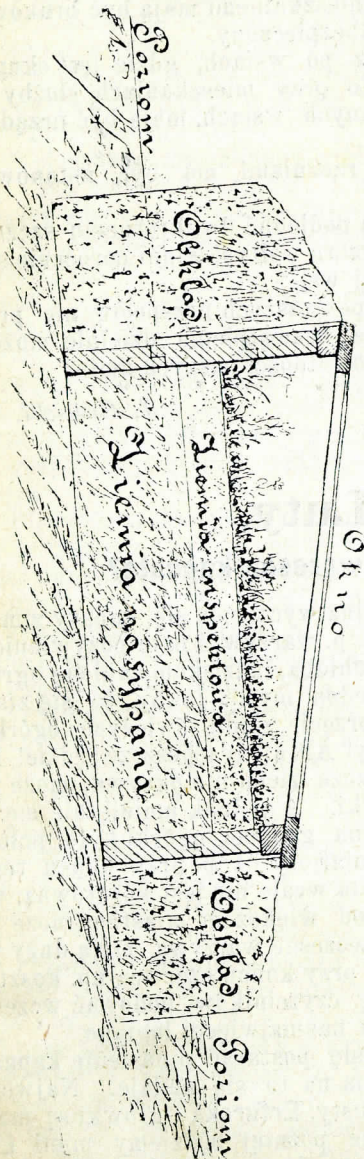
Jak wyhodować wczesną kapustę?

Na przednówku, kiedy to już wyczerpią się zapasy zimowe kartofli, kapusty, buraków i t. p. warzyw, i całe pożywienie na wsi składa się z kaszy, klusek, chleba, ludziskom ckną się ogromnie do świeżych jarzyn. Niejeden myśli: jakby to się zjadło podczas znoej pracy, przy sprzecie siana, świeżych ogórków lub kapuśniaku z młodej kapusty! Ale kiedy to jeszcze będzie! Kapusta niedawno posadzona, jeszcze ziemi nie okrywa, może pod koniec sierpnia będą małe główki. A jednak umiejętnie się do tego zabrawszy, można mieć na gruncie ogórki koło połowy czerwca, a kapustę, kalarepę, kalafjory i t. p. przy końcu tegoż miesiąca. Taka wczesna hodowla wcale nie jest kosztowną, wymaga tylko dołożenia starań; pod większym miastem może się nawet ogromnie opłacić, gdyż wczesne warzywa mają duży pokup: główka wczesnej kapusty przy końcu czerwca np. kosztuje 15—20 kop. — Tymczasem nauczę czytelników hodować wczesną kapustę, gdyż to warzywo jest u nas najwięcej lubiane.

Przedewszystkim trzeba się postarać o nasienie kapusty wczesnej, gdyż nie każda odmiana na to się nadaje. Najwcześniejszą wyda główki odmiana kapusty: **Erfurcka** — główki są małe, lecz ogromnie ściśle. Nie o wiele później będziemy mieli **Lipcówkę**; ta odmiana ma głowy duże, lecz nieściśle. W tydzień,

dziesięć dni po erfurckiej otrzymać można odmianę **Warszawską**; ta wydaje głowy duże i niezmiernie ściśle, uważana jest za najlepszą z wczesnych odmian **kapusty** głowiastej. W każdym składzie nasion tych odmian **kapusty** dostać można. Na potrzeby jednej rodziny wystarczy 1 łut, co kosztować będzie kilkanaście groszy. Koło 10 lutego przystąpić już trzeba do siewu wczesnej **kapusty**. Kto hoduje więcej, zasiewa od razu w inspekcji, po wejściu przesadza do drugiej skrzyni. W małej ilości, jak u gospodarza drobnego, lepiej będzie posiać w płaskich skrzynkach (trzy cale wysokości), trzymających następnie na oknie w mieszkaniu. W dniu takiej skrzynki robi się kilka otworów świderkiem dla odcieku wody. Otwory te zakrywa się skorupkami glinianymi, na to sypie się warstwę calową piasku grubego żwirkowego, na to dopiero ziemi żyznej, lecz lekkiej, przepuszczalnej. Nasionie siejemy niezbyt gęsto, tak, żeby każde ziarno leżało oddzielnie, przynajmniej co ćwierć cala jedno od drugiego. Nasionka przykrywa się ziemią lekką, troszkę przyklepuje ręką i tak pozostawia do wejścia; podlewać zupełnie nie trzeba. Skrzynki stać powinny na oknie bliżej szyby. W skrzynce takiej jednak nie długo rosnąć będzie mogła **kapusta**, trzeba ją będzie rzadziej rozsadzić; do tego najlepiej założyć sobie skrzynkę inspektową, co wcale nie jest trudne, ani zbyt kosztowne. Dla małej ilości wystarczy skrzynia jednooknowa, 5 stóp długa, 4 stopy szeroka.

Przekrój poprzeczny skrzyni inspektowej.



Zbudujemy ją z desek 12 cali szerokich i 1½ cala grubych. Okno samo robi się z lat 2 cale szerokich i 1½ cala grubych, jak to rysunek przedstawia. Prócz tego sporządza się ze słomy matę, sznurkami wiązaną, nieco większą od okna; nią skrzynia na noc się zakrywa.

Inspekt ogrzewany jest nawozem końskim, który ułożony grubszą warstwą, grzeje się, t. j. daje ciepło przez parę miesięcy. Na założenie takiej jednooknowej skrzyni potrzeba dobre dwie fury nawozu. W gospodarstwie jednak nawozu zawsze brak, więc i dwóch wozów ubytek dałby się uczuć, postaramy się więc o co innego. Potrzebne ciepło dla wyhodowania rozsady **kapusty** mogą wydać i liście złożone na kupę, a tych wszędzie przecież jest pod dostatkiem, trzeba je tylko wcześniej w jesieni ugrażyć i odpowiednio przez zimę przechować. Podczas pogodnej jesieni, kiedy liście opadły są zupełnie suche, trzeba ich nagrabić i złożyć gdzieś pod dachem, gdzie nie miałaby dostępu wody z deszczu lub śniegu, np. na strychu, nad obórką, stajnią, chlewem i t. p. Takie liście będą najlepsze. Na tydzień przed założeniem zdejmujemy je, układamy na większą kupę, unikając deptania, następnie zlewa gorącą wodą, okrywa dookoła słomą i tak pozostawia do czasu zagrzania się, co gdy nastąpi, przystępujemy do samego zakładania inspektu. Liście wilgotne, zebrane późną jesienią lub w czasie zimy, przechować można na dworze na płaskich kupach pół stopy tylko grubych. Do zagrzania złoży się je na kupę i okryje słomą; zlewać wodą nie trzeba, gdyż i tak są dosyć wilgotne, po kilkunastu dniach zgrzeją się. O ile śniegu niema, to i przed samem założeniem można liści ugrażyć i takie złożyć na kupę do zagrzania.

Skrzynkę taką zakłada się w miejscu zacisznym, zasłoniętym od północy, a wystawionym na działanie słońca przez cały dzień, nieco wywyższonym przytem, żeby woda nie mogła stanąć podczas roztopów, czy ulewnych deszczów.

Zakładać inspekt należy prawie jednocześnie z siewem w skrzynki, gdyż kilkanaście dni upłynie, zanim będzie on odpowiednio ogrzany do sadzenia roślinek.

Mając liście dobrze zagrzone, układamy z nich grzędę o dwa łokcie szerszą i dłuższą od skrzyni, a wysoką dwie stopy; deptać grzędę nie trzeba, ubija się tylko nieco widłami przy układaniu. Na tak założonej grzędzie ustawia się skrzynię tak, żeby była nieco ku południowi pochylona, poczym w środek skrzyni nakłada się pełno liści i wokoło obkłada się też liśćmi na łokieć szeroko, następnie kładzie się okno, przykrywa matą i tak pozostawia do ponownego zagrzania się liści, co nastąpi po kilku dniach. Wtenczas zdejmujemy okno, depce silnie liście, żeby zupełnie równo w całej skrzyni były utłoczone. Teraz sypimy ziemi 8—10 cali grubo, nakrywamy znowu oknem i matą, aby się ziemia zagrzała. Ziemia powinna już być w jesieni przygo-

towana, powinna być lekka, przepuszczalna, bardzo żyzna. Z wiórzyska dobrze przegniętego można zrobić doskonałą ziemię; przesiewa się przez rąkę, dodaje trochę piasku, składa na kupkę i na zimę okrywa liśćmi, aby nie zamarzła—takiej nasypujemy do skrzyni.

Po paru dniach ziemia w skrzyni zagrzeje się. Wtenczas matę zdejmujemy, okno uchylamy, żeby powstała para odparowania. Ziemię będziemy teraz codziennie przez trzy, cztery dni przerabiać szpadlem, a mniej więcej w siedm dni po nasyceniu można będzie rozsądę ze skrzynek przesadzić. Ziemię w skrzyni trzeba przedtem dokładnie urównać grabkami, następnie znaczny się rzadki co 1½—2 cali i na nich sadzimy rozsądę w takich samych odległościach. Sadząc, robimy dziurkę kołeczkiem, w nią wpuszczamy roślinkę aż po pierwsze listki, poczem kołeczkiem ziemię przy niej uciskamy. O ileby dzień był słoneczny, to po posadzeniu należałoby podlać rozsądę, w przeciwnym razie jest to niepotrzebne. Takie przesadzenie rozsady wypadnie na początku marca; wtenczas zwykle bywają jeszcze dnie zimne, a nawet i mroźne, trzeba więc bardzo ostrożnie przewietrzać skrzynię, aby roślinek nie zmrozić; za to podczas cieplejszych dni podnosimy wyżej okno, aby miała dużo świeżego powietrza. Na noc nakrywa się okno matą. Nie podlewamy zupełnie, chyba aż zacznie wędnąć rozsada, nie tak bowiem nie szkodzi rozsadzanie hodowanej w inspekcji, jak za dużo wilgoci: wtenczas łodyżki przy ziemi psują się i roślinki giną.

Przy końcu marca, gdy trafią się dnie ciepłe, zaczynamy okna na dzień zupełnie zdejmować, przynajmniej po parę godzin dziennie, żeby naszą rozsądę dobrze zahartować; później już i na noc się nie nakrywa. Sadzić na grunt można w połowie kwietnia, ale trzeba, żeby przez tydzień przynajmniej przedtem były okna już zupełnie z rozsady zdjęte. Gdyby w tym czasie trafiły się zimna większe, to lepiej na kilka dni sadzenie odłożyć.

Sadzić wczesną kapustę najlepiej w miejscu zacisznym, wystawionym na dobrą operację słońca, a niezbyt wilgotnym. Kawałek pod to wybrany powinien być nawieziony silnie w jesieni nawozem stajennym. Na wiosnę kawałek taki parokrotnie bronuje się dla wyniszczenia chwastów i przed samym sadzeniem orze na płasko w jeden skład lub przekopuje ręcznie, o ile tam z plugiem wejść nie można. Następnie całą kwaterkę bronuje się lub rozgrabia i na tym sadzi rozsądę kapusty przy sznurze. Zwykle o tej porze, t. j. w połowie kwietnia, rozsada, hodowana wyżej opisanym sposobem, już jest bardzo silna; wyrывая ją, unikamy łamania liści, co osłabia rośliny. Wymujemy ją z bryłkami ziemi i kładziemy ostrożnie w koszyk. Na gruncie wyciąga się sznur na pierwszy rząd, przy nim sadzimy rozsądę, co 1 łokieć, robi się dołek ręką lub kołkiem, zagłębia korzonki rozsady i do brzo uciska, by powstało koło rośliny zagłębienie. Po zasadze-

niu pierwszego rzędu sznur wyciąga się o łokieć dalej, sadzi przy nim rozsądę w taki sposób, żeby między dwoma krzaczkami pierwszego rzędu wypadł jeden drugiego, t. j. na zmianę w t. zw. „piatkę“. Tak posadzona kapusta najlepiej się udaje; na zagonach sadząc, tracimy dużo miejsca na bruzdy i najczęściej tem grunt zbyt szybko osuszamy.

Sadzić się powinno zaraz po przeoraniu w świeżą ziemię, wtenczas podlewanie po posadzeniu będzie zbyteczne. Odmiany o głowach dużych, jak: Warszawska i Lipcówka, sadzimy co 1 łokieć, a Erfurcka, jako wydająca mniejsze główki, co 18 cali.

W parę tygodni po posadzeniu przystępujemy do osypywania kapusty; z tą robotą nie trzeba zwlekać. Ukazujące się chwasty niszczymy, przytym całą powierzchnię wzruszamy motyką, krzaczki same ogarniamy ziemią aż po liście. Po kilkunastu dniach okopujemy drugi raz wyżej, również wzruszając ziemię i niszcząc chwasty. Po jakimś czasie robotę tę wypadnie jeszcze trzeci raz powtórzyć, żeby nasza kapusta była zawsze swobodna od chwastów i miała ziemię między krzakami pulchną; tylko wtenczas możemy otrzymać ładne głowy i wczesnie. Bardzoby też wpłynęło na dobry wzrost kapusty podłanie parokrotnie gnojówką, otrzymamy przez to większe głowy.

Zupełnie takim sposobem wyhodować można kalafjory wczesne, kapustę włoską (gotuje się ją na słodko), kalarepę, tylko tę ostatnią lepiej będzie zasiać odrazu do inspektu rzadko i nie przesadzać. Kalafjory posadzimy co 20 cali na gruncie, najlepsza odmiana na wczesny zbiór **Erfurckie karłowe**. Kapustę włoską posadzimy co 18 cali—najlepsza na wczesny zbiór **Ulmska** i **Wiedeńska**. Kalarepę obsadzić można grzedy z cebulą lub miedzy marchwią, pietruszką, gdyż niedługo będzie sprzątnięta i niewiele zabiera miejsca swemi liśćmi; na zbiór wczesny najlepsza **Wiedeńska biała**.

St. Brzóska.

3. Marzec.

Roboty wiosenne w sadzie.

Wczesnie na wiosnę, dopóki ziemia zamarznięta, a gospodarz rolny nie ma jeszcze zajęcia w polach, powinien zabrać się do oporządzenia drzew owocowych w sadzie.

Przedewszystkiem powinno się zebrać gniazda owadów, znajdujące się w zwojach suchych liści. W każdym takim zwoju zimuje kilkadziesiąt małych gąsieniczek motyli **Bielinka głogowca** lub **Białki rudnicy**, które, gdy się ociepli, wyłazą z gniazda i zaczynają objadać rozwijające się pączki kwiatowe i liściowe. Gniazda takie obcina się nożycami, osadzonemi na stosownie

długiej tyczce, zbiera i pali. Z młodszych drzew zdejmujemy wprost rękami.

Prócz tych zimuje jeszcze bardzo dużo jajeczek wielkiego szkodnika, **Pierścienicy** — złożone są zawsze w postaci pierścienia naokoło cienkich gałązek; połączone są te jajeczka twarłą masą tak, że trudno pierścionek taki rozerwać. O ile się dostrzeże taki pierścionek jajeczek, trzeba zbierać i palić; niszczy w ten sposób tysiące tych szkodników, gdyż z każdego pierścienia wylęgnie się parę setek żarłocznych gąsienic.

Następnie przystępujemy do przerzedzania gałęzi w koronie; w sadzie porządnie utrzymanym niewiele ich będzie do usunięcia, może parę, najwyżej kilka jakichś uszkodzonych; inaczej się przedstawia ta robota w sadzie zaniedbanym, gdzie od posadzenia żadna gałąź nie była usunięta. W takim sadzie roboty będzie dużo, każde drzewo to gęstwina gałęzi poplątanych, krzyżujących się między sobą, często połowę lub więcej gałęzi trzeba będzie usunąć. Drzewa tak zagęszczone rodzą owoce drobne, niekształtne, robaczywe, źle zabarwione, bo niema do nich dobrego dostępu światła. Jak wycinać gałęzie i które, opisałem już w krótkości w zeszłorocznym kalendarzu „Gospodarzu Polskim“ w opisie „Pielęgnowanie młodego sadu“. Dla czytelników, nie posiadających zeszłorocznego kalendarza, powtórzę jeszcze, że obcinamy gałęzie zawsze ostrą piłką ręczną, nigdy zaś siekierą, uciną się przy samej nasadzie, t. j. zgrubieniu, jakie się tworzy w miejscu, gdzie gałąź wychodzi z pnia czy drugiej gałęzi. Ucięcie zabliskie przy pniu daje ranę trudno gojącą się, znowu zadługo ucięta gałąź z pozostawieniem sęka spowodować może próchnienie tegoż i powstaną dziury w drzewie. Każda rana po ucięciu piłką, powinna być wygładzona nożem lub ośnikiem, a większe z nich, nad 6 groszy miedzianych, zasmarowane czy to maścią ogrodniczą, czy też pokostem, smołą, gdyż wystawiona na działanie powietrza goi się bardzo długo. Usuwa się z drzewa przede wszystkim wszystkie uszkodzone gałęzie, więc np. uschnięte, nadłamane, z rakiem, stoczone przez szkodniki i t. p. Następnie usuwa krzyżujące się ze sobą; z tych wybieramy do usunięcia zawsze mniejsze i mniej potrzebne, żeby po wycięciu ich nie zaduże luki powstały w koronie. Prócz takich usuwamy jeszcze gałęzie, za blisko drugih położone; tu również lepiej wycinać mniejsze, a większe zostawiać. Gałąź jedna od drugiej powinna być oddalona co najmniej 8, a lepiej 12 cali; liczy się nie w miejscu, z kąd gałąź z pnia wychodzi, lecz na skraju drzewa

Robota ta wogóle powinna być dokonywana z rozmysłem, nad każdą gałęzią trzeba się dobrze zastanowić, zanim utniemy, czy nie będzie jej później zanadto brakować, czy nie powstanie w tem miejscu zawiązka przerwa. Usuwa się też t. zw. wilki, są to silne gładkie gałęzie, rosnące zwykle prostopadle; kora na nich

bywa gładka, oczka rzadko osadzone. Najwięcej bywa wilków na drzewach starszych, słabych. Wycina się wszystkie nożem lub piłką gładko przy samej nasadzie. Niekiedy tylko zostawia się wilczek, a to gdy chcemy nim zastąpić jaką popsutą gałąź, gdyż każdy wilk po pewnym czasie zamieni się w owocującą gałąź. Odrastające od pnia przy ziemi t. zw. pijawki wycinamy również — odgarnia się ziemię i wycina gładko przy pniu lub przy korzeniach.

Wycinanie gałęzi powinno być ukończone przed końcem marca, dopóki drzewa nie zaczną się rozwijać, później mogłoby to im szkodzić. Wszystkie sęki, jakie mogą być na drzewach po źle uciętych lub ułamanych gałęziach, obcinamy piłką jak należy. Wszelkie rany, dziury, dziuple należy zaopatrzyć, żeby nie dopuścić do dalszego psucia się drzewa. Rany, powstałe z uszkodzenia kory, jak to po odgnieceniu, odbiciu lub przemarznięciu, trzeba tak zaopatrzyć: Najprzód wyciąć korę zepsutą aż do zdrowej, drzewo zepsute również wyciąć nożem lub dłutkiem, następnie całą ranę zasmarować maścią ogrodniczą, smołą lub gliną zmieszaną z krowieńcem i szerscią. Rany, powstałe z oddarcia konara, często się trafiające, należy wygładzić ostrym dłutkiem i nożem aż do zdrowego drzewa, korę zepsutą również wyciąć, poczem zasmarować. Dziuple trzeba wyskrobać, usunąć zupełnie części spróchniałe aż do twardego drzewa, poczem napełnić w to miejsce gliny zmieszanej z drobno potłuczonymi kamieniami doskonale ubić, wygładzić po wierzchu i przykryć jaką deszczulką lub blachą; dobrze też będzie dać na wierzchu warstwę cementu lub przynajmniej zaprawy wapiennej, aby powstała w tem miejscu stwardniała skorupa nie dopuściła wilgoci, co za tem idzie i gnicia w środku drzewa. Od tegoż również ma zabezpieczyć przykrycie zapchanej gliną dziury deską lub blachą.

Następnie trzeba się zabrać do oporządzenia samych pni; o ile kora na nich jest chropowata, to należy je oskrobać, co przy starszych drzewach uważać musimy za coroczną robotę.

Skrobać drzewo najlepiej strużkiem, zrobionym ze starego sierpa, zgina się go jak półokrągły ośnik bednarski. Skrobiąc, uważamy, żeby nie zacinać głęboko i nie odkrywać jasnej części kory. Skrobie się właściwie nie tylko pień, lecz i grubsze gałęzie, pokryte takąż samą korą. W szczelinach starej kory zimuje zwykle dużo różnych szkodliwych owadów lub też ich jajeczek, otóż, skrobiąc corocznie pnie, niszczy my miliony szkodników. Okruchy kory, odpadające przy skrobaniu, powinno się zbierać na rozłożone rogoże lub maty i palić, tem pewniej zniszczymy szkodników, niektóre z nich bowiem, opadłszy na ziemię, mogłyby powtórnie na drzewa powrócić.

Po oskrobaniu trzeba drzewa jeszcze obieleć mieszaniną dwóch części wapna, jednej części gliny siwej i jednej krowieńca. W becze czy dole odpowiednim lasuje się najpierw wapno, gdyż

najlepsze jest niegaszone, następnie dodaje się glinę, mięsza doskonale, a na koniec wrzuca się krowieniec i dalej mięsza. Wody dodaje się tyle, żeby mieszanina nie była zbyt gęsta, aby dało się nią drzewo malować. Maluje się zwyczajnym pędzlem szczecinowym lub z rogoży, osadzonym na dłuższym kiju. Bielimy nie tylko pień, lecz i wszystkie grubsze gałęzie, szczególnie te, które są mchem porośnięte, gdyż od tego wszelkie porosty i liszaje drzewne giną. Takie bielenie ma ogromnie dobry wpływ na wzrost i owocowanie drzew, prócz tego niszczyliśmy tem jeszcze dużo owadów głębiej siedzących w szczelinach kory—wapno zabija je. Można by i samym wapnem bielić, lecz dodatek gliny i krowieńca dopomaga do gojenia się ranom i nacięciom głębszym zdarzającym się przy najostrożniejszym nawet skrobaniu. Drzewa okryte mchem, co zdarza się często na cięższych wilgotnych ziemiach, najlepiej uwolnić od tego, skropiwszy wcześniej na wiosnę przed rozwinięciem się drzew całą koronę wapnem rozrzedzonym wodą.

Drzewa popsute, uschnięte, trzeba zupełnie z sadu wyrzucić; o ile po wykopaniu takich okaże się wolniejsza przestrzeń, to można posadzić na ich miejsce młode drzewka. Tylko trzeba wykopać w takim miejscu ogromny dół i silnie zaprawić nawozami. Lepiej na miejsce gruszy i jabłoni sadzić śliwy, wiśnie, czereśnie i przeciwnie śliwa po śliwie, grusza po gruszy gorzej rośnie. Drzewa zestarzałe, ale jeszcze zdrowe, nie spróchniałe, można by odmłodzić. W tym celu wcześniej na wiosnę, dopóki są drzewa w uspieniu, należy wszystkie gałęzie w koronie przyciąć t. j. skrócić o czwartą, a nawet i trzecią część długości. Przycięta się zawsze nad jakąś boczną gałązką. Ucięcie powinno być, o ile można, proste, tylko nieco ukośne, wtenczas mniejsza rana będzie do wygojenia. Po rozmarznieniu ziemi trzeba wokół tak przyciętego drzewa wykopać rowek na stopę szeroki i na dwie głęboki, trafiające się przytem korzenie wszystkie przecina się od strony drzewa gładko piłką i nożem. Rowek kopie się w miejscu, gdzie kończą się gałęzie po przycięciu. Rowek taki trzeba wypełnić dobrym zasilkiem, np. kompostem żyznym, wyskrobkami z pod nawozu lub szosy, drogi i t. p. Świeżego nawozu nie należy zakopywać głęboko, gdyż tak dany nie może się rozłożyć jak należy i wskutek tego niewiele znaczy. Nie mając kompostu, można naprędce przygotować mieszaninę dosyć dobrą z przegniłego wiórzyska, popiołu, wapna, starego nawozu, odchodów ludzkich. Wszystko to razem mięsza się, nasypuje w rowek do połowy tegoż i zlewa obficie gnojówką, poczem zagarnia do reszty rowek miejscową ziemią.

Po takiej podwójnej operacji, t. j. u korzeni i w koronie, drzewa zaczną silnie rosnąć i po paru latach zaczną rodzić owoc tak dorodny, jakby z młodych drzew pochodziły. Tylko w następnej wiosnę trzeba u takich drzew przerzedzić gałęzie, gdyż

gdyby wszystkie zostawić, otrzymalibyśmy korony zbyt zagęszczone.

Zasilku wymagać mogą i młodsze drzewa w sadzie, jeżeli tylko zauważymy na nich mały zeszłoroczny przyrost lub żaden, a wiemy przytem, że rodzą owoce drobne, niedobre, należy to bezzwłocznie zrobić. Zasiłać drzewa można różnemi nawozami naturalnemi i sztucznemi, lepsze są jednak i łatwiejsze w użyciu pierwsze z nich; na pierwszym miejscu postawimy końską mierzwę i bydłą. Nawóz może być świeży, rozrzuca się go pod obwód korony na parę cali grubo i zaraz przykopuje łopatą, tylko nie głęboko—na 3 do 4 cale najgłębiej. Na wsi najczęściej, jeżeli ktoś podmierzwia drzewa, to zakopuje nawóz tuż przy samym pniu—tu on prawie zupełnie jest zmarnowany, gdyż korzenie drzewa, biorące pożywienie, są zwykle umieszczone dalej od pnia, a najwięcej tam, gdzie kończą się gałęzie korony. Tak też więc i nawóz należy rozrzucać, żeby przy pniu nie kłaść a zato położyć dalej nieco (o parę stóp), niż sięgają gałęzie korony. Niezłym posiłkiem będzie gnojówka: kułkiem drewnianym lub żelaznym robi się dziury wkoło drzewa, także tam, gdzie się kończą gałęzie, i nalewa w nie gnojówki rozcieńczonej wodą. Zasiłek ten tylko na jeden rok służyć może, gdy dobre podmierzwienie obornikiem do trzech lat wpływ mieć będzie.

Ziemia między drzewami najlepiej jeżeli jest uprawiana i jak najczęściej spulchniana, a najgorzej jest zapuścić murawę, wtedy ona zatrzymuje w sobie wilgoć tak potrzebną dla drzew owocowych. tamuje też dobry dostęp powietrza do korzeni. Najlepiej więc sadzić w sadzie różne warzywa, krzaki owocowe, jak: agrest, maliny i t. p., które często nawozimy i ziemię między niemi utrzymujemy w czystości, w pulchności. Siał też można różne mieszanki, a nawet i zboże, tylko lepiej jarzyny. Przy samych drzewach nie należy siał — przynajmniej dwulokciowej szerokości paski powinny być wolne.

St. Brzosko.

4. Kwiecień.

O pełnomocnikach gminnych

Nie wszystkie gminy w guberniach Królestwa Polskiego korzystają z przysługującego im prawa wybierania dwóch pełnomocników gminnych, tymczasem urząd ten jest bardzo ważny, a obsadzony przez ludzi odpowiednich, pożytek gminie przynieść może.

Prawa i obowiązki pełnomocników *) określa: Najwyżej

*) Polecamy dla użytku pełnomocników bardzo pożyteczną książkę p. n. „Podręcznik dla pełnomocników gminnych“ ułożył Antoni Maryński. Cena 30 kop.

zatwierdzone postanowienie Komitetu do spraw Królestwa Polskiego z dnia 22-go grudnia 1879-go roku, oraz ustawa o „Organizacji Zarządu gub. Królestwa Polskiego“ z roku 1892-go.

Wśród urzędników gminnych pełnomocnicy zajmują wyjątkowe stanowisko, mianowanie ich bowiem zależy wyłącznie od zebrania gminnego i nie wymaga zatwierdzenia władzy administracyjnej (art. 240); z urzędu swego pełnomocnik nie może być usunięty władzą naczelnika powiatu, gdyż według art. 248, tylko wójt i pisarz władzy tej podlegają. Jedynie wtedy, gdy wybór przeprowadzony jest nieprawidłowo, lub gdy piąta część członków gminy zanieśie najdalej w ciągu dwóch tygodni od dnia wyboru skargę do naczelnika powiatu, ma ten ostatni prawo po sprawdzeniu słuszności skargi, zarządzić nowe wybory (art. 243).

Sam naczelnik ma również prawo zakwestjonować prawomocność wyborów (art. 242).

Z powyższych przepisów wynika, że pełnomocnicy mają poważne stanowisko w gminie; o pożytku ich przekonamy się, rozpatrzywszy zakres działalności, przepisanej im przez prawo.

Według art. 230 ustawy gminnej pełnomocnicy mają obowiązek: 1) postanowić rozkład podatków skarbowych i gminnych łącznie z wójtem i sołtysami pod wspólną odpowiedzialnością w tym wypadku, gdy tego nie dokona zebranie gminne; 2) współdziałać z wójtem gminy w sprawach, dotyczących się pożytku ogólnego i gospodarstwa gminy; 3) naznaczać pisarza gminnego po porozumieniu się z wójtem i sołtysami w tym wypadku, jeśli pisarza nie naznaczy zebranie gminne; 4) sprawdzać fundusze gminne i poświadczać księgi rachunkowe łącznie z wójtem i pisarzem na zasadzie oddzielnych przepisów.

Pełnomocnicy mają zatem przede wszystkim prawo kontroli nad całą działalnością urzędu gminnego, ich zadaniem jest czuwanie nad prawidłowością biegu interesów gminnych.

Gdyby we wszystkich gminach byli wybierani pełnomocnicy, nie dopuściliby oni do nadużyć, które obecnie niestety często się dzieją.

Prócz tego wklada na pełnomocników ważne zadanie punkt drugi wspomnianego wyżej artykułu, rozwinęty obszerniej w art. 218 ustawy gminnej, który brzmi jak następuje: „Wójt gminy winien naradzać się z pełnomocnikami i sołtysami i wyzwać ich do wspólnego ze sobą działania we wszystkich w artykule 216 ym wymienionych sprawach, a w szczególności w tych, które dotyczą ogólnego zagospodarowania i dobra gminy, jako to: rozkładu między mieszkańców stosownie do artykułu 208-go powinności gminnych, lub ogólnych wydatków na rachunek gminy zarządzanych; rozkwatowania wojsk, dostarczania podwód, transportu wólczegów, odbicia szarwarków i innych gminnych posług, jak niemniej utrzymania w dobrym stanie dróg, mostów,

grobli i t. p., oraz opieki nad ubogimi, sierotami i dotkniętymi kalectwem i chorobą“.

Wyżej wymieniony artykuł 216-ty zawiera wyliczenie obowiązków wójta, wynika więc z tego, że pełnomocnicy gminni są przeznaczeni do tego, by, obok kontroli nad wójtem, zajmowali się niesieniem mu pomocy we wszystkich jego pracach i obowiązkach.

Ponieważ zaś wójt ma, jak ogólnie wiadomo, bardzo liczne i trudne obowiązki, pożądanym by było, by miał stałą pomoc w osobach pełnomocników gminnych.

Zebrania gminne są zbyt wielkimi zbiorowiskami ludzi i odbywają się w zbyt niewygodnych warunkach, by można na nich dokładnie się naradzić nad zawikłanymi często sprawami; dlatego też dobrze by było, gdyby przed każdym zebraniem wójt zapraszał pełnomocników i sołtysów na naradę nad porządkiem dziennym zebrania. Wszelkie sprawy byłyby wówczas przygotowane i mogłyby być skuteczniej załatwiane. O porządku dziennym zebrania winni być gminiaci zawiadamiani przez sołtysów, ażeby mogli się zawczasu zastanowić i naradzić i przyjść na zebranie z wyrobionym zdaniem co do tych spraw, które poruszane być mają.

Z tego, cośmy wyżej powiedzieli, wynikają zatem wnioski następujące:

- 1) każda gmina winna wybrać dwóch pełnomocników gminnych;
- 2) wójt winien zapraszać co pewien czas pełnomocników i sołtysów na narady nad sprawami gminy; narady takie powinny się bezwarunkowo odbywać przed każdym zebraniem gminnym;
- 3) porządek obrad zebrania powinien być przed zebraniem za pośrednictwem sołtysów rozesłany do wszystkich wsi.

St. Kozicki.

5. Maj.

Torf, jako opał i ściółka.

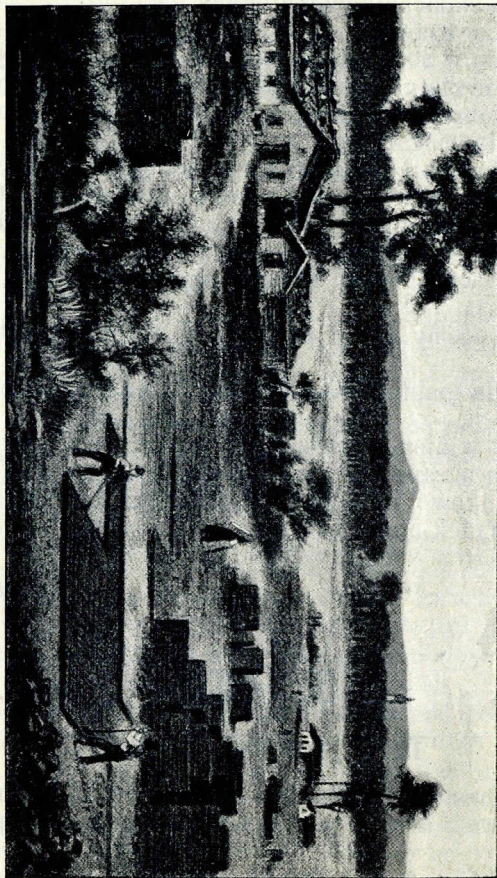
Gospodarstwo, w którym mieści się łąka torfowa, może znaczny dawać dochód przez zużycie torfu na opał, albo na ściółkę.

Pokłady torfu pod darnią bywają rozmaite. Bywa torf zbity, twardy, w którym korzonki mchów i innych roślin, tworzących torf, są jeszcze widoczne, ale już zwęglone; torf taki jest na opał najlepszym—zwłaszcza gdy zawiera części niepalnych, ziemistych mało, a więc po spaleniu nieznaczną ilość popiołu pozostawia.

Drugi znowu torf, **mechaty**, powstały z mechów i wodorostów w wodzie układających się, ma małą wartość jako materiał opałowy, ale zużyty być może na ściółkę.

Te dwa rodzaje torfu nie leżą w warstwach równych, tylko najczęściej na dnie jest torf zbity, bo starszy, dawniej leżący pod wodą, a po nad nim leżąca, a czasem pływająca, warstwa torfu mechatego. Pomiedzy temi dwoma rodzajami torfu, najstarszym i najmłodszym, bywają na łakach pokłady torfu średniego.

TORFIARNIA.



Zanim więc gospodarz rozpocznie rozumne wyzyskiwanie łaki torfowej, powinien pokłady rozpoznać tak co do głębokości, jak co do dojrzałości torfu, aby wiedział, w jaki sposób rozpocząć wydobywanie torfu i na co on się zda,—na opał, czy na ściółkę.

Głębokość pokładów torfu poznać łatwo. Jeżeli torf leży na łące nie pokrytej wodą, można odrazu próbować prostą gładką tyczką odpowiedniej długości.—Jak głęboko tyczka wsuwa się z łatwością, tak głęboko leży pokład torfu. Głębokość ta bywa bardzo rozmaita. Zdarza się głębokość na 3 stopy, a bywa także pokład torfu 18 stóp głęboki. — Jan Glinojcki, pierwszy u nas badacz torfowisk, zbadał 186 miejscowości, w których 27 tysięcy morgów torfowisk obejmuje 82 miliony sążni sześciennych torfu.

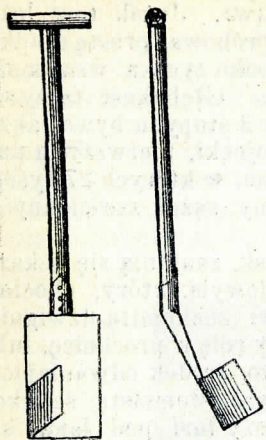
Prócz odszukanych wówczas torfowisk, znajdują się w każdej okolicy łaki kwaśne z podkładem torfowym, który, chociaż nie zawsze na opał jest zdalny, stanowi znakomitą dźwignię w gospodarstwie jako nawóz wzbogacający rolę w próchnicę, lub, w przeróbce na proszek, przydatny jako środek odnawiający w stajniach i jako ściel torfowa, zastępująca słomistą ściółkę.

Poszukiwania, w jakiej głębokości leży torf pod łąką, są pierwszym warunkiem dalszej roboty z torfem. W istocie, jeżeli torf leży na 5—6 stóp głęboko i woda ma odpływ należyty, to, niezależnie od tego, jaki jest torf, czy zlegnięty, częściowo zwęglony, a więc zdalny na opał, czy też—mechaty, młody, który na ściel torfową przerobić wypadnie,—warto odrazu wziąć się do kopania torfu we wczesnej wiosnie na opał, a jesienną—na ściel.

Jeżeli zaś warstwy torfu są głębsze i torf uznano w próbach dobytých wśród lata do możliwej głębokości ręcznie, jako zdalny na opał, gdy w torfie niema zawad, jak kamienie, korzenie, pnie drzew i t. p., można sprowadzić maszynę do kopania torfu. Dostarczy takiej maszyny fabryka lub skład maszyn Cegielskiego w Warszawie, systemu Rossowskiego, która to maszyna dobywa torf z słupach i pozwala odbierać sześciennie stopy torfu robotnikowi, stojącemu na suchej powierzchni. Maszyna taka kosztuje drogo, ale opłaci się ją sprowadzić, jeżeli sąsiedzi posiadają taki sam torf w większych przestrzeniach działków włościańskich i założą razem towarzystwo kopania torfu, bądź na własny użytek, bądź na sprzedaż.

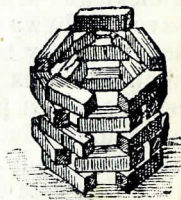
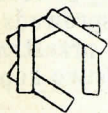
Jak ustawić maszynę, jak jej zażywać, aby dobyć torf do dna i należyte wysuszyć, wskazuje instrukcja drukowana, dodawana w kilku egzemplarzach do każdej maszyny. Czy ręcznie, czy maszyną, kopanie torfu należy rozpoczynać zawsze od granicy sąsiada wpodłuż łaki, a to z tego powodu, ażeby można po wybraniu torfu wysuszyć go na swojej łące, a utworzone tym sposobem jezioro, czy staw, zarybić.

Inaczej postępować musi gospodarz, który na małym działku łaki włościańskiej przekona się próbami, że ma torf rozmaity, ale w pokładach niegłębokich. Prawie w każdym położeniu łaki włościańskiej wypadnie kopanie torfu ręcznie najkorzystniej. Pierwszy rów wytykamy dokładnie w najniższym położeniu łaki, o ile można przy samej granicy sąsiada; dalej rozciągamy



Szpadle do ręcznego rżnięcia torfu.

warstwy torfowej, przeznaczonej do suszenia, była grubość jej wszędzie równą. Teraz pozostawia się taką warstwę w czasie pogody dzień lub dwa i zaraz, gdy woda wsiąknie, kraje się torf obeschnięty odpowiednim do tego nożem na trzonku osadzonym, pchając nóż ten z góry na dół prostopadłe. Robotnik krający stoi na tym torfie i cofając się, kraje torf w cztero-calowe płyty. Tak przechodzi robotnik całą warstwę przesuszonego torfu i kraje bez przestanku dostatecznie przesuszony zapas.



Układanie cegiełek torfowych dla wysuszenia.

Inny robotnik znowu przewraca płyty torfu i kraje każdą z nich na cegiełki. Te zaś dzieci odrazu ustawiają w kraczki.

Gdy już te cegiełki nazajutrz przy pogodzie steżały, przestawiają je chłopcy wyżej w kraczki w ośmiu cegiełkach; a gdy takowe wyschną należyście, bierze je robotnik na taczki, odwozi do szopy, na twardym gruncie w pobliżu wystawionej, i miejsce tym sposobem z torfu uprzęta.

Jeżeli tak już do końca rów wybrano, można zwrócić się do owego najniższego punktu i tu znowu rów wybierać.

Za takim prawidłowym postępowaniem przemawia to, że po wybraniu torfu zpod całej łąki można, jeżeli stosunki sąsiedzkie na to pozwolą, spuścić wodę tak, ażeby dno torfowiska zamienić na kapustniki. Jeżeli zaś woda spuścić się nie da, to utworzy się na torfniaku staw, w którym ryby hodować można, zasadzić trzcinę lub pozostawić na nowe torfniaki. Po 5-ciu latach narosnie znowu torf mechowaty w wodzie stojącej.

Inaczej postępuje się przy dozywaniu torfu maszyną Rosowskiego. Tu wydobyty z wody torf odbiera się z maszyny w stopowych sześciach, odwozi się na kolejce, przy maszynie przytwierdzonej, na łąkę i układa się w proste rzędy. Przeschnięte sześciaki kraje się nazajutrz na cegiełki nożem przez fabrykę do maszyny dodawanym. Cegiełki układa się w kraczki po 3, nazajutrz po 5 przestawione, a przeschnięte lepiej ustawia się po 8 do ostatecznego wysuszenia.

Torf maszynowy w wysuszonych cegiełkach składa się w sążnie dachowato ułożone wprost na łące, aby te sążnie po wyschnięciu sprzedawać można obcym, lub zabierać je do schowku na opał w gospodarstwie.

Na zimę torfu w cegiełkach na łące zostawiać nie można, gdyż zmoknięte, a później zmrożone, rozsypią się na proszek.

Inne sposoby przygotowania torfu na opał, jak prasowanie, przepalanie torfu na koks i różne techniczne przetwory wchodzą w całą Europie i Ameryce w użycie.

Włościanin, mający łąkę torfiastą, nie powinien lekceważyć tej kopalni, mogącej mu dać złoto. Jeżeli nawet się pokaże przy poszukiwaniach, że torf jest mechowaty, luźny, niedojrzały, lekki, na opał niezdatny, to, czyby on leżał w wodzie, czy na suchej łące, zawsze go warto dobyć i na ściółkę torfową przerobić.

Torf mechaty, a nawet torf w płytkiej warstwie pod darnią leżący, chociażby już był dojrzały, dobywa się w ten sposób, że rów wytyka się ponad granicą w prostej linii, darń zbiera się na taczki, odwozi w pewne oddalenie od rowu i składa w duże kupy na łokieć wysokości, aby je przerobić na kompost.

Torf zaś przeznaczony na ściel wyrzuca się z trzyłokciowego rowu na brzeg i tak się pozostawia przez zimę, ażeby mróz wszystkie cząsteczki przejął, skruszył i rozłożył.

Tak zmacerowany przez zimę, a wiosną obeschnięty torf, zgrabia się zwierzchu, o ile obsechł, na grobelki i zabiera za pogody do składu w gumnie lub podwórzu.

Następnie można pozostały torf broną wpodłuż poruszyć i wysuszonego proszek do gumna zabrać.

Czynność tę powtarzać, dopóki się wszystkiego przemarzłego torfu i utworzonego suchego proszku nie zabierze; po oczyszczeniu zaś łąki, która pod torfem leżała, należy ją zawlec, urów

nać przed 5-tym Wojciechem, a jeszcze na niej albo pokos trawy, albo pastwisko urośnie.

Gospodarz, posiadający łąkę z torfem na ściel odpowiednim, powinien zawsze mieć na pamięci, że tylko sucha ściel torfowa jest do przykrywania obornika przydatną.

Kto opala torfem, wie, że nigdy miał torfowy, jaki z okruszyn się utworzy, spalić się nie da, bo się pod blachą dusi, swędzi, dymi i ciepła nie daje. Wszelkie więc okruszy torfowe, których spalanie sprawia trudności, można cepami przemłócić, a użyte skany przez to suchy miał torfowy rozsiewać pod chudobę w stajence; w ten sposób gospodarz zapobiega ułatwianiu się amoniaku z gnoju, a tem samem obornik w azot wzbogaca.

Każdy jednak miał, czy proszek torfu musi być zupełnie suchy i odpowiednio rozdrobiony, jeżeli ma jako ściółka wessać gnojówkę i wchłonąć uloty, w gnoju się wywiązujące; nakrycie bowiem obornika niedosyć suchym torfem zakwasza gnój, a tym samym powoduje szkodliwy rozkład obornika.

A. Śniegocki.

6. Czerwiec.

Roje naturalne i sztuczne.

Pasiekę pomnażamy dwoma sposobami: albo pozwalając się pszczołom roić, lub też samemu robiąc roje sztuczne. Jak jeden, tak i drugi sposób ma swoje zalety i wady. Roje naturalne wychodzą często tak późno, że osadzone roje nie mają czasu przed zimą się obrobić. Ogromnie też przeszkadza w pracy pszczołom pień, mający się roić: już na jakiś czas przedtem i w czasie samej rójki prawie przestaje pracować, co zabiera razem 2—3 tygodnie czasu, często najlepszy czas zbiorów zmarnuje się przez to. Pozwalając się roić, trzeba pasieki przez kilka tygodni pilnować, ile więc przez to czasu tak drogiego wtedy się marnuje! Za dobre rojom naturalnym to tylko poczytać należy, że wychodzą u pni odpowiednio silnych, dojrzałych niejako do tego, gdy sztuczne, rozrajać, robić można z pni słabych, przez co początkujący pasiecznik prędzej może pszczoły zgubić. Robiąc roje sztuczne, nie potrzebujemy pasieki pilnować, gdyż, umiejętnie gospodarując, nie pozwolimy na wyjście rojów naturalnych. Robić je możemy w czasie dlatego najodpowiedniejszym, pszczoły nie bałamuca się rójką, nie próżnują. Za wadę ich największą uważać można to, że zbyt łatwo je robić. To też każdy początkujący, chcąc jaknajprędzej dojść do większej pasieki, robi jaknajwięcej rojów, nie zważając, czy są odpowiednio silne i czy tym nie osłabi zanadto pnia macierzystego.

Przyjrzyjmy się najpierw, jaki przebieg ma zwykle rójka naturalna. Pień pszczoł, doszedłszy do siły, o ile przytym trwa dobry wziątek w polu, zaczyna od tego przygotowania do rójki, że buduje dużo komórek trutowych, matka wkłada w nie jajeczka; jak już trutnie z nich wyszły są zakryte, budują pszczoły kilka większych komórek na wychów matek młodych. Matka składa w nie jajeczka niejednocześnie, lecz po parę dziennie przez kilka dni. W dwa dni po zakryciu takiej komórki, t. zw. matecznika, z najstarszą z młodych matek, — wychodzi stara matka z rojem, jako rój pierwak. Dlatego też w pierwszym roju z ula jest zwykle tylko jedna stara matka. W sześć dni po wyjściu pierwaka wychodzi z matecznika najstarsza matka. Pierwszą jej myślą jest pozabijać inne matki, jeszcze siedzące w matecznikach; o ile pszczoły już nie chcą więcej roić się, to jej na to pozwolą, a nawet same dopomogą; w przeciwnym razie obsiadą matecznik, i nie dopuszczą do nich matki. Rozzłoszczona matka biega po ulu i odzywa się: ti, ti, ti. W matecznikach już są zwykle matki też dojrzałe, tylko w obawie biegającej najstarszej nie wychodzą, na jej gniewne wołanie odzywają się: kwa, kwa, kwa, co nazywa się śpiewaniem matek. Wieczorem nawet o parę kroków od ula można to doskonale słyszeć. W trzy dni po wyjściu z matecznika, a w dziewięć po pierwaku, wychodzi ta matka z rojem, zrezygnowawszy z zabicia swych rywalek, jako t. zw. družak. W zamieszaniu, jakie wtenczas panuje w ulu, młodsze matki pośpiesznie wygryzają się z mateczników i równie wychodzą z rojem, dlatego też często w drugim roju spotkać możemy parę matek. O ile pszczoły mają ochotę, to w trzy dni po družaku wychodzi trzeciak, a mogą nawet wyjść jeszcze czwartak i piątak — te już dzień po dniu wychodzą. Na to jednak pozwolić nie można, najwyżej dwa roje z ula wziąć można, a lepiej jeden, później rójkę powstrzymać.

Jeżeli w czasie odpowiednim dla rójki któremu pniow matka zginie lub zostanie zabrana, założy on mateczniki. W dzień dni mniej więcej potem wyjdzie najstarsza matka z matecznika, będzie usiłowała zabić drugie matki; o ile jej pszczoły nie pozwolą na to, powtórzy się znowu śpiewanie matek, jak przed rojem družakiem, i w trzy dni później, a 13-go lub 14-go dnia od zabrania starej wydzie najstarsza matka z rojem. Taki pierwszy rój z ula z matką młodą nazywa się „Pierwak śpiewak“. Roje z matkami starymi wychodzą najczęściej w godzinach: południowych między 11-ą a 2-ą i tylko podczas dni pogodnych, osiadając zwykle na niskich drzewach. Roje z młodemi matkami mniej uważają na pogodę, wyjść mogą i podczas pochmurnego dnia, a nawet i drobny deszcz im nie przeszkodzi, jeżeli większa niepogoda przedtem wyjść im przeszkadzała: wyjść mogą i później przed wieczorem lub rano około 7-ej godziny. Osiadają zwykle na wyższych drzewach, nieraz bardzo wysoko. Rój po wyjściu

pokręci się zwykle trochę po pasiece, następnie osiada, wiąże się na jakiej gałęzi, tu jakiś czas siedzi, dopóki się zbiorą wszystkie wyszłe pszczoły, następnie leci w upatrzone z góry miejsce. Na jakiś czas przed wyjściem roju pewna część pszczół zajmuje się wyszukiwaniem odpowiedniego miejsca na osiedlenie się, pszczoły takie nazywamy kwatremistrzami.

Pszczoły uwiązane w miejscu, wystawionym na działanie słońca, prędzej zrywają się do lotu.

Jak roje zbierać, opisywać nie będę, gdyż to jest doskonale znane. Wspomnę tylko, że używane powszechnie kropienie pszczół wodą nie jest konieczne; potrzebne; tylko w tym wypadku to stosujemy, jeżeli rój dłużej siedział i jest obawa, że ucieknie. Zebrane w jakie naczynie pszczoły stawia się w cień, osadza się zaś dopiero wieczorem.

Ul, w którym mamy je osadzić, powinien być odpowiednio przygotowany do tego. Przedewszystkiem ustawiamy go zupełnie prosto (pionowo) w miejscu stosownym; następnie, jak w ramowym, dajemy 6—7 ramek z naklejonemi w nie paskami woszczyny (początki). O ile ul jest nowy, należy wytrzeć go wewnątrz pachnącemi ziołami (rojownikami, macierzanką) lub starą woszczyną: ze starych plastrów ugniata się bryłę, przygrzewa ją przy ogniu i tem wewnątrz smaruje. Szczególniej ule słomiane, jak kósłki, dobrze jest tak przygotować, gdyż z nich osadzone roje często uciekają, a smarowanie właśnie ma na celu uczynienie ula przyjemnym dla pszczół.

Rzecz naturalna, że wszelkie poprawki, jakich może wymagać ul, powinny być dokonane przed osadzeniem pszczół, żeby ich później stukaniem nie niepokoić.

W ulu ramowym samo osadzenie tak się odbywa; odsuwamy ramki po otworzeniu ula i wysypujemy pszczoły z naczynia, w jakie był rój zebrany, na dno ula; poczem ramki dosuwamy, również zatworkiem szklanym ul zamykamy i na tem osadzenie się zakończy. Wyszukiwanie i zamykanie matki do klateczki nie jest potrzebne, chyba że w tej pasiece uciekanie rojów świeżo osadzonych jest bardzo częste, co zdarza się w miejscowościach, obfitujących w wielkie lasy. W takim razie matkę odszukujemy zaraz po zebraniu roju i zamykamy do klateczki na 1—2 doby.

W ulu ramowym można rój zatrzymać, włożywszy tam jeden plaster czerwii: pszczoły są tak przywiązane do niego, że to od ucieczki zabezpieczy. Ul kószkę odwraca się do góry spodem przy osadzaniu, wysypuje rój, poczem stawiamy kószkę na swoje miejsce. Rój silny powinien zawierać 6 funtów pszczół, (na miarę koło dwóch garncy); wcześniej przed głównym pożytkiem może być i słabszy rój osadzony, gdyż da sobie radę — do zimy wzmoże się w siłę; później tylko bardzo silne roje osadzać można. Aby nie pozwolić na wyjście drugiego roju z ula, należy tak postąpić: Rój osadzamy zaraz po wyjściu i stawiamy ul z nim na

miejsce macierzaka (tak nazywamy pień rojący się), ten zaś na inne zupełnie miejsce w pasiece. Przez to nowoosadzony rój będzie ogromnie silny, gdyż wszystkie lotne pszczoły z macierzaka zlecą do nowoosadzonego. Macierzak po takim osłabieniu zwykle już zaniecha dalszej rójki. Chcąc zaś otrzymać drugi rój z ula, ale silny, i żeby na tem zakończyła się rójka, postąpimy jeszcze inaczej. Rój po osadzeniu postawimy również na miejsce macierzaka, ale ten tym razem na miejsce jakiego innego silnego pnia w pasiece, który odstawia się na inne zupełnie miejsce. Dwa razy przedstawiony macierzak napewno dalszej rójki zaniecha, a tak postępując, otrzymamy obydwaj roje bardzo silne. Przy takim przedstawieniu trzeba mieć jeszcze jedno na uwadze: pień, odstawiony na inne miejsce, traci zupełnie wszystką lotną muchę, cierpieć więc może przez to na brak wody, gdyż nie będzie jej komu z pola przynosić. Miodu i pyłku jest o tej porze dostateczny zapas w ulu, trzeba więc takiemu pniowi przez parę dni poddawać potrochu wody, — najlepiej umieścić w otworze wylotowym szmatkę i tę parę razy dziennie zwilżać.

Pomnażając pasiekę przy pomocy naturalnej rójki, lepiej nie czekać na wyjście rojów, kiedy im się podoba tylko u pni odpowiednio silnych wywoływać je samemu. W tym celu na 13 dni przed czasem, kiedy chcielibyśmy mieć rójkę, odbiera się od pnia na to przeznaczonych matki i zupełnie je usuwa. Otrzymamy przez to roje z młodei matkami, jakie są bardzo pożądane do osadzenia.

Mojem zdaniem na rójkę naturalną, czy to wywołaną, czy też dowolną, pozwolić można tylko w ulach prostych, jak kłody, kósłki słomiane, bezdenki, gdyż w tych powstrzymanie rójki bywa bardzo utrudnione, a nawet niekiedy wprost niemożliwe. W ulach zato rozbieralnych, jak ramowe, nie powinno się stanowczo na rójkę pozwalać, tylko w razie potrzeby samemu podziałowi pszczoły poddawać.

W ulach rozbieralnych pszczoły od rójki dosyć łatwo odkłonić, a w naszym klimacie, gdzie wziętek większy trwa zwykle bardzo krótko, bo nieraz zaledwie dni kilka, tylko te pnie zbiorą więcej miodu, którym nie w pracy nie przeszkadza, a raczej mają ją jaknajwięcej ułatwioną i są po części do niej zmuszone. Spособów robienia rojów sztucznych jest bardzo wiele, opiszę tu parę najlepszych i najłatwiejszych do wykonania.

Dwoma rodzajami robi się roje sztuczne: jedne bez budowy, tylko z samych pszczół z matką, drugie z budową, t. j. z plastrów czerwii i pszczół.

Z pierwszych za najlepszy rój uważam t. zw. wygon z pszczół starych i młodych. Do tego potrzeba nam dwóch silnych pni w ulach ramowych, nazwijmy je dla ułatwienia № 1 i № 2. Szykujemy trzeci ul, pusty naturalnie, który nazwiemy № 3. Przygotujemy go tak, jak do osadzenia naturalnego roju,

t. j. damy 6—7 ramek z naklejkami. W czasie południa, podczas dobrze pogodnego dnia, odstawiamy pień № 1 na bok, a na jego miejsce stawiamy ul pusty № 3 z uwagą, żeby wyloty u niego wypadły w zupełnie tem samym miejscu, co u poprzedniego. Teraz wyjmujemy plastry z № 1-go i omiatamy z nich pszczoły do ula № 3, plastry po omieceniu wraca się do ula № 1.

Przy omiataniu uważać należy, żeby matka była przeniesiona do № 3. Po omieceniu pszczoł ze wszystkich plastrów, ul № 1 zamykamy i stawiamy na miejsce № 2-go, ten zaś na zupełnie nowe miejsce. Zobaczmy teraz, co się z tego stanie.

Do ula № 3 omietliśmy wszystkie pszczoły z ula № 1, zleca się też do niego i te wszystkie pszczoły, które były podczas tego na robocie; daliśmy tu i matkę, otrzymamy więc bardzo silny rój z muchy starej i młodej, który, o ile był wcześniej osadzony, może nietylko odbudować gniazdo, dla siebie zebrać miodu, lecz i nam coś niecoś dać.

Ul № 1 stracił wszystkie swoje pszczoły, otrzymał wzamian lotne pszczoły z ula № 2, a że ma czerw, więc po niedługim czasie może do siły przyjść; o ile mamy, to dobrze byłoby na miejsce zabranej matki dodać matecznik kryty z innego pnia. № 2 stracił lotne pszczoły na rzecz № 1-go, ale że ma młode pszczoły, czerw i matkę, to w bardzo krótkim czasie do siły dojdzie i niczem w zbiorze miodu od innych różnić się nie powinien.

Jeżeli chcemy tylko parę lub jeden rój zrobić z większej ilości pni, to bardzo są dobre **roje zsypane**. Również podczas pogodnego dnia i w godzinach południowych przechodzimy silniejsze pnie w pasiece i zmiatamy z jednego lub paru plastrów pszczoły do jakiego naczynia, np. krótki słomianej lub rojnicy (tak nazywamy skrzynkę drewnianą, służącą do zbierania rojów). Gdy mamy już więcej nad dwa garnce, to dodajemy zebranym pszczolom matkę, lecz w klateczce (wziąć ją można z którego silniejszego pnia), i osadzamy do nowego ula postawionego w odpowiednim miejscu. Jak omiatamy podczas dobrze pogodnego dnia i w południe, wtedy starsze lotne pszczoły są przeważnie w polu na robocie, zebrane młode zostaną w ulu, do którego je osadzimy. Trzeba zaś zbierać więcej nad dwa garnce, bo będzie w tem nieco i starszych pszczoł, które powrócą do swoich uli.

W ulu, do którego je osadzimy, oprócz jak zwykle ramek z naklejkami, dobrzeby było dać i plasterki miodu, gdyż młode pszczoły przez parę dni nie będą znosiły zapasów z pola. Chcąc taki zsypaniec obsadzić w drugiej pasiece, oddalonej przynajmniej o dwie wiorsty, t. j. poza obrębem lotu pszczoł, zbierać pszczoły lepiej rano lub przed wieczorem, kiedy wszystkie są w domu, albowiem mogą być w tem i starsze lotne; niema tu obawy, że powrócą do swych uli.

Roje z budową najlepsze są składane: z paru lub kilku pni zbiera się plastry czerwii i z jednego pszczoły. Zebrać trzeba

6 plastrów czerwii obsiadłych młodą mucedą, robi się to więc podczas dobrej pogody, kiedy starsze są na robocie. Zebrane plastry dajemy do pustego ula, który postawi się na miejsce jakiego innego silnego pnia, a ten na nowe. Wskutek takiego przedstawienia wszystkie lotne pszczoły, jak to już wiemy, pozostaną w nowozrobionym roju, będzie on przez to prawie tak silny, jak wszystkie inne pnie w pasiece i, o ile był zrobiony wcześniej, to tyleż miodu dać może. Matkę może taki rój i sam sobie wyhodować z danego czerwii; byłoby lepiej jednak w kilka godzin po zrobieniu, gdy już pszczoły poczują swe osierocenie, wsztukować mu matecznik kryty z innego pnia,—będą miały przez to matkę o kilka dni wcześniej.

Co do późniejszej opieki nad osadzonymi rojami, to większej zwykle wymagają roje z młodej matkami, lub zupełnie bez matek, jak np. ostatni, gdyż uważać musimy, czy matka z matecznika dodanego wyleże się, a następnie czy się zapłodni i będzie nieś jajeczka.

Rojowi z młodą matką powinno się do czasu zapłodnienia jej dodawać co kilka dni plasterki z jajeczkami pszczelimi, aby, o ile matka zginie, mogły sobie założyć mateczniki dla wychowania drugiej. O ile byśmy mieli matkę niepotrzebną, to, zauważwszy, że pszczoły budują mateczniki, co jest oznaką osierocenia, możnaby im ją dodać, wyciąwszy na parę godzin przedtem wszystkie mateczniki.—Zadużego gniazda nie powinno się dawać rojowi świeżo osadzonemu, najwyżej 7 ramek, jak w ulu ramowym, tylko później w miarę potrzeby, jak widzimy, że dociągają plastry do dołu, dodaje się więcej. Zwracać też trzeba uwagę, żeby plastry były budowane zupełnie proste, nie wychodziły z ramek, co gdy się spostrzeże, łatwo poprawić, odcinając plaster od ramki i napychając go na właściwe miejsce.

Roje z budową prowadzi się później tak jak wszystkie inne pnie w pasiece, t. j. w miarę potrzeby dodaje plastrów, matkę odgradza, o ile zaś jest miód — odbiera.

Podczas dłuższej niepogody rój, świeżo osadzony bez budowy, może cierpieć na brak pożywienia, a nawet zupełnie zginąć, trzeba to więc mieć na uwadze i w takim wypadku poddać miodu. Rój naturalny przez parę dni obywać się może zapasem zabranym z pnia macierzystego, w jaki każda pszczoła zapasuje się, wychodząc z ula. Sztuczne roje prędzej mogą głód cierpieć.

St. Brzóska.

7. Lipiec.

Czy nawozy sztuczne mogą się opłacać drobnym rolnikom?

Coraz częściej za przykładem większych posiadaczy ziemskich i drobni wiejscy gospodarze zaczynają rolę swą posypywać

WŁASNOŚĆ
GOSPODARSTWA

różnemi proszkami i popiołami, jak zwykle nazywają, oni wszystkie w ogólności kupowane nawozy sztuczne. I nic dziwnego, gdyż wszędzie prawie urodzaj na posypanej roli bywa **najczęściej** znacznie lepszy i to nie tylko na słomę, ale i na ziarno, niż obok na takiej samej ziemi, tylko bez użycia sztucznego nawozu. Nie można jednak zaprzeczyć, iż trafiają się również i takie wypadki, że użycie nawozów sztucznych żadnego prawie, lub co najwyżej bardzo mały tylko wywiera skutek. A takie nieskutkowanie nawozów sztucznych od trzech głównie zależy przyczyn, które koniecznie poznać nam potrzeba, aby mózgi przekonać się, czy użycie nawozów sztucznych będzie się opłacało i zyski przynosiło, czy też narażać będzie gospodarza na stratę.

Najpierwszą, bo najczęściej przytrafiającą się przyczyną, iż nawóz sztuczny bardzo mało, lub zgoła wcale nie skutkował, jest jego fałszerstwo. Niesumieni handlarze, w celu szybszego z bogaceniem się, dosypują do dobrego nawozu znaczne ilości gipsu, popiołu, miału węglowego, a nawet ziemi i piasku, i mieszaninę taką w powtórnie zaplombowanych workach sprzedają jako czysty nawóz. Zreżennie w ten sposób sfałszowanego nawozu nie można w zwykły sposób rozpoznać i najuczciwszy nawet profesor mógłby się przy kupnie grubo oszukać, gdyby kupionego nawozu **w sztuczny sposób nie zbadał**. Wiedzą o tem dobrze handlarze i dlatego tak często nawozy fałszują, bo z góry już są przekonani, że, kto kupi u nich kilka lub kilkanaście worków, temu nie zechce się brać z tych worków próbki i do zbadania odsyłać do odległej zwykle doświadczalnej stacji rolniczej.

Ale nie tylko handlarze sprzedają rolnikom za duże pieniądze nawozy, posiadające bardzo małą wartość, potrafią bowiem robić to i fabryki, które jeżeli nie fałszują nawozu domieszką gliny lub piasku, to znów wyrabiają go tak słabo rozpuszczającym się, że i on wcale skutkować nie może. Im łatwiej bowiem jaki nawóz rozpuszcza się w wodzie, tem też i skuteczność jego jest większa, bo rośliny prędzej i obficie żywć się nim będą. Szczególniej ma to miejsce przy **żużlach** czyli **tomasynie**, albo jak w niektórych okolicach nazywamy **żelaznicy**. Nie opłaci się więc nigdy użycie sztucznego nawozu źle sfabrykowanego lub sfalszowanego, choćby nawet za tanie pieniądze kupionego, bo rośliny pożywienia w nim nie znajdą.

Ażeby przeto uniknąć straty z tego powodu, należy kupować nawozy sztuczne tylko w znanych z uczciwości handlach i z piśmiennem zapewnieniem co do jakości i procentowej rozpuszczalności sprzedanego nawozu.

Drugim bardzo często zdarzającym się powodem nieskutkowania nawozu sztucznego bywa nieodpowiedni jego wybór. Należy bowiem wiedzieć, iż są różne nawozy sztuczne, to jest rozmaite zawierające pokarmy, — niema zaś takiego, któryby tak jak na przykład gnoj stajenny, zawierał w sobie wszystkie potrzebne

roślinom pokarmy. Bo i o tem wiedzieć trzeba, iż rośliny wtedy tylko dobrze rosnąć i rozwijać się mogą, jeżeli w ziemi znajdują się będzie nie jeden i nie dwa, lecz koniecznie aż dwanaście rozmaitych pokarmów. I niech tylko jednego bodaj z tych pokarmów w ziemi zabraknie, to chociażby innych było bardzo nawet dużo, już rośliny dobrze rosnąć tam nie będą mogły. Jeżeli więc w czyjejs ziemi brakuje dajmy na to fosforu, a on zamiast superfosfatu kupił przypuścmy kainitu, to napewno skutku nie będzie miał żadnego, bo kainit dostarcza roślinom tylko potasu, a fosforu niema w sobie ani odrobiny.

Może też i przeciwnie się trafi, iż właśnie brakować będzie roślinom nie potasu, lecz fosforu, w innej znów ziemi za mało może będzie wapna, a znów w innej może azotu. Na każdej więc inny nawóz sztuczny może skutkować i dobrze się opłacać; chociaż trafiają się i takie bardzo ubogie, jałowe ziemie, w których już nie jednego, lecz wszystkich tych pokarmów brakuje. Ma się rozumieć, że na takich ziemiach najtaniej wypadnie użycie zwykłego nawozu stajennego, jako zawierającego wszystkie potrzebne roślinom pokarmy, bo rozsypywanie na jednym miejscu wszystkich nawozów sztucznych za drogą mogłoby kosztować. I to jest bodaj najgłówniejszą przyczyną, iż użycie nawozów sztucznych na gruntach żyznych, często gnojem wynaważanych, sowsię się zwykle opłaca, kiedy na jałowych nieraz tylko stratę lub bardzo niewielką za ledwie korzyść przynosi.

Trzecim wreszcie powodem nieskutkowania nawozów sztucznych bywa jeszcze nieumiejętne ich użycie. Najczęściej spotykanym tutaj błędem jest rozsypywanie nawozów sztucznych po roli jednocześnie z zasiewaniem zbożem. W ten sposób postępować można jedynie tylko z superfosfatem, a od biedy i z żużłami, chociaż stanowczo lepiej będzie rozsiać je na kilka tygodni przed siewem zboża; a już co do kainitu, to on pod żadnym względem nie powinien być jednocześnie ze zbożem po roli rozsiewany. Lepiej już będzie rozsypywać go między roślinami, kiedy te na parę cali od ziemi podrosną, na przykład na rzędkach w około buraków, marchwi pastewnej i t. p., dany bowiem razem z nasieniem mógłby dużo młodych kielków uszkodzić. Przed siewem więc zboża należy kainit rozsypać przynajmniej na miesiąc lub sześć tygodni naprzód, nie zważając zgoła na to, czy rola jest już pod zasiew należyte uprawiona, gdyż i po rozsianiu kainitu dokończyć uprawy będzie można. Nie należy tylko kainitu, jak zresztą i wszystkich innych nawozów, zbyt głęboko przyorywać, a najlepiej będzie zapomocą brony sprzężnowej, lub innego jakiego drapacza, dobrze z ziemią wymieszać.

Ale, stosując się do wymienionych powyżej wskazówek, unikniemy tylko kilku najczęściej popełnianych przez gospodarzy błędów, a nie będziemy jeszcze wiedzieli, czy w ten nawet sposób nawozy sztuczne opłacą się nam w zupełności, to jest czy spo-

wodowany przez nie obfitszy zbiór zwróci nam wyłożony koszt i to z pewną jeszcze nadwyżką. Czyli, po kupiecku mówiąc, użycie nawozów sztucznych powinno zawsze pewien pieniężny zysk przynosić.

Ażeby przekonać się o tej opłacalności, uciekano się dawniej do pomocy chemików, którzy w sztuczny sposób rozbięrali przysłane im próbki ziemi i oznaczali, ile w tej ziemi było fosforu, azotu, wapna, potasu i t. p. składników, służących jako niezbędny pokarm roślinny. Wkrótce się jednak przekonano, iż taki rozbiór chemiczny ziemi nie daje wcale pewnych wskazówek, zdarzało się bowiem bardzo często na przykład, iż na roli, w której chemik znalazł dużo fosforu, a mało potasu, nawozy właśnie fosforowe dawały ogromne zbiory, a potasowe znów bardzo mały tylko okazywały skutek. Zaniechano więc kosztownego rozbioru chemicznego ziemi i zwrócono się do innych wskazówek, mianowicie do badania rozwoju zbóż i innych roślin, znajdujących się w danej miejscowości. Jeżeli więc zauważono, iż na pewnych polach zboża bywają bujne, w słomę wyrastają bardzo wysoko, lecz ziarna dają mało, tam dawano nawozy fosforowe, a więc żelaznicę na ziemiach lżejszych, a superfosfat na cięższych, żwiższych. Gdzie grochy i wyki słabo rosną, a koniczyzny tylko wkrótce po gnoju się udają, zboża zaś bywają namłotne, tam prawdopodobnie mało jest w ziemi wapna i tam wapnowanie może się okazać bardzo korzystnem. O brak azotu posądzają zwykle takie ziemie, na których bez gnoju zboża wyrastają niskie, lecz za to namłotne, ziemniaki nie bardzo w nać się rozrastają, a znów łubiny, koniczyzny i grochy bywają bardzo ładne.

Wprawdzie przypatrywanie się takie i uważne badanie rozwoju miejscowej roślinności jest dla rolnika zawsze bardzo korzystne, a i co do użycia nawozów sztucznych daje bardzo często trafne wskazówki, — lecz z pewnością tylko racjonalnie przeprowadzone próby na małych półkach doświadczalnych będą mogły zapewnić, czy i jakie nawozy sztuczne w tem gospodarstwie opłacać się mogą.

Na takie próbne półka doświadczalne wybiera się o ile możliwości prosty i równy kawałek pola, średnio utrzymanego, to jest nie wyjąłowionego, ale też i niezbyt obficie nawożonego, najlepiej dopiero w trzecim roku po gnoju, — lecz niezaperzonego i nieachwaszczonego, i koniecznie z taką samą jakością gruntu, jaki jest i na innych polach. Gdybyśmy bowiem wybrali, przypuśćmy, kawałek pola gliniastego, a większa część była piaszczysta, to próba nie dałaby nam żadnych wskazówek, boć wiadomo, że co innego może brakować w roli piaszczystej, a co innego w gliniastej. Taki wybrany kawałek roli powinien być jednakowo wszędzie uprawiony i bodaj przez ostatni rok jedną i tą samą rośliną zasiany. Nie można więc przeznaczyć takiego półka, na którym z jednej strony był dajmy na to jęczmień, z drugiej zaś ziem-

niaki, lecz musi to być kawałek pola albo cały po ziemniakach, albo po jęczmieniu lub innem jakim zbożu. Najlepiej będzie próbować skuteczności nawozów sztucznych na życie lub pszenicy, zasianych po koniczyźnie, grochu lub przyoranym łubinie, a najmniej do tego nadaje się jęczmień.

Wybrane półko uprawia się starannie tak, aby rola już w połowie sierpnia była wszędzie dobrze spulchniona i z chwastów oczyszczona. Następnie rozmierza się ją na dwanaście zupełnie równych kawałków czyli pól i szerokimi bruzdami jedno od drugiego rozdziela. Bruzdy te muszą być conajmniej z pół łokcia szerokie, ażeby po nich, jak po ścieżkach, swobodnie wzdłuż wszystkich pól chodzić było można. Wielkość tych pól zależy wzupełności od woli prowadzącego doświadczenia gospodarza; nigdy jednak nie powinny być mniejsze, niż po piętnaście prętów kwadratowych, to jest iż na jednej mordze zmieściłoby się ich dwanaście. Komu wszakże zależałoby na tem, ten od biedy mógłby pomierzyć sobie trochę mniejsze półka, przypuśćmy po dziesięć prętów kwadratowych, czyli że te dwanaście pól zabraloby mniej, niż półmorgi, bo tylko sto dwadzieścia prętów. Im jednak półka będą większe, tem też i wynik doświadczenia będzie pewniejszy.

Przypuśćmy dla przykładu, że gospodarz przeznacza większy kawałek pola na dobrej gliniastej ziemi po dwuletniej koniczyźnie pod zasiew pszenicy. Po skończonej więc uprawie całego kawałka rozdziela go szerokimi bruzdami na dwanaście pól, każde po trzydzieści prętów kwadratowych. Jak już mówiliśmy, uprawa takich pól skończona być musi najpóźniej do połowy sierpnia, co przy dwuletniej koniczyźnie, a więc po sprzecie jednego tylko pokosu, bardzo łatwo zrobić można; mamy przeto półka gotowe już i podzielone nawet przed połową sierpnia. Na pierwszym zaraz rozsiewamy dziesięć funtów superfosfatu 18-procentowego, na drugim dwadzieścia funtów kainitu, na trzecim sześćdziesiąt funtów świeżo sproszkowanego wapna palonego, na czwartem dziesięć f. superfosfatu i jednocześnie dwadzieścia f. kainitu. Dla ułatwie-

1.	10 funtów superfosfatu
2.	20 funtów kainitu.
3.	60 funtów wapna.
4.	10 f. superf. i 20 f. kain.
5.	60 f. wapna i 20 f. kain.
6.	bez nawozu.
7.	10 funtów superfosfatu.
8.	20 funtów kainitu.
9.	60 funtów wapna.
10.	10 f. superf. i 20 f. kain.
11.	60 f. wapna i 20 f. kain.
12.	bez nawozu.

nia sobie roboty można kainit i superfosfat razem zmieszać i zaraz rozsiać. Na piątym półku dajemy także razem dwa nawozy, mianowicie 20 f. kainitu i 60 f. wapna; szóste zaś półko zostawiamy bez żadnego nawozu, ażeby przy zbiorze służyło nam do porównywania z nawożonemi. Na następnych sześciu półkach rozsypujemy zupełnie tak samo te same nawozy i w tejże samej ilości, a nawet i tego samego dnia, i zaraz też na każdym półku nawozy te dokładnie mieszamy w roli za pomocą ciężkiej brony lub drapacza, a najlepiej broną sprężynową. Szczególniej wapno powinno być w tej chwili z ziemią zmieszane, aby przypadkiem deszcz go na wierzchu roli nie złapał, boby wtedy napewno mniejszy skutek wywarło. Innym nawozom sztucznym deszcz nie zaszkodzi.

Po rozsypaniu więc i zabronowaniu na półkach nawozów, będziemy mieli po dwa półka jednakowe, czyli jakbyśmy dwa oddzielne, lecz za jednym zachodem, robili doświadczenia. Zyskuje się przez to na większej pewności, bo każde półko w dwóch różnych przypadkach. Rolnicze stacje doświadczalne, które wszystkie próby bardzo sumiennie wykonują, robią zawsze nie po dwa, lecz po trzy półka, czyli że każda próba trzy razy się tam powtarza. Dla gospodarza zaś byłoby to już zbyt kłopotliwym i w ostateczności lepiej będzie, jeżeli on zrobi sobie tylko po jednym półku, niżby miał na oślep bez żadnej próby nawozy kupować.

Każde takie półko trzeba naznaczyć drewnianą deseczką, na której powinno być napisane, jaki nawóz użyty.

Dla uproszczenia nie włączyliśmy do próby nawozów azotowych, jako zbyt kosztownych i przy oziminach rzadko tylko używanych. Ktoby jednak chciał, mógłby próbować przypuszcmy opłacalności saletry na owsie, marchwi pastewnej lub burakach cukrowych. Owies najlepiej posypać saletrą wtedy, kiedy już na półtora do dwóch cali nad ziemią wyrośnie, buraki zaś i marchew posypuje się saletrą po pierwszym opieleniu lub przerwaniu.

Robiąc próby z opłacalnością nawozów przy życie, zwłaszcza na ziemi lekkiej, piaszczystej, zamiast superfosfatu lepiej będzie brać żelaznicę, to jest żuźle Tomasa, których dawać trzeba o czwartą część, a nawet czasem i o połowę więcej, niż superfosfatu. Koszt nawiezienia wypadnie mniej więcej jednakowy, gdyż żelaznica jest o $\frac{1}{4}$ tańsza od superfosfatu.

Wszystkie półka, czy to pszenicą, czy żytem, powinny być w końcu sierpnia lub początkach września jednego dnia zasiane i zabronowane, przyczem zwracać trzeba uwagę, aby brony nie zgarniały ziemi z jednego półka na drugie. I na tem robota już aż do żniw skończona. Dopiero przy żniwach jest sporo kłopotu, bo trzeba z każdego nawozu zbierać i składać oddzielnie, a później znów oddzielnie młócić i ważyć otrzymane ziarno i słomę.

Tak więc trzeba mieć przygotowane miejsce w stodole na sześć oddzielnych kupek: pierwsze na zbiór z 1-go i 7-go półka, drugie na zbiór z 2-go i 8-go, następnie z 3-go i 9-go i t. d. Przez proste obliczenie różnicy zbioru tak słomy, jak i ziarna, z pól nawiezionych z nienawiezionemi będziemy mieli dopiero pewną wiadomość, jakie nawożenie daje najlepszy zysk, a jakie straty.

Zaznaczyć jeszcze trzeba, że czasami jednoroczne próby nie dają pewnej odpowiedzi. Jeżeli na przykład trafi się rok klęskowy, szczególnie z powodu długotrwałej suszy, to wtedy półka doświadczalne nie mogą dać pewnych wskazówek i próbę następnego roku konieczne powtórzyć należy.

Kazimierz Duleba.

8. Sierpień.

Kiedy najlepiej rozpocząć żniwo?

Bardzo wielu z pomiędzy małorolnych naszych gospodarzy wiejskich uporczywie trzyma się jeszcze przestarzałego, a zgoła nierozsądnego zwyczaju, rozpoczynania różnych robót gospodarskich wedle kalendarza, stosując się ściśle do oznaczonych tamże pewnych dni świątecznych, zmian księżyca a nawet dni tygodnia. Tak na przykład, bardzo wielu nie sieje grochu we wtorek i czwartek; niektórzy za nic w świecie nie zasieliby hreczki na nowiu, inni nie wywożą gnoju w adwent; a niektórzy obawiają się robić tego w każdą nawet sobotę. Natomiast wszędzie prawie uważają sobotę jako jedyny dzień do rozpoczęcia żniwa.

Słowem, ludzie nie patrzą na jakość uprawy roli przed siewem, na odpowiedni stan dojrzałości zboża przed sprzętem, lecz na kalendarz lub zwyczaj. Ma się rozumieć, iż postępowania takiego nie można nazwać rozsądnem: pominąwszy niepotrzebne krępowanie się z wywózką gnoju jako mało znaczące, to już przy siewie i sprzęcie zboża nie wolno jest trzymać się starego zwyczaju i stosować się do kalendarza, bo wtedy bardzo często na znaczne nawet straty narazić się można.

Dzień rozpoczęcia żniwa nigdy napród oznaczyć się nie da, zależy on bowiem od różnych okoliczności, mogących czas sprzętu zboża znacznie opóźnić lub też przyspieszyć, czego żaden kalendarz przewidzieć nie jest w stanie. Jedyną więc wskazówką może być tylko odpowiedni stopień dojrzałości zboża. Bo i dojrzałość zbóż jest różna, większa i mniejsza, stosownie do tego, o ile ziarnka w kłosie mniej lub więcej zgrubiały i wyschły. I myliłby się ten, ktoby sądził, iż tylko zupełnie wyschnięte i stwardniałe ziarna są dojrzałe: nawet i całkiem miękkie ziarna uważać można za zupełnie dojrzałe, ponieważ one mogą już kieł-

kować i w nowe wyrastać rośliny. Ze sprzętem więc zboża nie koniecznie trzeba wyczekać, aż ziarno w kłosku stanie się zupełnie suche i twarde, lecz rozpoczynać żniwo znacznie wcześniej, a to stosownie do jakości odmiany zboża i przeznaczenia zebranego ziarna.

Z różnych odmian żyta zbierać trzeba wcześniej tak zwane krzyce, to jest odmiany, posiadające ziarna grube, duże i długie, wskutek tego znacznie wystające z plewek i zwykłe słabo się w nich utrzymujące, a więc przy wstrząśnięciu kłosem bardzo łatwo wypadające. A pamiętać należy, że właśnie najpiękniejsze i najdorodniejsze ziarna, jako najbardziej z plew wychylone, najprędzej też wypadają. Jeżeli więc gospodarz ze żniwem takiej odmiany niepotrzebnie zwlekać będzie, wyczekując pełnego stwardnienia i wyschnięcia ziarn, to napewno na znaczną narazi się stratę, bo chociażby najostrożniej żyto wtedy zbierał, to, pomimo największej przy żniwie i zwózce ostrożności, zawsze dużo najcenniejszego ziarna się wysypie i zmarnuje. Zielonkowato zebrane żyto wyda wprawdzie ziarno troszkę szczuplejsze, drobniejsze, lecz cięższe, ilość więc zbioru pozornie tylko, — na miarę, się zmniejszy, na wagę zaś z pewnością nic nie ubędzie. A ponieważ nigdzie już zboża na miarę nie kupują, więc o stracie nawet mowy być nie może, tembardziej, że „świdowato“ zebrane żyto, jako dające bardzo ładną mąkę, chętnie bywa przez kupców nabywane. Poznają go oni po ładnej, zielonej barwie, kiedy żyto późno z pola zebrane ma dużo ziarn brych i ciemnych.

Ale nie tylko ze względu na oszczędność, ziarna trzeba krzyce znacznie wcześniej zbierać, niż dawne zwyczajne żyto. Prawie wszystkie żyta nowe, uszlachetnione odmiany, zwykłe po wsiach zagranicznymi nazywane, mają słomę grubą i wysoką, ale też bardzo kruchą i łamliwą. I im żyto takie dłużej na pniu stoi, tembardziej słoma jego kruszeje i łamie się. Ze słomy takiej nie już zrobić się nie da, a nawet jako pasza dla inwentarza ma mniejszą wartość.

Należy też zwrócić uwagę i na zmniejszone ryzyko przy wcześniejszych zbiorach, bo właśnie podczas żniw najczęściej u nas zdarzają się wielkie nawałnice, burze i gradobicia. Juści jasną jest przeciwie rzeczą, iż zboża, stojącego na pniu, gospodarz nigdy nie jest pewny, ale złożone w półkopki już śmiało może uważać za swoje. Zresztą przy wcześniej rozpoczętych żniwach zbiór jest łatwiejszy, tańszy i dogodniejszy. Jedna robota drugiej nie dogania, gospodarz ma czas na wszystko, a i przednówek prędzej wtedy kończy.

Tak więc porzućmy ten dawny zwyczaj późnego rozpoczęcia żniw, aż już ziarno w kłosach zupełnie doschnie i stwardnieje, lecz śmiało stawajmy na zagonie wtedy, kiedy pełne już i grube ziarno daje się jeszcze rozetrzeć między palcami. Wte-

dy ani żniwiarka, ani kosa, ani nawet tak niesłusznie wysoko ceniony u nas sierp nie nawytrząsa nam ziarna. Zwłaszcza spieścić się trzeba ze sprzętem wszystkich krzyce żyta, ościстых odmian pszenicy i czterorzędowych odmian jęczmienia. Ma się rozumieć, że zboże zebrane wcześniej, jak to u nas mówią „zielonkowate lub świdowate“, musi na polu dłużej w snopkach i półkopkach być trzymane, ażeby należycie doszło, w przeciwnym bowiem razie mogłoby się w stodole silnie zagrzać i zepsuć.

K. Dulęba.

9. Wrzesień.

Suszenie owoców.

Korzystać z sadu dopiero wtenczas będzie należyta, kiedy żadnym odpadkom nie damy się zmarnować i wszystkie, choć gorsze, niezupełnie dojrzałe owoce ususzymy lub przerobimy, czy to na powidlą, sery owocowe, czy też na napoje, jak: jabłecznik, wino, ocet.

Z tego najlepszym zużytkowaniem będzie suszenie, gdyż jest bardzo łatwe. Ususzone owoce dadzą się długo przechowywać, bo i parę lat. Sprzedaż też jest ułatwiona, gdyż do przewozu są bardzo lekkie.

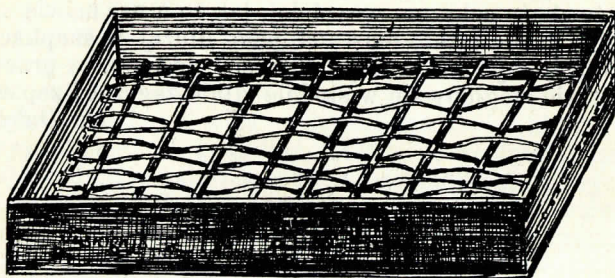
Do suszenia większych ilości urządza się różnego rodzaju suszarnie; my tu zajmiemy się suszeniem na własne domowe potrzeby, co zrobić można w piecu chlebowym lub piecyku przy kuchni angielskiej.

Dodam przytem, że suszenie w dołach ziemnych na lasach, gdzie przez owoce dym przechodzi, zupełnie nic nie jest warte — to tylko marnowanie owoców: tak przejdą dymem, że tylko bardzo niewybredni będą je mogli spożywać. Suszenie w piecu chlebowym co prawda jest powolne, lecz bez porównania lepsze, gdyż daje susz, w niczem nie ustępujący suszonemu w najlepszej suszarni.

Suszą tak dosyć często owoce na wsi, lecz zwykle nasypują je prosto w piec, wskutek czego jakaś część się przypala, a wszystkie tak się walają w popiele, że niemożliwe są do jedzenia. Chcąc zaradzić temu, skrzętniejsze gospoście podkładają prostą słomę i dopiero na niej rozkładają owoce, lecz to ogromnie utrudnia robotę. Najlepiej sporządzić do tego umyślnie lasy takiej wielkości, żeby swobodnie wchodziły do pieca chlebowego.

Zbija się z łat drewnianych ramę dowolnej wielkości, łaty bierzemy 4—5 cali szerokie; mniej więcej po środku szerokości wierci się dziury pół cala szerokie, co 8—10 cali jedna od drugiej, i w nie zaprawia patyki drewniane, żeby przechodziły wpo-

przek ramy. Następnie przez te patyki przeplata się witki wierzbowe, odarte ze skóry, żeby utworzyć w środku ramy dno wyplecione, na którym będziemy kłaść owoce do suszenia.



Lasy do suszenia owoców.

W większym piecu takich las można postawić parę: dwie, trzy, jedna na drugiej. Plecie się niezbyt gęsto, t. j. tak, żeby po uschnięciu prętów owoce nie wylatywały. Suszenie rozpoczniemy od jabłek. Bardzo niedojrzałych używać nie warto, gdyż potem po ugotowaniu suszeniny otrzymamy potrawę kwaśną.

Owoce nadgnite, robaczywe, uszkodzone mogą być użyte, należy tylko miejsce nadpsute wyciąć aż do zdrowego, również i część stoczoną przez robaka trzeba usunąć. Najlepsze są na suszenie jabłka letnie, jak: papierówki, oliwki i t. p., w roku urodzajnym za bezcen sprzedawane. Jabłka słodkie nie nadają się na suszenie, lepsze są winne. Przedewszystkiem trzeba jabłka obrać ze skórki, obieramy jak można najcieniej; następnie wycina się ze środka gniazdo z nasionami, co zrobić można wązkim nożykiem lub umyślnie do tego zrobionem żelazkiem. Tak obrane owoce rzuca się w zimną wodę osoloną, co zapobiega czerwienieniu suszu.

Mając obrane wszystkie owoce, wyjmujemy po jednym i krajemy na cienkie talarki, ósmą część cała grube, i takie wkładamy do pieca pochlebie, lub umyślnie lekko ogrzanego. Kładzie się plasterki jeden przy drugim; mogą się stykać ze sobą, lecz kładziemy tylko jedną warstwę — jedno na drugich leżeć nie mogą.

Piec przytykamy, pozostawiwszy kilkucalowy otwór u góry, żeby wydzielająca się z owoców para mogła odchodzić. Tak pozostawiamy na 6 godzin, poczem wyjmujemy i przekładamy plasterki na drugą stronę i na nowo do pieca kładziemy, o ile jest jeszcze ciepły. Po ostygnięciu pieca wyjmujemy plasterki; suche odbieramy, wilgotne dosuszamy na słońcu lub przepalamy lekko w piecu i powtórnie wkładamy, aby dosuszyć zupełnie.

Dodać jeszcze muszę objaśnienie, że nie trzeba czekać, żeby owoce uschły na twardo: jak tylko w dotknięciu ręką nie odczuwamy w nich wilgoci, to już są dostatecznie ususzone.

Tak ususzone plasterki przechowuje się w płóciennym woreczku lekko nasypane, powieszono w przewiewnym miejscu.

Krajać do suszenia jabłka można również i w ćwiartki, a nawet i całe kłaść, lecz takie znacznie dłużej muszą się suszyć, dlatego też krajać w plasterki uważam za najlepsze. Chcąc użyć taką suszeninę, moczy się przez kilka godzin w miękkiej wodzie, następnie płucze i gotuje z dodatkiem cukru lub miodu, oraz różnych korzeni pachnących (cynamon, goździki). Otrzymamy kompot, w niczem nie różniący się od przygotowanego ze świeżych jabłek. A jaka to wyborna potrawa w poście kluski z suszonymi jabłkami! Ze stu funtów świeżych jabłek otrzymać można około 10 funtów suszonych.

Gruszki również trzeba obierać ze skórki, następnie kraje się je na połowę, najlepiej żeby i ogonek był na połowę rozcięty i kładzie na lasy.

Zwykle więcej czasu wymagają gruszki do uschnięcia, niż plasterki jabłek. Ze stu funtów świeżych gruszek otrzymać można 15 suszonych. Najlepsze są na suszenie gruszki: **jedwabnice, baby, panny, przedziałki**. Doskonalej susz otrzymać można, jeżeli gruszki obrane obgotować w miodzie, a następnie suszyć.

Śliwki już znacznie trudniej suszyć i dużo czasu wymagają. Najlepsze są na to węgierki zwyczajne, dobrze dojrzałe, tak, żeby się już przy ogonku marszczyły. Przebiera się je, żeby nie było robaczywych (takie są miękie i pod ogonkiem mają mały otworek) i kładzie się na lasach do pieca niezbyt ciepłego.

Gruszkom i jabłkom nie szkodzi chociaż je i do cieplejszego pieca włożymy, śliwki zaś pękają — wycieka z nich sok. Gdy śliwki trochę przywiedną, to na drugi dzień można je włożyć do znacznie cieplejszego pieca dla zupełnego dosuszenia. Śliwki ususzone dobrze jest z ciepłego pieca przenieść od razu w zimne miejsce: wskutek takiej zmiany ciepłoty wystąpi na nich cukier, takie doskonale się przechowują.

Ze śliwek węgierek można robić bardzo smaczną suszeninę na przekąskę, t. zw. śliwki na rożenkach z kminkiem.

Dobrze dojrzałe węgierki przekraja się napół wzdłuż owocu, wyjmuje pestkę, ale obie połówki powinny się trzymać razem. Tak pokrajane nadziewa się na trzcinę na pół łupaną lub na słomkę — po kilka i kilkanaście. Na lasach składa się je tak, żeby rozcięcia były do góry zwrócone, następnie nasypuje się w każdą łyżeczkę kminku, zmieszanego z cukrem pół na pół.

Kładzie się podobnież z początku w piec mniej ciepły, później w cieplejszy. Wybredniejsi, zamiast kminku, nakładają miodgady posiekane, zmieszane z cukrem. Takie śliwki po ususze-

niu stanowią prawdziwy przysmak i mogą doskonale zastąpić cukierki, sprzedawane przez obrzydliwe przekupki na straganach.

Jak się wyrabia powidła, sery owocowe i t. p. opowiemy na przyszły rok.

St. Brzóska.

10. Październik.

Ogród przy szkole.

Czego nauczymy dzieci w szkole, to będą umieli i robili potem ludzie. Jeżeli teraz mamy zamało ogrodów, jeżeli drzewa posadzone przy drogach często ulegają złamaniu lub zepsuciu, a w sadach nie można utrzymać owoców przed szkodnikami — to tylko dlatego, że dzieci w szkołach nie nauczyły się sadzić, ochraniać i szanować drzew, ani roślin używanych wogóle. Istnieje mnóstwo drzew, krzewów, warzyw, kwiatów i ziół, które człowiekowi służyć mogą na pokarm, lekarstwo, ozdobę. Z niemi i z hodowlą ich trzeba zapoznać koniecznie, o ile można, całą ludność — a kiedyż to uczynić, jeżeli nie w porze, gdy się człowiek wszystkiego uczy; gdy młody jego umysł chciwie chwytą wszelkie wiadomości i zatrzymuje je, gromadząc w ten sposób w głowie i sercu kapitał, którego procentami szafować będzie do końca życia.

Kto pozna rośliny i umie je hodować, temu ziemia wydać może więcej pokarmu i uchronić go od głodu, ten potrafi pokryć nagie piaski i skały użytecznym lasem, a wokoło domu zgromadzić drzewa, krzewy i kwiaty, które czynią życie przyjemniejszym. Ale i to niemniej jest warte, że, poznając życie roślin, nabieramy zamiłowania do otaczającej nas przyrody, uczymy się patrzeć na nią i coraz lepiej rozumieć, co się na świecie dzieje. Jednocześnie zaś, ponieważ rośliny są pięknymi tworem Bożemi, doskonałymi w swej prostocie pozornej, zadziwiającymi w swych czynnościach i w swej budowie, przeto mimowolnie niejako kierują myśl naszą ku Temu, który je z niczego uczynił, który przyozdobił lilje polne, dał siłę dębom i giętkość dzikiemu winu; który każe ziemi rodzić ziarno i ziemniaki, a drzewu wydawać smakowite owoce.

Poznanie i hodowanie roślin czyni człowieka pobożniejszym, a jednocześnie materialnie bogatszym.

Dlatego nauczanie ogrodnictwa w szkołach zastosowano powszechnie w wielu krajach.

Bardzo często przy szkole znajduje się zaledwie niewielkie podwórze, niekiedy nawet zabrukowane. W takim wypadku

o ogrodzie nie może być mowy. Jedynie chyba można tu i ówdzie bruk wyłamać i posadzić drzewa, które podwórze przyozdobią i ocieniają.

Często jednak i w tych wypadkach, przy staraniach, można uzyskać od gminy, zarządu miasta lub innej władzy kawałek ziemi, choćby nie przy samej szkole położony, i tę na ogród szkolny obrócić.

Najwłaściwiej przecież będzie, gdy przy każdej szkole, a zwłaszcza wiejskiej, znajdzie się kawałek ziemi, przeznaczony pod ogród szkolny. Od wielkiej biedy może i mógł przestrzeni wystarczyć, lecz pożądanymi byłyby ogrody dwu, a jeszcze lepiej trzymorgowe. Najczęściej gmina może wydzielić tę ziemię ze wspólnych gruntów, a udzielając jej szkole, nie straci na tem, tylko przeciwnie zyska i to niemało. Zyska, bo członkowie gminy nauczą się hodować pożyteczne i potrzebne, zwłaszcza wieśniakowi, rośliny; bo będzie miała u siebie ogród prowadzony porządnie, z którego będzie można dostawać tanio krzewy, drzewa, zioła pożyteczne, niekiedy nawet nasiona, a zawsze od nauczyciela wskazówki i rady, jak i co hodować. Wiemy, że i obecnie przy wielu szkołach są takie przestrzenie ziemi, któreby mogły na ogrody posłużyć, ale zapuszczone, po części zaniedbane, ledwie rodzą trochę ziemniaków i lichych warzyw. Też same przestrzenie przy umiejętnem urządzeniu i zagospodarowaniu mogą pomieścić dużo różnorodnych roślin i niemały przynieść pożytek. Jak to uczynić, spróbujemy wyjaśnić.

Najprzód tedy cały ogród szkolny musi być ogrodzony. Ponieważ pożądanem jest, żeby każdy przechodzący widział, co się w nim i jak robi, więc ogrodzenie sztachetami drewnianymi, wysokimi na 1,2 metra (około 2 łokci), zupełnie wystarczy. Sztachety powinny być o tyle gęste, żeby nie mogły przez nie przedostać się kury sąsiadów. Zamiast sztachet można ogrodzić wierzbiną. Na ten cel na całej granicy reguluje się ziemię na 0,5 m. (1 łok.) szeroko i głęboko i na tym pasku wyka się na wiosnę co łokieć gałązki wierzby, którejkolwiek odmiany koszykarskiej, tak głęboko, żeby tylko dwa oka nad ziemią sterczały. Następnej wiosny wszystkie gałązki splata się na krzyż z każdego krzaka z następnym. W roku drugim robi się też samo z nowymi gałązkami, więc wyżej, w roku trzecim i czwartym podobnie. Jednem słowem z żywej wierzby robimy przez lat kilka plecionkę, wysoką jak człowiek. Gdy będzie gotowa, od-tąd już należy wierzbowy ten płot co wiosną przycinać z boków i z wierzchu, a tym sposobem otrzyma się zieloną, zwartą ścianę ozdobną a mocną. Witki, ze ścięcia otrzymane, mogą służyć do wiązania lub na koszyki. Żeby ten płot zabezpieczyć od ogryzania przez krowy, należy go nazewnątrz ochronić drutem kolczastym, naciągniętym na słupkach, w ziemię wbitych co 4 metry

(7 łokci). Druty powinny być dane 3: jeden o 0,30 m. nad ziemią (około stopy), drugi nad nim na 0,6 cm. (2 stopy) i trzeci tak samo wysoko.

Przygotowanie ziemi polega na jej, o ile można, obfitem nawiezieniu i przeoraniu. Nawozów można używać: obornika, ludzkiego, śmieci z szosy lub kompostu. Nawozy rozpościera się równo po powierzchni przed samem oraniem lub kopaniem, co można zrobić na jesieni, albo też na wiosnę. Zresztą przygotowanie ziemi takie jest, jak pod buraki lub ziemniaki, t. j. jedna, a lepiej dwie podorywki jesienne i jedno oranie na wiosnę. Oprócz tego pod niektóre rośliny mogą być potrzebne regulówki, t. j. głębokie na 0,4 do 0,8 m. przekopanie, połączone z odwróceniem warstw ziemi. Regulówka służy do spulchnienia gruntu, oraz do doprowadzenia części pożywnych w głąb, to jest tam, gdzie się mogą dostać korzenie roślin uprawianych. Praca ta jest potrzebna pod szkółki, winnice, rośliny zimotrwałe, różanki, w niektórych razach i pod drzewa owocowe, a szczególnie wtedy, gdy ziemia jest bardzo ścisła i trzeba ją spulchnić, lub też, gdy na wierzchu jest lekka, a w głębi tłusta, pożywna; wydobywając taką ziemię na wierzch, poprawiamy grunt, jak to bywa na piaszczach z podglebiem gliniastem.

Ponieważ w kraju naszym grabarze przeważnie umieją robić regulówki, a kto nie umie, ten się łatwo nauczy od najbliższego ogrodnika, przeto nie będziemy opisywali sposobu wykonywania tej roboty.

Woda do podlewania jest w każdym ogrodzie, więc i szkolnym, potrzebną. W przypuszczeniu jednak, że ogród ten będzie niewielki, sądzimy, iż wystarczy studnia przy domu będąca. Gdyby w ogrodzie była sadzawka, lub można było ją łatwo zrobić, zatrzymawszy wody deszczowe w najniższym miejscu zapomocą małej grobli — trzeba to uczynić. Niedrogie też są wkreślane w ziemię studnie abisyńskie, które łatwo w miarę potrzeby można przemieścić z miejsca na miejsce. Służą one do czerpania wody zaskórnej, która w wielu gruntach znajduje się już na głębokości paru lub kilku metrów (1 metr = 1 i 3 ćwierci łokcia).

A teraz jak ogród podzielić, by na niewielkiej przestrzeni jak najwięcej różnych roślin pomieścić?

Odpowiednio do obszaru ogrodu i do jego ogólnego kształtu, mogą zmieniać się ustosunkowanie i układ pojedynczych części składowych, ale wogóle można zalecić podział następujący:

Dom wraz z niezbędnymi zabudowaniami, jako to: obórką i chlewem, szopą i drwalnią, miejscem ustępowem, powinien być zawarty w osobnem oparkanionem podwórzu. Zdala od śmietnika i ustępów należy umieścić studnię. Kury, kaczki, prosięta z zamkniętego ogrodu nie będą miały dostępu, więc nie będą nic w nim psuły. Przed domem trzeba pozostawić wązkie pasek ziemi, na nim posadzić kilka kulistych akacji, głógów z pełnym

kwiatem lub jarzębin, a na razie urządzić grządki pełne kwiatów. Takim sposobem domek się przyozdobi, odsunięcie zaś od ulicy jest zawsze pożądanem. Jedno wyjście z domu może prowadzić przez ten ogródek do izby szkolnej (lub też z podwórka), drugie przez sienię złączone z tą izbą, da przystęp do ogrodu. W najbliższym sąsiedztwie domu powinien się znajdować niewielki ogród spacerowy, w nim drzewa i krzewy, ile możliwości różnorodne, a każde drzewo lub krzew, jak i rośliny zimotrwałe, pojedynczo po trawnikach rozsądzone, zaopatrzone w tabliczki z nazwiskami, żeby dzieci nauczyły się je znać.

Dalej sad owocowy, ogrodzony płotem z leszczyny, której może być również kilka odmian. W sadzie po kilkanaście drzew z każdego gatunku, w odmianach dla wiejskiego zagrodnika lub włościanina najodpowiedniejszych; po brzegach na grzędach truskawki, porzeczki, agresty, maliny i jeżyny, wszystko z nazwiskami i, o ile można, w różnych praktycznych odmianach. Pod drzewami — uprawa warzyw. W następnej części czysto utrzymywane szkółki roślin użytecznych lub szkodliwych, które każdy wieśniak znać powinien. Oddział ten należy podzielić na zagony na 1,2 m. (2 łokcie) szerokie, robiąc pomiędzy nimi wązkie na stopę ludzką brzoźdy, żeby dostęp ułatwić. Na grzędach w kwadratach pomieścić się rośliny, po kilka lub kilkanaście z każdego gatunku, zaopatrując każdy kwadrat w tabliczkę z napisem. Taki podział i takie urządzenie okazały się najodpowiedniejszymi w ogrodach botanicznych. W tej części pomieścimy oddział botaniczny z typowymi roślinami z każdej z głównych botanicznych rodzin. Dostarczą one materiału do wykładu botaniki, zastosowanej do potrzeb ludności wiejskiej. Dalej pójdą ważniejsze rośliny apteczne, potem okazy najważniejszych gatunków i odmian zbóż, roślin gospodarskich i traw, nareszcie szkółka chwastów, żeby dzieci nauczyły się poznawać je i wyniszczać. Część tę dobrze jest cegłą odgradzić od reszty, by się chwasty nie rozlażyły łodygami podziemnymi; do wysiania zaś nigdy nie dopuścić, zrzucając szypuły kwiatowe, gdy kwiaty przekwitną. Nareszcie mały kawałek można tu przeznaczyć na hodowlę najpotrzebniejszych nasion warzyw i kwiatów. Co lat 4 lub 5 trzeba te działy przemieniać, dając na to miejsce rośliny apteczne i t. p.

Największą stosunkowo część ogrodu pozostawiliśmy na szkółki i warzywa.

Część tę podzielimy na równe części, a w ten sposób szkółka będzie stopniowo przesuwana się z miejsca na miejsce, a po ustępujących drzewkach następować będą warzywa.

Cały ogród ujęty w żywopłot z wierzby, do czego mogą być użyte różne gatunki wierzb koszykarskich, azatem będą mogły dostarczać precików do wyrabiania koszyków w szkole.

Ogród powinien być dość często i obficie nawożony, do czego posłużą zarówno nawóz od krowy świni i ptactwa, jako też

obfita przy szkole zawartość wychodka, którą trzeba codziennie ziemią przesypywać i co pewien czas wywozić na ogród, lub gdy ten jest pełen roślin, w kąt ogrodu na gromadę, nakrytą daszkiem z desek.*

Edm. Jankowski.

11. Listopad.

Cepy czy młocarnia.

Z dawien dawna gospodarze nasi wiejscy używają do młocenia zboża cepów.

Młocka cepami jest, jak wiadomo, ciężką i powolną pracą. Gdy pora sprzątania zbiorów jest sprzyjająca i zboża sucho zebrane, to jeszcze pół biedy z młocką; ale jak są zbiory słotne, co się często zdarza, że gospodarz musi wykładać zboże z pola do stodoły nieraz na pół mokre, w stodole do tego jeszcze się zapoci,—wtenczas jest cała bieda z młocką cepami. Zwłaszcza w czas mglisty i wilgotny młóci się z taką trudnością, że niekiedy nawet po kilkakrotnem przemłóceniu jeszcze jakaś część ziarna zostaje w słomie niedomłócona.

Ileż to gospodarze nasi napracują się nad młocką cepami, począwszy od żniw aż do samej prawie wiosny, ile tracą drogiego czasu! Czyżby nie lepiej czas ten i trud ciężki na coś pożyteczniejszego użyć, choćby na jakiś rodzaj przemysłu domowego, jako to: wyrób koszów i koszyków, kapeluszy ze słomy, zabawek dziecinnych, na tkactwo domowe, na naukę czytania i pisanie, i na wiele jeszcze innych pożytecznych rzeczy. Wszystko to nam jest niezbędnie potrzebne; bez kosza lub koszyka żadne gospodarstwo większe, lub mniejsze, obejść się nie może. Jest, co prawda, parę zakładów koszykarstwa w kraju naszym, ale te i jednej setnej części nie mogą zaspokoić potrzeb naszych; korzystają z tego koszykarze zagraniczni, którzy przywożą nam swoje koszyki, a wywożą od nas nasze pieniądze, śmiejąc się z nas, iż niedołężni jesteśmy.

I prawda, że niedołężni jesteśmy, bo szkoły koszykarstwa stoją otworem dla nas, a my nie posyłamy swych synów na naukę,—nie dlatego, żeby nas było nie stać ponosić kosza, bo nauka tam zupełnie bezpłatna, ale jedynie dlatego, że nie miałby nam kto młócić cepami zboża!

¹⁾ Rozdział niniejszy jest wstępem z pięknej i niezmiernie pouczającej książki znakomitego naszego ogrodnika, p. E. Jankowskiego, p. t. „Ogród przy szkole wiejskiej“, w której to książce znajdzie czytelnik wiele cennych wskazówek oraz plan ogrodu.

Drugą gałęzią przemysłu domowego jest kapelusznictwo. W każdej wiosce, ba! nawet w każdym domu, bez kapelusza żaden z mężczyzn obejść się nie może. A któż nam robi te kapelusze? My sami nie umiemy, a co gorsza, nie mamy czasu. W lecie niema o czym mówić, bo każdy gospodarz ze swą czeladzią ma ciągłą robotę około roli; a zimą trzeba stać codzień w stodole z cepami i młócić... Więc o zrobieniu kapeluszy dla siebie i dla domowników niema co i marzyć, tylko trzeba kupić. A gdzie i u kogo? A no, juścić u żyda w kramie, lub na jarmarku fabryczną tandetę! Niby to ładny, modny, biały, wyprasowany, ale licha wart; pójsz w nim parę razy na deszcz—zeczernieje i robi się jakoby kołpak,—i nasz wieśniak wygląda w nim, jakby jaki cudzoziemiec, a nie chłop polski. A za taki kapelusz każe sobie żyd zapłacić rubla i więcej nawet. I czyż my, bracia wieśniacy, jesteśmy tak bogaci, żebyśmy wydawali ciężko zdobyty grosz na marną tandetę? Czyżbyśmy nie mogli wyrabiać sobie sami kapeluszy z naszych własnych traw, z naszej własnej słomy, zwyczajne chłopskie, jakie nasi ojcowie nosili? Czas mielibyśmy na wszystko. Zima jest tak długa, że trudno doczekać się wiosny; ale cóż, kiedy te nieszczęsne cepy zabierają nam ten czas wszystek dla siebie...

Wyrób zabawek dla dzieci zdaje nam się nie żadne rzemiosło, bo my, ludzie ubodzy, nie zawsze możemy sobie pozwolić na zabawkowe wydatki; my musimy myśleć o chlebie, a nie o zabawkach dla dzieci. A jednak są ludzie tacy, którzy potrzebują onych zabawek i wydają na nie pokaźne sumy. A komu? Przedsiębiorcom zagranicznym. Czyżby to nie dobrze było, aby te sumy pozostawały u nas, w naszych kieszeniach? Niejedna wioska nasza miałaby niezły dochód z tego. Ale cóż! kiedy nam brak chęci i brak czasu, bo go musimy użyć na młockę cepami.

A teraz zastanówmy się nad tkactwem domowym,—jakże ono u nas stoi? Bardzo źle. Czyż mamy w każdej wiosce choć jednego tkacza? Gdzież tam! Nieraz i na parę wiosek niema jednego. A toż każdy dom potrzebuje wiele koszul. Nasze gospoście, po uprzedzeniu swojej przędzy, muszą szukać tkacza najczęściej w mieście jakiegoś żyda; ten trzyma przędę nieraz rok i więcej. A jak jeszcze wyrobi płótno, pożal się Boże,—szkoda tej przędzy i tej zapłaty. To też z braku porządnego tkaczy nasze gospoście zaniedbują siać len i konopie; a z tego powodu powiększają się wydatki gospodarskie, bo gospodyni z braku swojej przędzy musi ją zastąpić cienkimi płócienkami i perkalami, kupowanymi w kramikach.

Ludzie dobrej woli założyli parę szkół tkackich, z ulepszonymi warsztatami. Przytem sprowadzili nauczycieli, żeby naszych chłopców wiejskich uczyli wyrobu płótna i wszelkich innych tkanin lnianych i bawełnianych.

Nauka w onych szkołach tkactwa jest zupełnie bezpłatną. Ci ludzie zacięży, którzy zakładali dla nas owe szkoły, nie przewidywali dla siebie żadnych widoków, ani też korzyści, ale jedynie tylko dla nas, dla naszego postępu, dla naszego dobrobytu poświęcili swoje trudy, starania i fundusze bardzo znaczne. A my czy z tego korzystamy? Czy posyłamy swoich synów na naukę tkactwa? Musimy ze smutkiem odpowiedzieć:—bardzo mało. A dlaczego? Bo my nie mamy czasu. W lecie chłopak się przyda około gospodarstwa, a na zimę jest parę kopinów zboża do młocki, to będzie miał do samej wiosny robotę z cepami.

Zastanówmy się jeszcze nad najważniejszą sprawą, obchodzącą nas, nad wychowywaniem naszych dzieci.

W Danji, Holandji, Szwajcarii i wielu innych krajach uważany jest za najnieszczęśliwszego z ludzi ten, któryby nie umiał czytać i pisać—zresztą takich tam prawie niema,—! na 10 tysięcy. A u nas czyż niema całych domów takich, co nikt nie zna ani jednej litery polskiej? Niejeden chłopak, gdy go losy rzucą na obczyznę, płacze na rodziców, że mu nie dali nauki: nie może napisać listu do swoich drogich rodzinnych stron, aby wypowiedzieć tęsknotę za domem, rodziną i krajem.

Nauka czytania i pisanie jest każdemu człowiekowi tak potrzebna, jak pokarm i napój, jak świeże powietrze, jak rybie świeża woda.

Dawniej człowiek bez nauki czytania mógł jeszcze prędzej żyć. W dzisiejsze czasy człowiek bez nauki jest wprost nieszczęśliwym: nie umie i nie może sobie radzić ani w życiu domowym, ani tembardziej publicznym; nie umie ulżyć sobie w ciężkiej pracy; nie chce uwierzyć, iż tą lub ową pracę można wykonać daleko prędzej i dokładniej stosownymi narzędziami.

Prawda, jesteśmy stworzeni wszyscy do pracy i nie wart chleba ten, kto nie chce pracować.

Ale cóż jest warta praca bez korzyści? Wszak każdy z nas powinien pracować tak, aby nie obciążać swoich sił i aby mieć dobre zyski z pracy.

My jednak, można śmiało rzec, pracujemy bez korzyści. Weźmy jeszcze raz te nasze prastare cepy. Ileż to nasi ludziska muszą się namozolić nad młocką cepami przez większą część roku. Iluż to naszych młodych chłopaków dostaje drżenia rąk, jak siedemdziesięcioletni starcy od strząśnienia nad młocką cepami. Ile tracimy drogiego czasu przytem! A czas to jest skarb,—trwonić go nie wolno; z każdą godziną człowiek powinien się liczyć i nie marnować na próżno.

Otóż, szukając przyczyn, dlaczego u nas w ludzie wiejskim tak nisko stoi oświata i przemysł domowy, spostrzegamy to, iż wszyscy odwołują się na brak czasu. A przecie jest to najzupełniej niesłuszne: czasu mielibyśmy dosyć na wszystko, gdybyśmy

tylko zaniechali młocki cepami, a natomiast wymłacali zboża na młocarniach.

— „Dobrze radzi!”—powie niejeden z was, drodzy czytelnicy — „ale młocarnie dobre byłyby tylko dla większych gospodarzy, nie dla nas, którzy mamy po kilka lub kilkanaście morgów ziemi. Czyż my tak dużo mamy zboża, żebyśmy aż młocarni potrzebowali? A przytem nie stać nas młocarnię kupić”.

Inni znów powiedzą, że młocarnie nie dla włóścian, bo źle wymłacają zboże, potrzebują dużo miejsca, dużo siły pociągowej i t. d.

Więc, moi kochani współbracia i czytelnicy, z podobnych zarzutów wam się wytłumaczę. Że macie małe gospodarstwa, a przytem i niewiele zboża, tembardziej wam potrzeba wymłacać na młocarniach, dlatego, aby nie tracić czasu całą niemal zimę nad młocką cepami, ale obrać sobie jakowyś przemysł domowy, tem się trudnić całą zimę, z czego byłaby dodatkowa pomoc w szczupłym gospodarstwie.

Że jednego małorolnego gospodarza nie stać na kupno młocarni, to jest słusznem, ale czyż na to niema żadnej rady? Owszem, jest, i jaka dobra! Najprzód zmówić się w kilku lub kilkunastu gospodarzy, że potrzeba nam kupić młocarnię; a że młocarnie są różnych systemów, fabryk i rozmiarów, więc wszyscy podług swoich potrzeb powinni zastosować sobie młocarnię. Na małe kilkomorgowe gospodarstwo byłyby najstosowniejsze młocarki ręczne; taka młocarka wymaga bardzo niewiele miejsca, a wymłaca tak dobrze, jak i maneżowa: dwóch chłopów może lekko obracać bez wielkiego zmęczenia. Na takiej ręcznej maszynie można w pięciore ludzi omłócić zboża do piętnastu korcy i więcej dziennie.

Taką ręczną młocarkę radziłbym kupować wspólnie małorolnym gospodarzom. Kosztuje niezbyt drogo, za 85 rubli można dostać ulepszoną młocarnię ręczną, która odbiera zboże od słomy i bardzo lekko chodzi. Można kupować takie młocarki we wszystkich składach narzędzi rolniczych, tak w Warszawie, jako i w innych miastach gubernialnych. Na większe zaś gospodarstwa dwudziesto lub trzydziesto morgowe już stosowniejsze są młocarnie z maneżami; te są droższe, ale też można w kilku lub kilkunastu wspólnie kupić, a koszt będzie niewielki. Taka młocarka z maneżem, czy, jak się pospolicie mówi, kieratem, kosztuje sto pięćdziesiąt do stu osiemdziesięciu rubli, a może wymłócić do trzydziestu korcy zboża dziennie. Wymłaca przytem bardzo dobrze, tak iż nigdy cepami tak nie można wymłócić, jak na owej młocarni. Mówię to wam z własnego doświadczenia, bo już trzy lata młóć na takiej młocarni, i przekonalem się, jak wielkie przysługi oddaje ona gospodarzowi. Kupno młocarni w kilku gospodarzy już w pierwszym roku zwróci każdemu koszt na nią wydany. A ten koszt będziemy mieli zwrócony w tym

drogim czasie, o który nam tak bardzo chodzi, bo będziemy go mogli użyć na coś pożyteczniejszego.

Drodzy czytelnicy! przyjmijcie ode mnie, waszego brata rolnika, powyższe rady ze szczerego serca płynące. Nie lekceważmy czasu, nie żyjemy z dnia na dzień. Jesteśmy obywatelami kraju, ciąży na nas obowiązek, abyśmy potomstwu naszemu zostawili pamiątkę po sobie.

Ojcowie drodzy! synom naszym poświęćmy więcej czasu na wychowanie, nie trzymajmy ich wiecznie, jak więźniów przy cepach. Postarajmy się dla swych synów o dobre szkoły, dajmy im naukę, ten skarb najdroższy na świecie, uczmy ich rzemiosł i przemysłu domowego. Tak postępując, zapewnimy swemu potomstwu byt szczęśliwy, a sobie wieczną pamięć u ludzi, co daj Boże.

Wasz brat *Jan Laszcz*

z Piotrowic, pod Nałęczowem.

SUPERFOSFAT

i jego znaczenie w gospodarstwie rolnem.

Gleba, z której rośliny bywają zbierane, traci w sprzątniętych plonach znaczny zapas zawartych w niej pokarmów roślinnych i tym sposobem wyczerpuje się. Strata jest tym większą, im obfitszy był plon, im większa masa roślinna została wyhodowaną i sprzątniętą z pola.

Chcąc zatem ziemię utrzymać w należytej żyzności i zbierać z niej stale opłacające się plony, należy ziemi zwracać te pokarmy, których najwięcej traci.

Nawóz stajenny (obornik) jest najuboższy w kwas fosforowy, więc samym obornikiem zaopatrzyć ziemi w dostateczną ilość tego kwasu nie można; że zaś stosunek wydajności plonów ściśle odpowiada ilości zużytego kwasu fosforowego, to nawożenie ziemi tym składnikiem powinno się odbywać regularnie co rok.

Powstałe od niedawna u nas w kraju fabryki dostarczają tego fosforu pod postacią superfosfatu, przez co nawożenie stało się łatwym i tanim.

Dla bliższego poznania się z tym superfosfatem podajemy krótkie wiadomości w formie pytań i odpowiedzi i nadmieniamy, że w miarę potrzeby będziemy periodycznie drukować i rozsyłać naszym odbiorcom coraz to nowe spostrzeżenia, oparte na robieniu różnych doświadczeń z tym nawozem.

Co to jest superfosfat?

Superfosfat wyrabia się ze skamieniałych odchodów zwierząt przedpotopowych.

Na czym polega wartość superfosfatu?

Superfosfat zawiera 13 do 17% i więcej kwasu fosforowego łatwo rozpuszczalnego w wodzie, najważniejszego składnika pokarmowego dla wszystkich roślin. Działa szybko, chroni zboże od pokładania i przyspiesza dojrzewanie.

Na jakich gruntach należy go używać?

Superfosfat można używać na każdej ziemi, oprócz szczyrych piasków. Na dobrej glebie i przy zastosowaniu nawozów zielonych jest niezbędny i siewie się opłaca.

Jak i kiedy wysiewa się superfosfat?

Superfosfat można siać ręką, a dla równiejszego rozsiania mieszać z torfem, piaskiem lub suchą ziemią, nigdy z popiołem ani wapnem. Zabronować lub płytko przyorać, zawsze na krótko przed siewem.

Pod jakie rośliny i w jakich ilościach skutecznie go używać?

Superfosfat używa się pod wszystkie rośliny, biorąc na móg 300-prętowy, zależnie od jakości gleby:

pod pszenicę	. . .	250 do 500	funtów
" żyto	. . .	250	" 500 "
" jęczmień	. . .	250	" 500 "
" owies	. . .	200	" 400 "
" grochy i wyki	200	" 400	" "
" kartofle	. . .	200	" 300 "

Na co należy zwracać uwagę przy kupnie superfosfatu?

Należy kupować superfosfat tylko w oryginalnych workach, zaopatrzonych w stempel fabryczny, płacąc podług wagi i procentowości, stemplem na nich oznaczonej.

Gdzie można nabywać superfosfat?

U agenta fabryki,
lub w składzie fabrycznym.



12. Grudzień.

Jeszcze o strażach ogniowych.

Pożar, — to obraz grozy i zniszczenia.

Truchleje każdy, gdy usłyszysz dzwon na alarm bijący. Pędzi straż do ognia co kon wyskoczy, biegnie młody i stary z to-porem w rękę, by nieść pomoc! Tak bywa w miastach, dbałych o swoje dobro; ale na wsi, gdy pożar wybuchnie—to ratunek rozpacz się równa.

Ogień, siłą wiatru pędzony, obejmuje wieś całą, przerzucając się dowolnie w różnych kierunkach. Budowle drewniane, dachy słomiane, przytym wszystkie zabudowania skupione, często węglami ze sobą złączone, tworzą istny skład materiału palnego, który w razie pożaru w jeden słup ognia się zamienia.

Na okrzyk „pali się“ zbiega się ludność wsi całej, ale z gołemi rękami!

W przestrachu nikt nie wie za co się wziąć; znajdzie dzban—to jeden drugiemu go wyrzuci, chce pomódz, chce ratować, ale niema czym, nie wie jak. Powstaje zamęt, krętanina, krzyk, zgiełk. Zupełny obłęd ogarnia wszystkich. Ta bezsilność, ta niemoc—to rozpacz czarna, a tu ogień z sykiem, z trzaskiem niszczy owoce pracy rolnika!

Gdy pożar strawił całe mienie, gospodarz idzie do wójta; pokornie chyląc czoło, uzyskuje świadectwo, że jest „pogorzalcem“ i wędruje o kiju z workiem na plecach od drzwi do drzwi po wsparcie—u proga stojąc, uderza do miłosierdzia ludzkiego, błaga litości.

Gospodarz, który wczoraj był panem na swojej zagrodzie, dziś — po ogniu — jest żebrakiem.

Tak bywa często! Czyż to nie upokarzające?

To gorzej—bo poniża godność pracownika na roli! Ta dłoń twarda, która pługiem skibę kruszy i ogniem owładnąć winna! Za nic praca, za nic trud cały, gdy bezpieczeństwa niema.

A na wsi o pożar tak łatwo.

Nie jeden, kilkoletni nawet chłopiec, papierosa pali i to wszędzie, bodaj na słomie w stodole; a jeżeli dodamy, że złość ludzka w zemście jest straszna — to jeśli nie rozum, to sam ogień rozświetli nam potrzebę myślenia o samopomocy w ratowaniu i zaradaniu złemu.

Właściciele fabryk i folwarków ubezpieczają swoje maszyny, inwentarze, zboże, słomę, paszę, sprzęty domowe, nawet garderobę w towarzystwach prywatnych od ognia, płacąc znaczne składki. Włościanin, na ogół biorąc, nie ubezpiecza się; towarzystwa ubezpieczeniowe nie przyjmują osad włościańskich z racji nagromadzenia budowli różnych właścicieli w jednym miejscu

(zbyt wielkie ryzyko), natomiast osobno zabudowane kolonie, same w sobie stanowiące całość, mogą być ubezpieczane. We wzajemnym rządowym Towarzystwie podane obowiązkowo są tylko same budowle bez zboża i bez inwentarza. Wobec takiego stanu rzeczy, sama konieczność wymaga, by wieś każda miała straż ogniową, by stratę w razie ognia o ile można zmniejszyć.

O konieczności zakładania straży ogniowych wiejskich niech nam mówią te kościoły, szkoły, plebanje, domy urzędów gminnych. Są to budowle kosztem gmin i parafji stawiane, na co przez długie lata całe pokolenia grozły swój dawali. Ile trudu i pracy, ile starań i czasu potrzeba było, aby kościół postawić—a dziś zostawiony bywa bez obrony przed ogniem.

Są fundusze w gminach, które, jako przez gminniaków wnieszone, właśnie na potrzeby gminy obracane być winny—a zebrania rozporządzać niemi mają prawo. Jeżeli te swoje oszczędności na różne cele przeznaczają, to narzędzia pożarne są pierwszą potrzebą, której słuszności nikt nie odmówi.

Obojętność w tej sprawie jest lekkomyślnością, nawet grzechem.

Chcąc, aby straż ogniowa przyniosła rzeczywistą obronę i ratunek, musi być na miejscu, a więc w każdej wsi. Drogi mamy tak złe, że przebycie kilku wiorst stanowi o nieudaniu wyprawy, a to przez zwłokę czasu. Dalej, na wsi trudno rozpoznać miejscowość, gdzie się pali, tak, iż wiorsta w milę się zmienia i wreszcie, ujechawszy kilka wiorst, okazuje się, że „pali się daleko“. Nakoniec pożar wogóle, a na wsi w szczególności oparować się da, gdy ratunek jest natychmiastowy—więc tu mowy niema o kilkunastowym przewadzeniu sikawek; może to być i z wielką korzyścią, ale jako pomoc dodatkowa w połączeniu z działającą już na miejscu od chwili wybuchu pożaru. A więc pod opieką np. sołtysa być winny w każdej wsi dwie sikawki (lepiej dwie mniejsze, niż jedna większa, gdyż jedna ogień gasi, druga służy do obrony sąsiedniego budynku), 6 beczek na półwoziach, kilkanaście kasków (chronią od iskier i głowni), kubły, bosaki, szpadle, drabiny, topory i t. d. W każdej wsi przez sołtysa naznaczany bywa co noc dyżurny, t. zw. „warta“; otóż taki winien mieć trąbkę alarmującą, by w razie ognia wszystkich do apelu powołał.

Dla wartownika na środku wsi stoi budka—przy niej więc i miejsce odpowiednie na szopę do narzędzi ogniowych, od zamknięcia zaś winny być trzy klucze: u sołtysa, podsołtysa i wartownika.

Niezależnie od posiadania narzędzi, trzeba pewnej wprawy w rozstawianiu ludzi — w kierowaniu całą machiną, utrzymaniu w porządku narzędzi — dalej musi być jeden, rozkazów którego wszyscy słuchają, gdyż właśnie przy ogniu o ład najtrudniej. — Otóż, z tych przyczyn próby często urządzać należy, pod wo-

wybranego przez wieś naczelnika pomnuć na to, że gimnastyka zręczności uczy, a przytomność wyrabia.

Rok bieżący na wsi rokiem ognia nazwać można; krwawe łuny co noc widnieją na widnokręgu. Przed laty dwudziestu był rok, w którym miasta gorzały, i to było powodem, iż każde dziś ma straż pożarną ochotniczą.

Ażeby założyć straż ochotniczą we wsi, należy sprowadzić ustawę normalną, wpisać w niej odpowiednie ustępy, a potem zwołać zebranie wiejskie, jeśli straż ma być w jednej wsi, lub zebranie gminne, jeśli straż ma być dla całej gminy — i uchwalić założenie straży. Uchwałę tę wraz z ustawą straży należy przesłać do zatwierdzenia gubernatora za pośrednictwem naczelnika powiatu ¹⁾.

Mówiąc o pożarach na wsi, należy nadmienić, że własność większa w ostatnich latach nieurodaju obniżyła stopień swych ubezpieczeń w Towarzystwach ubezpieczeniowych, uważając płacenie wysokich składek (premji) za znaczny ciężar, a więc sprawa ogniowa silnie jej także dotyczy. A ponieważ dwór z chatą przeważnie blisko graniczą tak, iż ogień jedno paląc, drugiemu zagraża — więc i dwory narzędzia pożarne zaprowadzać winny — tym słuszniej, że przez obniżenie asekuracji czynią ryzykowne oszczędności, które da się usprawiedliwić, gdy te jednocześnie na kupno sikawek obracane będą.

Swojego czasu przysługiwał własności większej kredyt bankowy na kupno maszyn rolniczych, co następnie było spłacone przez kilka lat, łącznie z podatkami wprost do kasy powiatowej. Kredyt taki oddałby usługi, gdyby był wyjednano i na kupno narzędzi pożarnych nie tylko dla dworów, ale także dla wsi i miasteczek.

Ponieważ ogień siłą swoją żywiołową niszczy cały dostatek włościanina, czyniąc go nędzarzem za jednym płomienia zamachem — otóż niezależnie od obrony przez straż pożarną, winna być pomoc doraźna na wzajemności oparta, dla uchronienia gospodarstw od zupełnego upadku.

Pomoc taka, jak sprowadzenie zasiewu, uprawa pola, przeżywienie inwentarza, zwiezenie materiału budowlanego i t. p. A że ogień znosi najczęściej połowę wioski — więc pomoc taka zbyt obciążałaby pozostałych niedotkniętych pożarem włościan — otóż niech taka **pomoc wzajemna** obowiązuje wszystkie wsie w całej gminie, przez rozdział w stosunku do posiadanych morgów ziemi ornej i łąki.

Doświadczenie uczy, że pomoc dla nas od nas samych wyjść powinna.

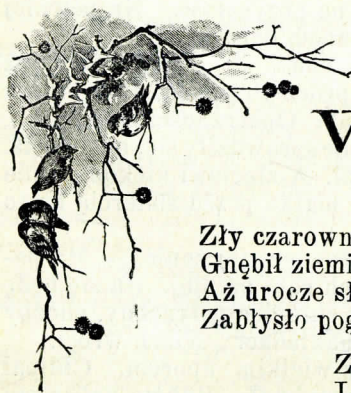
¹⁾ Wszelkiej pomocy przy zakładaniu straży udziela biuro pod firmą „Ignis”; mieści się ono przy ul. Ordynackiej Nr. 7. Można za jego pośrednictwem dostać ustawę, sprowadzić potrzebne narzędzia i uzyskać przyjazd instruktora.

Niech to nie będzie jednak na miłosierdziu oparte, ale na braterskim obowiązku.

Bieda ludzi jednoczy, potrzeba zaś pomoc wywołuje, a „cześć i obowiązek pilnie czuwać każą”.

Jeśli kto nie pojmuje ważności straży pożarnych, niech idzie tam gdzie „gore”, a usłyszy jęk i płacz — niech spojrzy na zniweczenie pracy i oszczędności — niech słucha skarg i przekleństw — modlitw i bluźnierstw — niech patrzy na gruzy i popioły, wśród których wiatr dzikie harce wyprawia, a bosonogie dzieci chleba wołają — wówczas obojętność minie, a ciemny czy uparty przez jasność pożaru przejrzy.

Jan Walcz.



WIOSNA.

Zły czarownik długo
Gnębił ziemię młodą,
Aż uroczę słonko
Zabłysło pogodą.

Zabłysło pogodą,
I jakby kochanek,
Na zbudzoną ziemię
Rzuca kwiatów wianek.

Świeć nam, świeć, słoneczko,
Wesołe, radosne,
Niech i smutne serca
Czują dzisiaj wiosnę.

*

*

*

Zły czarownik długo
Lody kuł dla Wisły:
Powiał wiatr z południa,
Lody nagle prysły.

I Wiselka rażno
Biegnie znów do morza,
A słonko w nią patrzy,
Jak żrenica Boża.

Płynię, płyn, Wiselko,
Swobodna, radosna,
Przypominaj ludziom,
Że po zimie wiosna.

Zły czarownik odarł
Z liści nam dąbrowę;
Dzisiaj jej wyrosną
Lśniące szaty nowe.

I z ogrzanej ziemi
Wschodzą cudne kwiaty,
A łąka rozściela
Kobierzec bogaty.

Lećże w górę, serce,
Jak skowronek buja,
Niechaj brzmi po świecie:
Wiosna — alleluja!

Stanisław Grudziński.

DO SĄDU. *)

(OBRAZEK WIEJSKI).

Ojciec Franka odumarał wcześniej. Matka oddała go do szkoły i cieszyła się nim strasznie, bo chłopiec był zmysłny i do nauki parł się, jak do raj. Kto wie, co se ta myślała po cichu, jakie dostojeństwa wielkie śniła mu na przyszłość. Najpewniej księdzem żeby ostał, albo wielkim panem odrazu...

Tymczasem zięcia przyjęła do domu, bo córkę miała już dziewczyną letnią. Więcej dzieci, prócz Franusia, Bóg jej nie nagodził. Niech i za to będzie chwała Opatrzności boskiej.

Nieszczęście chciało, że sny jej nie sprawdziły się, bo umarła. Zerwała się robota, i duch ją odleciał. A zięciowi niekoniecznie było nakładać na Franka, choć go matka przed śmiercią na to zaprzysięgła.

— Niby poco? — tłumaczył Zośce, swojej żonie. — Ma polówkę swoją, to niech przyjdzie, niech robi na niej. Ja się będę utraczał, a kto mi to odda? W domu chłopiec potrzebny, choćby wolów zapaść... Co ja mam darmo nakładać? Niech wróci.

I wrócił Franek do chałupy z wielkim uporem. Chlipał często łzy, nim przywyknął, ale przywyknął. Robota paliła mu się w rękach, i wszyscy byli radzi, bo stanął za chłopą, nie za

*) *Objaśnienie.* Rzecz dzieje się w Tatrach, między góralami, to też spotykają się w tym obrazku wyrazy i wyrażenia nie dla wszystkich może zrozumiałe. Smrek — znaczy świerk; gazda — gospodarz; chciałbych — chciałbym; wspomniał — wspominał; sie — się; kany — gdzieś; niedoznak — niezupełnie; kielo — ile; telo — tyle; hrubo — znacznie; nabiere — nabierze; z tych skali — z tych skal; kanybych śmiał — jakżeby śmiał; adukatować — adwokatować; kto zwierchuje — kto będzie na wierchu; roztoka — jar rzeczny.

jednego. A rósł wartko i w oczach prawie. Kiedy go do woj-ska odebrali, to był jak smrek w uboczu: gibki, śmigły i rosły.

Po trzech latach znów wrócił, ale jakby nie ten. Opalił się i zmężniał i spochmurniał bardzo. Wszyscy mówili, że jest do ojca podobny, jak noc do nocy. Te same iskry w oczach, ta sama twarz jak z brązu, albo z cygańskiej miedzi. Ino smutek to z matki, bo ona taka była wiecznie sturbowana.

Pracował przy siostrze wciąż i nie odłączał się od nich. Żenić się jakoś nie myślał, choć go wszędzie radzi widzieli, a dziewczęta ulatywały za nim. Był sobie sam. Czytywał chętnie, co mu w rękę wpadło, gazety nawet zapisywał z dalekiego świata, co mu bardzo za złe mieli gazdowie starzy. Karcznię omijał zdaleka i nie rad pijał. Ale miał mir u młodych, bo był człek honorny. Parobki wszędy się radzi chwalili przyjaźnią Franka. A zdumiewał on ich siłą, ogromem, postawą.

— Z nim i do piekła letko iść — mawiali — bo je smok mocny, jak straż Lucypera. Nie żarty!

Duże rano już było, gdy Franek wstał. Nie budziła go siostra, bo wiedziała, że późno wczora przyszedł.

Po śniadaniu, skoro się już poodbawali z robotami w izbie, a szwagier, wzięwszy siekiere, zabierał się w pole, ozwał się Franek:

— Zaczekajcież, chciałbych z wami pogadać otwarcie. Bo tak dzień za dniem schodzi, nigdy niema czasu, nawet chwili nieurada wydstać na słowa.

— Dyć ja tu przecie nie za światem... — mruknął w sieni szwagier. Ale zawrócił wnetki i złożył siekiere.

— O czym-żeś to chciał pogadać? — spytał.

— O tem, co nas łączy razem, a chciałbych żeby się już raz urwało. Nie mielibyście wy nad głową biedy, ani ja związanych rąk.

— Czy nam to bieda? — zagadnęła Zośka. — Dyć przecie, chwala Bogu, nic nam sie nie dzieje.

— Tak, ale zawdy trzeba się spodziewać, że rozłaka może nastąpić kiedy tedy. A lepiej wcześniej i odrazu, to i wam dużo milej będzie pracować na swoim.

— No dyć o to, to ta i prawda — mruknął szwagier.

— Nie będzie wam wsze, jak ta zmora, nad głową wisiało.

Usiadł na ławie. Skoro widział, że uwaga zajęła całą izbę, począł:

— Wspomniałem wam niedawno o zamiarach żenby. Nie wiedziałech jeszcze wtedy, jak sie to ułoży. Od ojca bowiem dużo zależało: mógł mnie przyjąć, albo nie. Myślałem różnie. Ale teraz wiem napewno, czego się mam trzymać. Otoć tak wam

powiem, szwagrze: Gruntu nie wymagam, bo wiem, że go i na zbyciu niema. Jeden ledwo tu wyżyje, dwaj musieliby biedować.

— No dyc sprawiedliwie padasz.

— Nie chcę też ukrzywdzać siostry, bo i na drugiej polówce narobiła się od mała.

— Od dziecka prawie — dorzuciła.

— To też o gruncie nie myślę. Niech zostanie przy was. Ino żądam spłaty z niego, ale odrazu, bez zwłoki, abych miał czem poczynąć, nim kany osiedę.

Zatrzymał się i po chwili zadumania wyrzekł:

— Smutno to jest opuszczać ojcowiznę swoją. No, ale darmo! — Podniósł głowę. — I jakże myślicie?

Nikt nie spieszył z odpowiedzią, bo każde czuło, że to moment ważny, trafiający się raz na jedno życie. Trza się więc długo nad tem zastanowić, zanim się słowo wyrzeczce. Zośka stała przy nalepie z opartą brodą na dłoni; szwagier spoczywał na gnacie i zdawał się być mocno zamysłonym; jedynie mała Marysia nie czuła ważności onej chwili. Włóczyła po izbie mysz na sznurku, przerobioną z lalki, i serdecznie się śmiała, gdy jej kot nie mógł dogonić. Trwało to dość niekrótko. Aż ucnęło się kotowi daremne bieganie, siadł; Marysia, rada nie rada, musiała mysz schować. Wtedy szwagier podniósł głowę, ozwał się pomału:

— No dyc dobrze. Kiedy trza, to trza, to nic nie pomoże. Ale powiadasz pono: „Nim kany osiedę“. To wójt nie myśli cię przyjąć do chałupy, czy jak? Bo niedoznaku rozumiem.

— Eh, co ta o tem gadać! Dość, że spłat mi jest potrzebny i to dziś odrazu.

Z tego wymiarkował szwagier dwie rzeczy. Naprzód, że wójt musi Franka nie rad widzieć, i kto wie, czy mu zechce po dobrej woli dać Hanke; powtóre, Franek musi rety potrzebować pieniędzy, skoro tak przenagła. A trzecią myśl już lekko wysnuł z dwóch poprzednich: że łatwa będzie z nim ugoda i nie ciężki targ.

Ośmielony tą myślą, przeżegnał się w duchu, by na złą chwilę nie trafić, i zagadnął:

— Kiełż-byś to chciał wypłatę? Dy powiedz otwarcie.

Zośka chciała zapobiedz pytaniu, ale już było zapóźno. Franek się począł namyslać pomału. Dodała więc dla zmniejszenia:

— Zastanów się i uważ, kieł ci potrzeba.

Ale słowa jej serdeczne nie znalazły zrozumienia, jakiego chciała. Franek bowiem odrzekł prędko:

— Mnie potrzeba więcej, niżby se kto myślał. Ale co ta o tem gadać. Dacie mi pięć stówek spłatę i odejdę z Bogiem.

Na to szwagier powstał z gnata i zwrócił się do Zośki.

— To my tu nie mamy co robić. Kiedy tak słono szacuje, to niech ostaje, niech robi, a my weźmy spłatę i pódźmy.

Ona zaś wybuchnęła płaczem i poczęła wołać:

— To nas chcesz zniszczyć doznaku? Masz ty sumienie jakie, abo serce? Choć szczyptę sumienia? powiedz...

Franek gniewem zadygotał i zerwał się z ławy.

— Czyż ja wam czynię jaką krzywdę? Sobie gorzej robię. Przecie ta ziemia więcej warta, niż dwadzieścia stówek. A budynki? A statek? A przystroj domowy? Jakby przyszło do podziału, któżby na tem stracił? Przecież ja, bo nie chcę nawet trzeciej części... I to wam zdaje się za dużo? Porachujcież w głowach swoich i osądzicie lepiej...

— Mojeśty — podjął szwagier — tu nie o to idzie. Insza rzecz połowę oddać, a insza zapłacić. Siedź-że ty na jednej części, wydobądź z niej telo, żebyś mógł drugą oczyścić i omyć z niej spłat, jak on jeszcze przelatuje jej wartość rzetelną.

— Przecież o pół mniej żądam, niż warta owa część!

— Tak ci sie to widzi... Podumaj sam, a uważysz i ztaniejesz hrubo. Teraz gruntu upadają, wszystko idzie z góry, nawet ornistego pola nie szacują za dawne ugory. I obrobić nie łatwo, nie tak, jako dawniej. Teraz ludzi nie upytasz darmo do roboty, ba kiebyś każdemu płacił i to jeszcze słono, do tego proś, obłapiaj, kłaniaj się niziutko. Tak sie ponauczali po tych djablich miastach, że nie, ino zapłata i pieniądz odrazu. A tu skąd sie telo nabiere? Człek nie ma pojęcia. Bo na sobie nie urwiesz, ani z tych skali zatraconych marnego centa nie wygrzebieesz.

Wodził oczami za Frankiem, gadał i jęczał bezustanku. A Zośka ocierała lzy czarną zapaską, ile razy ku nalepie zbliżał się chodzący.

— To słuchajcież! — stanął Franek. — Opuszczę wam sto, i niech już bedzie. Nie trapijmy się wzajem.

— O, mojeśty — podjął szwagier — to byś ty łatwy chciał mieć koniec...

— To wam jeszcze za dużo!

— Na żaden sposób nie przystanę...

— A kiełż wy chcecie?

— Ja uważuję: sto srebra, to już masz gardło niemają...

— Czyście wy przy dobrym zmyśle? Czy ze mnie kpicie?

— Nie kpię... kanybych zaś śmiał! Ani mi też Pan Bóg (tu się skłonił) łaską Swoją przenaświętszą rozumu nie odjął, ino, jak powiadam...

— Zośka! A ty co na to?

Trząsł się wewnątrz oburzeniem.

Zośka nie odpowiadała prędko, najpierw lzy otarła, potem zapaskę otrzepała dłonią i rzekła wolno:

— Cóż ja na to powiem? Sam widzisz, że nam się znikąd nie leje...

— To żdzierstwo! — odwrócił się do szwagra. — W biały dzień! I jakże wy śmiecie coś podobnego...

— A ty jak śmiesz stawiać takie sumy? I nie wstydzisz się Boga Ojca. Cóż ja to takiego powiedział? Moi ludzie drodzy... Przecie sto srebra, to pieniądz! Trza się dość nałamać kości, nim sie je z gruntu dobędzie...

— Nie słucham żadnych labiedzeń. Dacie mi spłat, jaki żądam, czy nie? Ostatnie słowo!

— Sto srebra możesz dostać odrazu...

— A resztę?

— Jaką resztę?

— No, moiściewy, ja ze siebie nie dam kpić. To darmo. Nie chcecie przystać po dobroci, to was prawo zmusi...

— Franek! Co ty masz w głowie? — skoczyła Zośka, lecz ją szwagier wstrzymał.

— Niech skarży! Bedziemy widzieli, kto wygra. Ja tu swoją pracę włożył, a on co? Może ten rozum, jakim sie przechwala? Adukatować radby ino, chciałby se letko żyć...

— Ani słowa! Bo jak mnie złość porwie...

— To co? W swojej chałupie nie wolno mi gadać?

— Chałupa wasza?

— A czyja? Tyś już dawno wybrał z domu, co ci sie pa-trzyło. Nic, ani złamanego kija nie dostaniesz. Chciałech po dobroci z tobą, ale nie porada. Kiedy tak, to sie prawujmy!

— Jedruś...^{??}

— Cicho! Nie płacz! Nauczmy go rozumu, kiedy taki masny...

— A zmilczcież, bo już dłużej nie ścierpię...

Począł Franek prędko się zaodziewać.

— Słuchaj! — zwrócił się do szwagra. — Żebych na nią nie uważował — wskazał siostrę — tobych cię tak sprął...

— Pomału! Coś mi ta za rycerz!

— Kości-bych ci pogruchotał doznaku na piękne.

— A sądy kany? A prawo?

— Ja sie też idę o nie pytać...

Pchnął drzwi i wypadł z izby, jak z waru.

Schodził ścieżkami wśród zbóż, a złość go parła, jak wiatr mocarny, gdy uderzy w plecy. Zamknięte oczy miał na świat słoneczny, nie widział nic dokoła, ino krzywdę, wołającą pomsty. Zbiegał wartko w niżnie pola, mijając zagony wazkie, i ani się nie obejrzał na chałupę w górze. W myślach jego był beład, kołowanie takie, jak w chmurze gradonośnej, którą szum poprzedza.

— Ty mnie chcesz z ojcowizny wyzuć, jak przybłądę? O, poczkaj, miły szwagrze, dowiesz się kto bliższy i pożałujesz srodze swojego łakomstwa. Ja go ochraniam, boję sie ukrzyw-

dzić, a ten mnie bez sumienia chce zedrzyć ze skóry i jeszcze powie, że mi dobrodziejstwo czyni. Co tu na taką przewrotność poradzić? Choćby człek był, jak paproć leśna, słodki, to musi zgorzknąć i piolunem ostać, chcący żyć nadal między tymi ludźmi. Nie można nijak z nimi począć i rozstać sie na dobrej drodze. Niechże prawo rozsądza, kiedy tak, a obaczmy kto zwierchuje. Przecie może jest jaka sprawiedliwość na tym świecie.

Ujrzał się blisko osiedla i zwolnił kroku, by ludzie nie pytali dokąd spieszy. Czuł w sercu ogień wstydu na myśl, gdyby im odpowiedzieć musiał, że do sądu... Myśl ta powiodła jego duszę przez obce jakieś pola, gdzie drogi pozagradzane płotami cierniaków, wszystkie miedze otoczone, ścieżyny wazkiej nie upatrzy, którąby można było przejść — i zawiodła ją na ugory znane, pełne dalekiej przestronności, po których za lat chłopięcych siwe owce pasał. Rozełzawił się tem wspomnieniem i począł wołać w sercu:

— Gdybyś ty widział Ojeze dobrotliwy, jaki ten pasterz twój ma żywot smutny! Pożałowałbyś go i pocieszył jak wtedy, gdy z ugorów przyszedł z płaczem wielkim, powiadając, że mu leśny zajął owce z wrębu. Dziś po ugorach insi pasą, niepile ręce orzą ziemię sprawioną twym znojem, a syn twój, odegnany od własnej dziedziny, u ludzi musi szukać prawa...

Spotkał się z drogą, wiodącą na dół wzdłuż roztoki i szedł powoli długi czas, dumając nad swoim losem. Złość go naremną ominęła, oburzenie zcichło, począł się zastanawiać nad tą chwilą przykrą, jaką mu padnie przeżyć pod ramieniem prawa. Choć zasłoni i skryje, człek zawdy uczuje przymus nad głową swoją, jak chmurę wiszącą. Żeby ją oddalić jeszcze...

Usiadł przy drodze na kamieniu, pogrążył się w myślach, a słońce szło po niebie, woda odpływała. Z falami czas uchodził, chwile się traciły jak te obłoki wiotkie, które z wiatrem płyną.

Zaludniła mu się droga, fury się toczyły, ale więcej ludzi szło pieszo: po jednemu, po dwoje i w gromadach większych.

— Czy to dziś święto? — pomyślał. — Czy jarmark?..

Ale porachowawszy dni poznał, że nie. Taki dzień zwykły, jak setki do roku. Zastanowił się, skąd tyła narodu... I gdy jedna z kobiet starszych pochwaliła Pana Boga, zapytał się jej po starym zwyczaju:

— Kanyż ta idziecie, Matko?

— Do sądu...

— Zapisujecie dzieciom grunt?

— O nie — stanęła przy nim. — Ja już grunt zapisala. I to też, com najgorzej zrobiła w życiu, czego wyżałować nie mogę dosiela. Dzieciom? powiadacie... Mocny Boże! Takie ta dzieci.

— Kiełoz ich jest?

— Jeden, jednak... Ale szkoda... Lepiej, żeby się był i ten nie urodził.

Zadumała się nad czemś, potem z wolna ją opowiadać:

— Chowałach to, jak złoto, jak skarby najdroższe. Niczem mi było wszystko, nawet kościół zaniedbowałam skroś niego. Nieraz Mszy nie dosłuchałam do końca, bojąc się, że on tam krzyczy, labiedzi bezemnie. A jak podrośł od ziemi, tom go ochraniała, jak tę jabłonkę młodą; niczem nie dawałam mu ruszyć, żeby się nie zerwał. Nieraz nieboszczyk (bo już na boskim sądzie oddawna) zwoływał go do roboty, ja odwoływałam; musiał se poganiacza upytać do wiosny, aby służącego utrzymywać, jak padło. I rósł w górę, jak smreczek nie przyginany ku ziemi. Sprawiałach mu przyrodziew jakiej nie miał nikt we wsi, nawet prymne chłopcy. Zawdy chazukę miewał nową, koszulę cieniutną, serdaczek bielił się na nim, jak śnieg noworoczny. To se możecie uważać, żech dbała o niego. Juścić przyszło do ożynku. Ja mu nie radziła. Wybrał sam jaką se żywnie spodobał. Poszłam z nim do urzędu i zapisałam mu wszystko, ostawiając ino telo, coby se len wsiewać. Bo ja w zimie rada przędę, a jak się nie wsieje...

Połąknęła parę łez i domówiła:

— Kiedy on, wiecie, i tego kawałeczka mi zaprzeczył. A jak-ech mu powiedziała, że se nie dam wziąć, to skoczył i wybił mną drzwi od sieni.

Rozplakała się w głos cały, aż ludzie przechodzący poczęli stawać pytając, o co tak bardzo zawodzi. Odeszła, by nie zwracać ócz ludzkich na siebie, ale jeszcze długo było słyhać jej żaloszny płacz.]

Za chwilę stanął przed Frankiem chłopina nieduży.

— Jak to i hańta zawodzi... słyszycie? Musiał ją ktoś nie-mało ukrzywdzić.

— Syn własny...

— E dyć ono tak z tymi synami. I ja haw mam trzech, a co który, to bardziej dojada.

— Idziecie i wy do sądu?

— A jakże. Trza koniecznie jaki koniec zrobić. Bo tak żyć niepodobna, to daremny sposób. Oddałam grunt najstarszemu. Bedzie, myślę, gazdował jako lepiej, a ja se odpocznę... Mocny Boże! Kanyby też człek znalazł wyrekę. Trza się było jeszcze więcej narobić. Ja mu też wnet odebrałam i dalech młodszemu. Bedzie, myślę, choć na ojca uważował jako... Ale cobyś! Nie było dnia, ba, nawet godziny, żeby mnie kopą djabłów nie obłożył. Masz ty tak pieklować, myślę, poczkajże! Odebrałam i dalech grunt najmłodszemu. Alech trafił akurat, jak z pieca na kocię. Wiecie wy, ten sie do bitki ze mną bierel! Wnetby i kij na ojcu złamał, huncfot zatracony! Takie to mam skrzepienie na starość. Co ja sie też nadumał, jak spokoju dostać! Nie

poradzisz, to darmo, bo dzieci ladaco. Ten ci sie widzi dobry; skoro mu oddasz grunt... już sie przeinaczy. I tak ze wszystkimi.

— Cóż teraz myślicie? — spytał Franek.

— Myślę iść i odebrać temu zdrajcy, a oddać pierwszemu. Przynajmniej bitki nie bedzie w chałupie. A może sie już i on upamiętał i bedzie ojca miał w poszanowaniu...

— Nie wierziel — odparł za nim chłop starowina, który nadszedł i chwilę się już przysłuchiwał blizka. — Nie wierziecie temu, co gadacie, bo to wszystko bajtki. Któryby też syn szanował ojca? Ja ich mam pięciu, chwala Bogu, a żaden mnie nie słyha. Nie dość, że w chałupie gryzą, to jeszcze po sądach czleka na starość wywłóczą...

— O, coś takiego?

— Dużo gadać. To wam ino powiem, moiściewy, że: tak źle i tak niedobrze. Oddasz grunt, to cię z chałupy wyżeną. Nie oddasz, to sami wezmą. Jak i mój najstarszy.

— Jakże poradził wziąć sam?

— Jak poradził... No dyć słuchajcie, to wam powiem. Długo mu sie widziało czekać mojej śmierci, toż to poszedł do stryka i namówił go, żeby mu stanął za ojca. Poszli do notareusza i tam ten przybrany ociec pooddawał mu wszystko, jako swoje... Braciom poostawiali spłat na piśmie i na tem stanęło. Ja nie wiedział...

— A synowie?

— Coby nie wiedzieli! Ino sie hycle razem tak uwzięty na mnie. Skoro przyszło do opłaty, tożto sie wydało. I ściągają mnie teraz, włóczą po urzędach.

— Ale i stryk niedobry.

— Ba, kieby dobry był, toby za ojca hyclewi nie stawał. Ale odbeczy i on za swoje. Tak mnie to synowie uczą, tak, moiściewy! Ale ja se już powiedział: Zadnemu nic nie dam, wolę cyganowi ostawić, a nie dam. Niechże sie cieszą naprzd, kiedy tacy.

— Słuchajcie, kumie, ja wam cosi powiem.

Reszty słów Franek nie dosłyszał, bo się zajęli razem i poszli, świadcząc sobie po drodze wzajemnie. Jeszcze ich z oczu nie stracił, kiedy go przywitał człowiek znajomy z Przysłopia.

— Cóż was tam wiedzie?

— Bieda, Franku... Taka mnie chmara obsiadła, że nie wiem, czy się zdolę z pod tego wydobyć. Ociec nieboszczyk za nim pomarł, powydawał siostry, ożenił braci i wyczęścił wszystkich, do jednego. A mnie ostawił na gruncie, jako najmłodszego. No i był spokój, i mogłoby tak być aż do śmierci. Ale djabli nie spijają, ludzi złych i zazdrosnych nigdy i nikany nie brak. Poczęli siostry podjudzać, podbełchtywać braci, no i tak ich poruszali, jak to gniazdo osie. Wszystko sie zleciało do mnie, obśledli mnie, jak te wrony biednego kocinę. Daj — powiadają —

wypłat, bo jak nie, to cię sprawujemy na nic. Ja im tłómaczę, jak mogę, że przecie wybrali wszyscy, co im się patrzyło, że ich przecie nieboszczyk ociec powypłacał... Ale cobyś poradził na łakomstwo ludzkie! Co nam — powiadają — ociec dał, to ociec, a ty na to podpisu nijakiego nimasz. No i skarżą mnie o wypłat. Co ja teraz pocznę? Chyba mi się powiesić przyjdzie, bo inszej rady nima. Baba w głowę zachodzi od krzyku, a mnie sie we łbie mąci, jakżeby mnie kto obuchem zwałił w samo ciemię. Co mnie też trafiło, że ten grunt nieszczęsny do mnie przywarł! Lepiejby mi było służyć do dzisiejsz dnia; patrzyłbych se roboty i ni miałbych turbacji o nic. A tak... zachodź, zaganiaj ze wszystkich stron i dla kogo? Przyjdą insi, zabierą, z przed oczu zagarną, a ty szukaj z dziećmi wiatru po świecie i mrzuj głodem. Do tego przyjdzie, ja już czuję, że sie nie zratuję. Tak, mój kochany Franku... Ostań z Bogiem i niech ci Bóg da, żebyś kłopotów ni miał nad głową, bo ja to już tak chyba muszę dokańczyć...

Odszedł, a za nim nadchodzili insi: co który, to z gorszą krzywdą i większym lamentem. Temu brat zesiekł potrawę i jeszcze go pobili; drugiemu wydana córka ukradła krowę z obory i przyszła go żałować przy ludziach, że go takie nieszczęście spotkało; a inszemu znów sąsiad taką złość wyrządził, że poobrywał wierchy smreczkom jego, aby od ziemi nie odrósł.

I lała się ta rzeka mętów szeroką roztoką, a około niej przekopami odpływały lzy...

Zdawało się, że ustanku niema i nie będzie tej strasznej procesji ludzkiej.

Szły gromady tak zajadłe, tak nienawistne sobie, że widziało się, iż do końca świata żaden trybunał ich nie zgodzi; osiedla całe, powadzone z sobą, które się drogą wadziły bez przerwy; zwaśnione rody, skarżące się wzajem o jednorażne pobicie, a tak oslepię w zawiści ku sobie, że cała droga ich do sądu była jedną bitką, jak powiadały ślady krwi ostalej na dużo ostrych skałach. A za temi falami, pieniaćmi się złością okrutną, szły: dzieci, winujące swoich własnych ojców; pasierby, wołające o pomstę do nieba; ojcowie, przekleństwami darzący swych synów; matki, skarżące się tak cicho, żałośnie, jak wiatr, oplakujący liści na jabłoni...

— Piekło!... — zawołał Franek i zasłonił oczy.

I tak pozostał w tym bezruchu niemym, aż płacze zcichły, głosy poginęły i nie było słyhać znikąd gwaru nadchodzących ludzi. Wtedy podniósł głowę ciężką i powiedział głośno:

— Miałbych wpaść do tego morza... przyczynić się skargą swoją do wesela piekieł? Nie? Choćbyh ino kroplą był, to nie chcę! Wolę raczej wszystko stracić...

Zadumał się chwilę i dokończył myślą cichą:

— Moja krzywda ostanie we mnie na wiek wieków. I nikt się o niej nie dowie...

Wstał wolno. Zawrócił potem i poszedł roztoką w góry.

Władysław Orkan.

(Urywek z powieści: „W roztokach”).



SOSNA.

Na wioskowych mogiłach
Rosła sosna borowa,
Pień jej krzepnął na siłach,
Wybijała jej głowa.

Pogiętemi konary
Na sto sążni rozwisa,
A korzeniami bez miary
Żółty piasek wysysa.
Z mogił wyrósłszy cała,
Za te soki, co bierze,
Z wiatrem sobie szumiała
Za umarłych pacierze.

Aż coś jednej jesieni
Biedna sosna borowa
Coraz mniej się zieleni
I pożółkła jej głowa.
I została na stronie,
Coraz cichsza, milcząca.
Każdy wietrzyk, co wionie
Więcej kołców z niej strąca;

Rzuca w ziemię rodzimą
Zeschle szyszki i ziarna,
Wkońcu — jeszcze przed zimą —
Zeschła sosna cmentarna.

Wiatr żałośnie jej pyta:
„Biedna sosno z mogiły,
Czyś ty gromem przebita?
Czyć robaki stoczyły?
Czy ci żeru nie było
W żółtym piasku z poblizka?
Albo kamień swą bryłą
Twe korzenie uciska?”
— Oh! mnie nie tknął grom z bu-
I robaki nie toczą, [rzą
Ziemia soków ma dużo
I karmi mię ochoczo;
Gdzie kamienie i glazy,
Sztam z korzeniami z daleka:
Wrosłam — gorzej sto razy —
W serce złego człowieka.

L. Kondratowicz.



NASZE ODŁOGI.

Podróżnicy po krajach oświeconych z zachwytem opowiadają, jak wysoko stoi tam gospodarstwo — jak nie dojrzysz tam nigdzie najmniejszego kawałka, najmniejszej piędzi ziemi leżącej odłogiem. Wszystko uprawione, zasiane i zasadzone — wszystko plon obfity przynosi. Są to kraje wysokiej *uprawy*, wysokiej *kultury* rolnej.

Ale w krajach tych nie tylko uprawa ziemi wzniosła się na stopień wysoki: to samo jest z uprawą, czyli kształceniem umysłu — ze wszystkimi objawami życia, zarówno pojedynczych ludzi, jak i całego społeczeństwa. Rozwija się w nich rolnictwo, przemysł i handel, szerzą się nauki i wynalazki, kwitną sztuki piękne; w stosunkach ludzkich panuje ład, spokój i swoboda; zewsząd bije światło, dobrobyt i zadowolenie powszechne.

Jakże inaczej, jak smutnie pod tym względem przedstawia się nasz kraj!

Czy rzucisz okiem po naszych polach i lasach, czy zajrzysz do naszych wsi i miasteczek, czy sięgniesz do głębi dusz ludzkich — wszędzie smutne, szare, zapuszczone oddawna odłogi. Mijały długie lata — i ludzie tak żyli się z tem zaniedbaniem najważniejszych, najistotniejszych spraw naszego życia, że przestali braki jego odczuwać. Zapanowała u nas prawie wszędzie śpiączka powszechna, nieczułość i obojętność. Jak bezmyślne woły przywykliśmy do ciężkiego jarzma pracy powszedniej, i wlekliśmy je ospale i cierpliwie, nie próbując nawet myśleć o poprawie.

I był to stan rozpaczliwy, prowadzący naród do zastoju, do odrętwienia, do śmierci.

Na szczęście przeszedł on już bezpowrotnie.

W latach ostatnich coraz częściej, coraz donośniej zaczęły rozlegać się głosy, wytykające zło, wykazujące jego przyczyny, nawołujące do poprawy. I oto dziś wszystkie stany, wszystkie warstwy naszego narodu powiedziały sobie: dość już tego zaniedbania! dość tej bezmyślności! Trzeba nam brać się do pracy rozumnej, do wykorzystania zła, do naprawy istotnej wszystkich warunków naszego życia.

Pisanie niniejsze ma na celu przypomnienie jednego z najszkodliwszych odłogów naszego życia społecznego, domagającego się natychmiastowej, bezzwłocznej pracy. Mówić będę o tępieniu ciemnoty naszego ludu.

Wyszła niedawno książka, napisana przez zanego, miłującego kraj obywatela, pod nazwą: „Miasto analfabetów“, to znaczy miasto „nie umiejących czytać“. I wiecie, jakiemu miastu przypadł ten smutny, ten prawdziwie straszny i hańbiący tytuł? Oto Warszawie, głównemu miastu Królestwa Polskiego, stolicy, liczącej przeszło 800 tysięcy mieszkańców!

Rzeczywiście — rachunek wykazuje, że w Warszawie na każdych 100 mieszkańców jest zaledwie 30 umiejących czytać. reszta zaś, to jest 70 na sto jest zupełnie nie czytających, czyli analfabetów.

Niestety, nie tylko Warszawę miastem, ale całe Królestwo Polskie z równą słusnością nazywać musimy „krajem analfabetów“.

Gdy w małej Danji lub Szwajcarii wypada 1 analfabeta na 10,000 mieszkańców — u nas jest 60 do 70 analfabetów na każdych stu ludzi.

Gdy w Saksonji i Bawarii na 100 rekrutów, branych do wojska, wszyscy stu umieją czytać, u nas czytających jest 20 na stu.

Gdy w krajach oświeconych przy aktach prawnych, ślubach, chrztach i t. p. wszyscy prawie podpisują się z imienia i nazwiska, u nas na wszelkich aktach i dowodach widać mnóstwo krzyżyków. A wszak każdy krzyżyk to świadectwo naszej ciemnoty.

Pod tym względem w Europie równać się mogą z nami tylko Rumunowie i Turcy, a w innych częściach świata — czarni Murzyni i czerwonoskórzy Indianie lub żółci Tatarzy.

W przyczynie tego okropnego stanu wchodzić nie będziemy, dość że tak jest — a być tak dalej w żaden żywy sposób nie powinno. Ciemnota zupełna, czyli analfabetyzm ludzi dorosłych jest najpierwszym i najbardziej zachwaszczonym odłogiem, do którego jaknajprędzej zabrać się musimy.

Cóż jednak na to zaradzić? Co robić, żeby kilka milionów ludzi dorosłych czytać nauczyć? Alboż to można? Albo to kto słyszał, żeby człowiek stary, dorosły, brał się do nauki czytania?

Owszem, słyszano to i widziano nieraz.

We wszystkich krajach, gdzie są jeszcze analfabeci, zakładano dla nich kursy czytania i pisania. Kursy takie może prowadzić albo nauczyciel w szkole wieczorami, po zajęciach z dziećmi, albo też może uczyć ktobądź z ludzi, umiejących czytać i pisać, który ze sposobami nauki czytania i pisanja się zapozna.

Jest przesąd, że dorosły czytać się nie nauczy, że to jest dla niego za trudne. Ale to nie prawda. Trafi się czasem człowiek zupełnie niezdolny, któremu nauka do głowy nie pójdzie; ale większość uczy się doskonale i przy dobrej chęci w ciągu jednej zimy każdy jako tako czytania i pisanja się poduczy.

Pierwsza tedy rzecz, którą zrobić musimy, to—jaknajprędzej nauczyć czytać naszą ludność dorosłą. A kłopotu z tem nawet wielkiego nie będzie. W każdej wsi, w każdym miasteczku można znaleźć kilku ludzi, zdatnych do nauczania czytać i pisać. Rozbiorą oni między siebie dorosłych analfabetów, sprowadzą książki, piór i papieru—i nauka pójdzie.

Niech w ciągu jednej zimy zyskamy 100 tysięcy czytających—to już krok wielki na drodze poprawy zrobimy.

Kiedy mowa o dorosłych, to zobaczymy, co dalej należałoby zrobić dla ich oświaty.

Wiadomo, że z nauką jest tak, jak z każdą robotą: jak nie mieć jej wcale w życiu, to się zapomina. Choćby kto dzieckiem nauczył się czytać i pisać, choćby poznał różne nauki, to — jeśli potem nie będzie czytywał dobrych książek, nie będzie się dalej kształcił—napowrót stanie się ciemnym.

Przed dawniejszemi laty wielu nauczycieli urządzało w szkołach tak zwane kursy wieczorne dla dorosłych, na których powtarzali z nimi dawniejsze nauki, czytali książki i prowadzili pogawędki. Koniecznem jest, aby wznowić takie wykłady dla dorosłych. Mogłyby one odbywać się parę razy na tydzień wieczorami, albo choćby raz tylko w niedzielę. Schodziłaby się na te wykłady młodzież, która już umie czytać; schodziliby się ludzie dorośli—i razem utrwalaliby i uzupełniali swoje wiadomości.

Po wsiach te wykłady dla dorosłych powinnyby mieć na względzie więcej potrzeby życia wiejskiego; w miastach — potrzeby rzemieślników.

Do wykładów tych należałyby też przygodne odczyty—rolnicze, ogrodnicze, ogólnonaukowe i społeczne, które co pewien czas urządzałyby bądź ludzie światli miejscowi, bądź przyjezdni.

Przekonaliśmy się już wszyscy, jak wielką korzyść przynoszą odczyty rolnicze i ogrodnicze, jakie odbywały się w roku zeszłym w różnych miejscowościach kraju. To samo byłoby z odczytami wszelkiej innej treści—szczególniej, gdyby objaśniały je doświadczenia i obrazy czarnoksiężkiej latarni.

Jeśli odczyty takie będą się odbywały, nie zaniedbujajcie ich, uczęszczajcie na nie pilnie, bo to jeden z najdzielniejszych środków tępienia ciemnoty.

Ale odczyty i wykłady zdarzają się tylko co pewien czas. Człowiek zaś prawdziwie żądny wiedzy powinien mieć zawsze pod ręką możliwość zaspokojenia tej szlachetnej chęci. Taką możliwość dają książki. Hańbą jest, że po naszych wsiach i miasteczkach tak mało jest książek. Nieraz na kilkanaście domów znajdzie się zaledwie parę książeczek, i to przeważnie tylko nabożnych. Ludzie u nas nie mają zwyczaju książek kupować, nie lubią tworzyć sobie księgozbiorów. A tymczasem takie księgozbiory, czy to prywatne, czy publiczne (Czytelnie), z których mo-

żnaby za niewielką opłatą książki wypożyczać, oddałyby nam ogromne usługi.

Zakładajmy tedy sobie wspólnemi siłami po wsiach i miasteczkach księgozbiory i wypożyczalnie książek!

Ale i sama książka nie może już dziś wystarczyć człowiekowi prawdziwie rozwiniętemu. Czuje on i rozumie, że życie jego związane jest ściśle z życiem całego społeczeństwa, całego świata — i dlatego zajmować go musi wszystko to, co dzieje się wciąż w kraju i po świecie. A gdzież znajdzie o tem wiadomości? — W pismach i gazetach!

Nie żałujmy więc paru rubli rocznie na „Zorzę“, „Gazetę Świąteczną“, „Gospodarza“ i inne tym podobne nasze pisma! Niech nie będzie wsi ani miasteczka, gdzieby nie dochodziły liczne numery tych szanownych przyjaciół, niesących pod strzechy nasze z najdalszych krańców ziemi dobro i światło!

Gdy tak w każdej wsi, w każdym mieście założymy sobie kursy czytania i pisania dla dorosłych analfabetów; gdy urządzimy wykłady wieczorne lub niedzielne dla starszej młodzieży i dorosłych; gdy chętnie słuchać będziemy odczytów; gdy wszędzie znajdą się księgozbiory i wypożyczalnie książek, a pisma i gazety sprowadzać będziemy w znacznej ilości: — wtedy damy możliwość istotnego kształcenia się ludziom dorosłym; wtedy uprawimy jeden z najcięższych, najbardziej zachwaszczonych odłogów.

Przejdźmy teraz do drugiego odłogu — do nauki i wychowania naszej dlatwy.

Bracia kochani! Nie będę tał, że to jest najczarniejsza, najboleśniejsza strona naszego życia. Gdy się rozejrzy po innych krajach, gdy się widzi i czyta, jak tam urządzona jest od dawna nauka dzieci, to rozpacz wielka ogarnia i niepokój, czy uda nam się kiedy tym krajom oświeconym dorównać.

A jednak dorównać im musimy! Musimy wznieść się tak wysoko, żeby żaden Niemiec nie śmiał rzucić nam w oczy: „głupi Polaki!“ — żeby cudzoziemcy nie mieli prawa stawiać nas narówni z murzynami i tatarami, jak to dziś często się słyszy.

A dlaczego tak jest?

Dlatego, że nie mamy dostatecznej liczby szkół, a i te, które są, nie odpowiadają bynajmniej naszej potrzebie.

Weźmy parę liczb dla porównania:

Szwajcaria ma	3,000,000 (3 miliony)	mieszk. i	9,100	szkół lud.
Bawaria	5,000,000	„	7,200	„ „
Szwecja	5,000,000	„	11,000	„ „
Dania	2,500,000	„	2,000	„ „

W krajach tych przypada mniej więcej 15 do 17 procentów ogólnej liczby mieszkańców na dzieci w wieku szkolnym od 7—14 lat, obowiązane uczęszczać do szkół ludowych. Biorąc ten stosunek i u nas, Królestwo Polskie ze swoimi 10 milionami mieszkańców ma dzieci w wieku szkolnym (od 7—14 lat) 1,700,000.

Licząc po 100 dzieci na 1 szkołę, powinniśmy mieć **17 tysięcy szkół ludowych**. Że zaś w klasie powinno być nie więcej uad 50 uczniów na 1 nauczyciela, szkoły te musiałyby być dwuklasowe, o dwóch nauczycielach. Gdyby to były szkoły jednoklasowe, licząc 1 nauczyciela i uczniów mniej więcej 50, Królestwo Polskie powinno mieć szkół takich **34 tysiące**. W rzeczywistości zaś mamy szkół ludowych tylko 4,049, to jest 9 razy mniej niż być powinno.

Najpierwszą tedy i najpilniejszą troską naszą w sprawie wychowania dzieci musi być założenie jeszcze co najmniej **12 tysięcy szkół ludowych** po jednej na 100 uczniów.

Oczywiście, muszą to być szkoły dobre, dążące istotnie do rozwoju naszej dziatwy i wychowania jej na rozumnych, do pracy pożytecznej i dalszego kształcenia się prawdziwie uzdatnionych obywateli kraju.

Niewątpliwie, że do takich szkół będziemy jaknajchętniej dzieci nasze posyłać, znajdziemy pieniądze na ich założenie i utrzymanie.

Gdy dziecko nasze, syn czy córka, przez 6 lat—od 7-go do 13-go roku (albo od 8-go do 14 go) — pochodzi do dobrej, rozumnie i szczerze prowadzonej szkoły, wyrośnie z niego młodzieniec rozwinięty, kochający naukę i pracę i pragnący być pożytecznym ogółowi.

A więc założyć musimy jeszcze conajmniej **12.000 szkół ludowych niższych**, dla dzieci w wieku 7 do 13 lat, gdzieby dzieci przymusowo, lecz bezpłatnie, pobierały niezbędną naukę—jak to jest w Saksonji, Bawarii, Danji i innych krajach cywilizowanych.

Lecz i na szkołach ludowych niższych poprzestać nie sposób. Trudno przecie dziewczynę czy chłopaka 14 letniego puścić w świat z tym drobnym zapasem wiadomości, jakie zdobyć może w szkółce niższej. Toć pańskie dzieci uczą się do lat 17-stu i 20-stu. Czyż dziecko chłopskie, lub mieszczańskie, nie ma takiego samego prawa do nauki, jak dziecię bogatszego stanu?

Muszą więc u nas, tak samo jak zagranicą, być jeszcze **szkoły ludowe wyższe**, z kursem conajmniej dwuletnim. Szkoły te będą nam uczyły dzieci dalej nauk nieco wyższych i praktycznych, przygotowując je do życia rolniczego lub rzemieślniczego i dając im rozwój ogólny społeczny. Dopiero po ukończeniu Szkoły ludowej wyższej, syn nasz czy córka wyrośnie na człowieka prawdziwie rozwiniętego, przygotowanego do samodzielnej pracy.

Niejednemu wyda się to niemożliwem, żeby dzieci w tym właśnie wieku, kiedy potrzebne są do pasionki i pomocy w gospodarstwie, oddawać do szkoły. Ale na to rady niema. Musimy raz wreszcie oswobodzić nasze biedne dzieciaki z tej prawdziwej niewoli u bydła, w której teraz najpiękniejsze lata swego dzieciństwa marnują. Jak to zrobić — tego teraz mówić nie będę—

dość, że zrobić to trzeba tak samo, jak zrobili Niemcy, duńczycy, szwedzi, szwajcarzy i t. d. I im niegdyś wydawało się to niemożliwością — a dzisiaj dziwią się, jak można było się namyslać. Dziś każdy z tych narodów rozumie, że dobra szkoła to zbawienie dla dziecka — i ze skóry lezie, żeby mu tego zbawienia przychylić.

Tak jest gdzieindziej; tak będzie i u nas. Nie gorsi my przecie od różnych Niemców i Szwedów. Gdy dziecko nasze ukończy szkołę ludową niższą i wyższą, — które będzie bardzo zdolne i ciekawe do nauki dalszej, to będzie mogło wprost ze szkoły ludowej przejść do **szkoły średniej**. A tam już dalej, da Bóg, syn pokieruje się na uczonego doktora, profesora, księdza czy inżyniera; córka zostanie nauczycielką, doktorką, pisarką książek i t. p. A toż to największe szczęście dla narodu, jeśli z jego warstw ludowych wychodzą potem światli przodownicy społeczeństwa!

Inni chłopcy, czy dziewczęta, nie tak zdolni, będą mogli kształcić się dalej w **szkołach fachowych** (rolniczych, ogrodniczo-pszczelniczych, handlowych, rzemieślniczych, rysunkowych i t. p.), o które społeczeństwo wszelkimi siłami postarać się powinno.

Pozostaje jeszcze zajęcie się dziećmi małemi—takiemi, które jeszcze do szkoły chodzić nie mogą, a opieki nad sobą potrzebują. Dla tych dzieci musimy zakładać wszędzie **ochrony**, jak to zresztą w wielu miejscach w ostatnim roku już zrobiono. Szczególniej przy dworach i fabrykach, gdzie rodzice oboje często zajęci są pracą zarobkową, ochrony założone być powinny.

Jeszcze raz przypomnijmy sobie, co krzawić powinniśmy na zaniedbanym odłogu wychowania i nauki naszych dzieci, młodzieży i starszych.

Dla dziatwy drobnej, do lat 7, musimy mieć **ochrony**.

Dla starszej, od lat 7 do 13-stu zakładać winniśmy **szkoły ludowe niższe**, z kursem sześcioletnim.

Dla dzieci starszych, od lat 13 do 15-stu — **szkoły ludowe wyższe**, dwuletnie.

Dla młodzieży, pragnącej kształcić się fachowo, winny być **szkoły niższe rolnicze, rzemieślnicze, handlowe i t. p.**

Dla dorosłych, nie umiejących czytać—**kursy czytania i pisanja dla analfabetów**.

Dla młodzieży i dorosłych wogóle — **wykłady wieczorne lub niedzielne, odczyty, księgozbiory, wypożyczalnie książek i pisma**.

W ścisłym związku z nauczaniem jest jeszcze jedna niezmiernie ważna, pierwszorzędną potrzeba, mianowicie dostarcza-

nie krajowi odpowiedniej ilości wykształconych nauczycieli. Nie wątpi, że w pierwszych latach będzie to dla nas niezmiernie trudne. Trzeba będzie powołać mnóstwo ludzi, którzy nie przeszli przez seminarjum nauczycielskie, albo powołać pewną ich część z Galicji.

Niezależnie od tego trzeba zwiększyć ilość **seminarjów nauczycielskich**. Obecnie mamy w kraju tylko 9 seminarjów, kształcących rocznie około 700 młodzieńców. Gdyby jednak przyjąć taki stosunek potrzebnych seminarjów, jak jest np. w Bawarji (18 seminarjów na 5 i pół miliona mieszkańców), to my, przy 10 milionach powinniśmy mieć co najmniej **30 seminarjów nauczycielskich**, z 3,000 uczniów. Przytem połowa tych seminarjów powinna służyć do kształcenia kobiet—przekonano się bowiem wielokrotnie, że w szkole ludowej nauczycielki również dobrze mogą pracować jak i nauczyciele.

Wreszcie nie możemy pominąć jeszcze jednej ważnej sprawy. Oto nigdzie prawie na świecie praca nauczycieli ludowych nie jest tak marnie wynagradzana, jak u nas.

We Francji nauczyciel szkoły ludowej niższej otrzymuje 375 do 750 rubli rocznie, a oprócz tego mieszkanie.

W Anglii wynagrodzenie waha się od 500 do 1500 rubli rocznie.

W Belgji pensja nauczyciela wynosi najmniej 450 rubli (prócz mieszkania).

W Szwajcarji (w kantonie Zurychskim) jeszcze przed 20 laty nauczyciel pobierał 835 rb. rocznie.

W Szwecji nauczyciel dostaje tylko 314 rubli ale ma przytem mieszkanie, opał, paszę dla jednej krowy i ogród.

Słowem — wszędzie płaca nauczycieli jest znacznie wyższą niż u nas; to też tam na nauczycieli młodzież idzie chętnie, bo wie, że za ciężką pracę wynagrodzoną będzie uczciwie—tymbar dziej że co kilka lat, — zwykle co 5 lat — płaca nauczyciela się podnosi.

Ale tam ludzie widać pamiętają o tem, że za „tanie pieniądze psi mięso jedzą“ — a także o tem, że jedną z najważniejszych, a zarazem najcięższych, jest praca nauczycielska: „Bodajęś cudze dzieci uczył!“ — przeklinacie czasem w gniewie. Pamiętajcież, że za to ciężkie uczenie cudzych dzieci trzeba nauczyciela uczciwie wynagrodzić i byt na stare lata mu zapewnić.

M. Brzeziński.



Niepiśmienny.

Ja nie zazdroszczę, chowaj mię Boże,
 Nic i nikomu na Bożym świecie:
 Jednego tylko zazdroszczę może,
 Że wy, panowie, pisać umiecie.
 Dajcie mi pióro i kartkę białą,
 Nauczcie piórem wodzić w potrzebie,
 Tożby latało, tożby latało,
 Jak błyskawica po jasnym niebie!
 Wszystko, co boli, co cieszy szczerze,
 Co sam obaczę, co mi kto powie,
 Wszystkoby w wiernie kładł na papierze,
 Dumkę po dumce, słowo po słowie.
 Spisałbym widok Bożego świata,
 Każdy tak piękny, każdy odmienny,
 A teraz wszystko marnie ulata:
 Bom nieuczony, bom niepiśmienny!
 Jakie rozkosze, jakie rozkosze!
 Umieć wypisać słowo po słowie,
 Co marzę w myślach, co w sercu noszę,
 Karta zrozumie, pióro wypowie!
 Ludzie gotowi wysmiać biedaka,
 Nie rozumieją, serce ci zrania,
 A czasem dumka przychodzi taka,
 Że i słów żadnych nie znaleźć na nią.
 Jabym po prostu, jak serce puka,
 Takbym i pisał na białej karcie:
 Pukania serca złowić nie sztuka,
 Ludziom nie można mówić otwarcie.
 Pióro wyskrzypi z pod serca mowę,
 A papier milczy, jakby mur ścienney...
 Dumki — gołąbki, bywajcie zdrowe,
 Ja was nie schwyćę — jam niepiśmienny!

L. Kondratowicz (Syrokomla).



Szkolnictwo ludowe w Szwajcarji.

Nie ulega wątpliwości, że z chwilą ogólnych zmian w urzędzeniu całego Państwa Rosyjskiego, a zarazem zmiany w stosunkach wewnętrznych Królestwa, wejdziemy w nowy okres życia. Dalszy jego rozwój w znacznym stopniu znajdować się będzie

w naszym ręku i my głównie będziemy odpowiedzialni przed przyszłymi pokoleniami, jeżeli polepszenia warunków nie użyjemy na ogólne podniesienie kraju.

Jedną z najpilniejszych prac, na której wszystkie inne oprzeć się będą musiały, będzie nauka naszych dzieci. Jesteśmy jednym z najciemniejszych narodów Europy. Gdy w krajach wykształconych spotyka się zaledwie 1 na 100, a nawet 1 na 1000 ludzi, nie umiejących czytać,—u nas w Królestwie jest takich ciemnych 60 do 70 i wyżej na każdym 100 Polaków.

Przyczyn tego strasznego stanu, ani jego skutków, rozbić teraz nie będziemy. Rozumiemy jednak wszyscy, że złemu zaradzić może tylko **wielka liczba** dobrych, potrzebom naszym odpowiadających szkół ludowych, oraz innych złączonych z niemi urządzeń, jak: seminarja nauczycielskie, księgozbiory, czytelnie, odczyty i wiele, wiele innych.

Żeby dać przykład, jak stoi sprawa oświaty ludowej w krajach oświeconych Europy, przedstawimy tutaj krótki zarys szkolnictwa ludowego Szwajcarii.

Wybraliśmy Szwajcarię dlatego, bo kraj ten, nie mogąc prowadzić wielkiej polityki, nie potrzebując wydawać pieniędzy na uzbrojenia, całą dzielność swoją zwraca oddawna ku polepszeniu i udogodnieniu życia wewnętrznego. Między innemi pierwsze miejsce zajmuje tam sprawa szkolnictwa.

Zanim zaczniemy opowiadać o szkołach szwajcarskich, musimy przypomnieć parę szczegółów o samej Szwajcarii.

Piękny ten kraj, zajmujący najwyższe w Europie góry (Alpy), posiadający wspaniałe jeziora, rzeki i wodospady,—z natury jednak jest ubogi. Skalisty grunt i surowość klimatu w okolicach wyższych nie pozwalają na rozkwit rolnictwa; zboża na swoje potrzeby nawet nie starcza. Za to kwitnie hodowla bydła i przemysł mleczny, a w dolinach południowych hodowla wina i owoców. Góry dostarczają pięknych marmurów i alabastrów; lasy—drzewa opałowego; rwące potoki i wodospady—siły poruszające. Pomimo więc, że brak zupełnie węgla i żelaza, Szwajcaria stała się przeważnie krajem przemysłowym. Na północy rozwinął się przemysł jedwabny i bawełniany; na południu i zachodzie—wyrób zegarków i kosztownych drobiazgów, koronek, przedmiotów ze słomy, drzewa, zabawek i t. p. Wszystko to zapewnia szwajcarom pewną zamożność, ale zamożność, zdobytą bardzo usilną, rozumnie kierowaną pracą.

Pod względem obszaru Szwajcaria jest kraikiem bardzo małym, zajmującym zaledwie 752 mile kwadratowe i mającym 3 miliony mieszkańców. *)

*) Dla porównania przytoczmy, że Królestwo Polskie zajmuje 2312 mil kwadratowych i posiada przeszło 10 milionów mieszkańców. Jest więc Szwajcaria tak duża, jak nasza gubernja lubelska i siedlecka razem.

Szwajcaria jest rzecząpospolitą związkową, w skład której wchodzi 25 drobnych kraików, zwanych kantonami. Każdy kanton rządzi się wewnątrznie sam; do spraw wspólnych, dotyczących całego kraju, jest rząd ogólny, zwany Radą Związkową, z prezydentem, obieranym na rok z pośród ludności.

Jak w innych sprawach, tak samo w szkolnictwie, każdy kanton ma zupełną swobodę zakładania i prowadzenia takich szkół, jakie sam uważa za potrzebne dla siebie.

1. Jakie rodzaje szkół ma Szwajcaria?

Szwajcaria oddawna już jest krajem prawdziwie bezstanowym, czyli demokratycznym. Niema tam odrębnych klas narodu niższych i wyższych, niema żadnych praw ani przywilejów stanowych. Ludzie różnią się tam od siebie tylko przyrodzonymi właściwościami i wykształceniem, poczęści językiem i religją, a głównie zajęciami i swemi czyli zawodami. Są więc rolnicy, pastarze, drwale, górnicy, rzemieślnicy, fabrykanci, uczeni, urzędnicy, duchowni i inni,—ale niema np. szlachty i chłopów, mieszczan i żydów. Każdy człowiek, pochodzący z rodziny szwajcarskiej, kochający kraj szwajcarski i poświęcający jemu swą pracę, jest Szwajcarem, obywatelem Szwajcarii, równym w prawach ze wszystkimi innemi obywatelami.

Z tej wychodząc zasady, i nauka początkowa w Szwajcarii jest jednakową dla wszystkich, dla wszystkich dostępną i obowiązkową, a w szkołach ludowych publicznych nauka jest nawet bezpłatną. Zobaczmy, jakie rodzaje szkół ma u siebie mała Szwajcaria.

Najniższy stopień szkół szwajcarskich stanowią ochronki dla dzieci od 3 do 6 lub 7 lat, zwane tutaj **szkołami dla małych dzieci**.

Dla dzieci starszych (lat 7 do 14) są **szkoły początkowe pierwszego stopnia**. Nauka w nich trwa 6 do 8 lat. Szkoła taka musi znajdować się w każdej wsi, czyli jak tam się nazywa: gminie szkolnej.

Po skończeniu 6 klas pierwszego stopnia, uczniowie życzący sobie tego i zdolniejsi przechodzą do **szkoły początkowej drugiego stopnia** z kursem 3-letnim. Tutaj doskonali się oni w nabytych naukach i posuwają dalej, żeby w razie potrzeby mógł przejść wyżej. Kilka gmin tworzą okręg szkolny i utrzymują jedną szkołę drugiego stopnia.

Trzeci rodzaj szkół stanowią **szkoły uzupełniające**, z kursem rocznym,—dla tych uczniów, którzy ukończyli tylko szkołę pierwszego stopnia. Nauka w nich jest również bezpłatną.

Dla tych, którzy przeszli kurs uzupełniający, a pragną kształcić się w pewnym rzemiośle, są różnego rodzaju **szkoły rzemieślnicze**, z kursem bezpłatnym, jednorocznym.

Po ukończeniu szkoły rzemieślniczej uczeń może przejść do **szkoły przemysłu artystycznego**, z nauką trzyletnią, płatną. Z takiej szkoły wychodzi już rzemieślnik prawdziwie wykształcony, rozwinęty,—wychodzi człowiek światły, mogący śmiało rozpocząć samodzielne życie.

Jak różnorodni bywają te szkoły rzemieślnicze, a właściwie **fachowe**, pokazują ich nazwy: są szkoły rękodzielnicze, rzemieślnicze, szkoły tkackie ogólne, szkoła tkactwa jedwabnego, szkoły rysunkowe, zegarmistrzowskie, mechaniczne, handlowe, blacharskie, tapicerskie, krawieckie, ślusarskie i wiele innych. A oprócz tego mnóstwo szkół i kursów uzupełniających dla dziewcząt: szkoły dla córek, szkoły porządku domowego, szkoły gospodarstwa domowego, kucharstwa, jest nawet osobna szkoła kucharstwa ludowego, szkoły służących, szkoły szycia, haftu, tkactwa, koronkarstwa i wiele, wiele innych.

Niezależnie od tego Szwajcaria posiada 4 szkoły rolnicze całoroczne, 10 szkół rolniczych zimowych, 3 szkoły mleczarstwa i syrowarstwa, 6 szkół owocarstwa, ogrodnictwa i winobrania.

Prócz szkół powyższych, utrzymywanych kosztem publicznym, są jeszcze **szkoły prywatne**, bądź ogólnie kształcące, bądź szczególne (dla dzieci zaniedbanych, dla niewidomych i ociemniałych, dla umysłowo tępych, dla sierot, dla wychowania misjonarzy).

Do kształcenia nauczycieli i nauczycielek założono **instytuty nauczycielskie**—dla mężczyzn i kobiet: seminarja, szkoły wyższe dla dziewcząt, szkoły normalne i t. p.—jedne katolickie, inne protestanckie lub bezwyznaniowe.

Po szkołach początkowych, czyli ludowych, idą **szkoły średnie**, odpowiadające naszym gimnazjom i szkołom realnym. Najniższe klasy tych szkół mają kurs prawie taki sam, jak szkoły ludowe drugiego stopnia, tak że uczeń, kończący szkołę ludową, z łatwością dostaje się do szkoły średniej.

Jedne z tych szkół są ogólnie kształcącymi z kursem podobnym do gimnazjów (z łaciną), inne realne (z przewagą matematyki i przyrody); jeszcze inne są handlowymi, technicznymi, przemysłowymi lub duchownymi (teologicznymi).

Słowem dla dziecka wszelkiego powołania znajdzie się odpowiednia szkoła, która pozwoli mu wrodzone zdolności kształcić i wykierować się na rozwiniętego człowieka.

Znaczna część szkół średnich przygotowują do wyższych zakładów naukowych; są jednak i takie, które celu tego nie mają, stanowiąc same w sobie zakończone.

Dla młodzieży bardzo zdolnej, mającej chęć i możność pobierania nauki najwyższej, pragnącej kształcić się na doktorów, inżynierów, prawników, profesorów, uczonych rolników, duchownych i t. p. istnieją w Szwajcarii **uczelnie najwyższe**—uniwersytety, politechniki, akademje, instytuty i t. p.

W ten sposób dziecko szwajcarskie—czy to chłopiec, czy dziewczyna—ledwie wyrośnie z pieluch, ledwie wyjdzie z pod najpierwszej opieki matki, już ma dla siebie otwartą drogę nauki,—zaczawszy od ochronek, w których nauczy się zabaw, robotek ręcznych i śpiewek, a kończąc na najwyższych, często wszechświatowej sławy używających uczelniach.

Szczęśliwe dzieci! szczęśliwy kraj!

Nie możemy wdawać się tutaj w nadmierne szczegóły, ale sądzimy, że ciekawem będzie zestawienie liczbowe ilości szkół w Szwajcarii. Wprawdzie liczby są wzięte z wykazu urzędowego z przed paru lat (z 1899 i 1900 roku), ale, jeżeli się co zmieniło, to z pewnością tylko wzrosła liczba szkół i uczniów.

A więc w Szwajcarii, kraiku z 3-ma milionami ludności, było w r. 1899—1900:

SZKÓŁ (męzkich, średnich i mieszanych)		UCZĄCYCH SIĘ (chłopców i dziewcząt)
Szkół ludowych I stopnia	4643	473058
Szkół ludowych II stopnia	523	34928
Szkół uzupełniających	2853	56785
Szkół prywatnych ogóln. kształc.	208	6594
Szkół poprawczych	41	1443
Szkół dla ociemniałych i głuchoniemych	20	733
Szkół dla tępych umysłowo	12	598
Zakł. dla sierot	42	981
Szkół misyjnych	3	189
Szkół dla małych dzieci	759	38918
Razem szkół odpowiadających ludowym	9104	614237
Seminarjów nauczycielskich	39	2339
Szkół średnich	114	19212
Szkół wyższych	10	6309
Razem szkół niższych, średnich i wyższych	9267	642097

Odczywszy z ogólnej liczby uczniów przeszło 2000 cudzoziemców, uczęszczających głównie do szkół najwyższych; odczywszy jeszcze 10000 na możliwe pomyłki w rachunku, otrzymamy, że w Szwajcarii na 3 miliony mieszkańców pobiera naukę w szkołach 630 tysięcy dzieci i młodzieży, to znaczy na 100 mieszkańców pobiera naukę w szkołach 21 dzieci i młodzieży.

2. Ustawa szkół ludowych w kantonie Curyskim.

Dla dokładniejszego zrozumienia, czym jest szkoła w Szwajcarii, przytoczymy niektóre wyjątki z ustawy szkolnej kantonu Curyskiego (Zürich), gdzie szkolnictwo postawione jest bardzo wysoko.

Szkolnictwo ludowe kantonu Curyskiego obejmuje **szkoły początkowe pierwszego stopnia i szkoły początkowe drugiego stopnia**. Pierwsze są przeważnie wspólnymi dla chłopców i dziewcząt.

Kanton dzieli się na obwody szkolne, składające się z jednej lub kilku gmin szkolnych. Każda gmina szkolna winna mieć własny dom szkolny i swoją Radę szkolną.

Nauka jest obowiązkową. Wszystkie dzieci zamieszkałe w kantonie, zarówno chłopcy, jak i dziewczęta, które przed 1-ym maja kończą lat 6, obowiązane są z początkiem kursu szkolnego wstąpić do szkoły ludowej.

Od tego ogólnego prawa są wszelkie wyjątki:

Dzieci ciepleśnie lub umysłowo słabe mogą na dłuższy lub krótszy czas przez opiekę szkolną być zwolnione od nauki lub przeniesione do właściwych klas. Dzieci, które z powodu tępości umysłowej lub wad cielesnych nie mogą uczyć się w szkole, albo zatrzymywałyby inne w nauce, za świadectwem lekarskiem zwalniają się ze szkoły. O ile możliwości jednak dla dzieci takich urządza się nauczanie osobne.

Jeśli dziecko w wieku szkolnym uczęszcza do innej odpowiedniej szkoły, lub uczy się prywatnie, rodzice obowiązani są złożyć Radzie szkolnej stwierdzone dowodami zawiadomienie.

Rok szkolny zaczyna się z początkiem maja i wtedy przyjmuje się do szkoły nowych uczniów.

Nauka trwa lat 8, aż do skończenia przez ucznia lat 14.

Szkoła dzieli się na 8 klas, lecz zwykle tylko 6 klas jest czynnych.

Jeśli liczba uczniów, jednocześnie uczęszczających do szkoły, przez 3 lata przewyższa 70, to szkoła powinna powołać drugiego nauczyciela. A to dlatego, bo jeden nauczyciel na więcej, niż 70 dzieci, nie podoła.

Nauka tygodniowa obejmuje:

w klasie pierwszej	15 do 20 godzin
" " drugiej	18 — 22 "
" " trzeciej	20 — 24 "
" " czwartej,	
piątej i szóstej	24 — 30 "
w klasie siódmej	
i ósmej	27 — 33 "

Wakacje trwają w ciągu roku 9 tygodni. Rozkład wakacji zależy od potrzeb miejscowych, np. od najważniejszych robót gospodarczych (winobrania, zbioru owoców, żniwa i t. p.).

Przedmiotami nauki w szkole ludowej są:

Historja święta i nauka moralności; język ojczysty; rachunki (arytmetyka i początki miernictwa); nauka o przyrodzie, geografja i historia, głównie kraju ojczystego; pisanie, rysunki i śpiew; gimnastyka, gry i zabawy; roboty ręczne dla chłopców; roboty ręczne i nauka gospodarstwa domowego dla dziewcząt.

W klasach wyższych, prócz kształcenia ogólnego, przy nauce zwraca się baczna uwagę na potrzeby życia praktycznego.

Gmina szkolna obowiązana jest urządzić przy szkole i zaopatrzyć w niezbędne przyrządy, boisko, t. j. plac do gimnastyki i zabaw.

Na naukę robót ręcznych dla dziewcząt zwraca się ogromną baczność. Przez cały czas pobytu w szkole dziewczęta uczą się: robienia pończoch, szycia, naprawiania starej odzieży i przygotowywania części nowej; nauczycielka wdraża je do porządku, czystości i gospodarności domowej. Nad nauką robót ręcznych dla dziewcząt czuwa osobna Rada kobieca, wybrana z matek i opiekunek.

Materiały do robót ręcznych, oraz książki, papier, pióra, ołówki i inne pomoce wydają się dzieciom darmo.

Rada szkolna i nauczyciel czuwają nad akuratem i nieprzerwanem uczęszczaniem uczniów do szkoły.

Rada szkolna i nauczyciel winni prócz tego czuwać, aby uczniowie nie byli przeciążani postronnymi robotami, czy w domu, czy poza domem, jakoteż żeby nie byli zaniedbywani. Jeśli zapomnienia, udzielane rodzinie ucznia, okazują się nieskutecznymi, nauczyciel może wystąpić na drogę prawną.

Rodzice, opiekunowie i ich zastępcy, jakoteż zwierzcownicy i majstrowie, którzy zaniedbują swoje obowiązki względem dzieci odnośnie do szkoły, karani są przez Radę szkolną po bezskutecznych napomnieniach, grzywną do 15 franków (do 5 rubli).

W wypadkach cięższych karę wyższą przeciw rodzicom z powodu zaniedbywania obowiązków i nieposłuszeństwa wyznacza władza sądowa.

Szkoła daje pomoc uczniom ubogim. Wydatki kasy szkolnej na pożywienie i ubranie dla takich uczniów pokrywa rząd. On również pomaga do wysyłania uczniów słabych na kolonje wakacyjne.

Co pewien czas odbywa się ze strony władzy rządowej badanie lekarskie zdrowotności szkół i stanu zdrowia uczniów.

Powyższe ustępy mówiły o szkole ludowej pierwszego stopnia. Celem **szkół ludowych drugiego stopnia** jest wzmocnienie i rozszerzenie wiadomości, nabytych w szkółce niższej—i w ten sposób ułatwienie uczniowi wstępu do zakładów naukowych dalszych.

Szkoła drugiego stopnia dostosowana jest do klasy 6-ej szkoły niższej i obejmuje kurs trzyletni.

Liczba uczniów nie może przekroczyć 35.

Pragnąc zachęcić młodzież do nauki w szkole drugiego stopnia, dla uczniów, potrzebujących i zasługujących na to, rząd i obwody szkolne udzielają stypendjów (zapomóg), przyczem mają na względzie przeważnie uczniów, zamieszkałych daleko od szkoły i uczęszczających do klasy 3 ej, t. j. ostatniej.

Uczęszczanie do szkoły drugiego stopnia nie jest obowiązkiem. Wstęp do niej mają wszyscy chłopcy i dziewczęta, mieszkający w danym obwodzie szkolnym, o ile przeszły 6-tą klasę 1-go stopnia, o ile mają odpowiednie zdolności i pragną uczyć się dalej.

W szkole wykładają się w stopniu znacznie wyższym, niż poprzednio: historia święta i nauka moralności; język ojczysty i francuski *); arytmetyka; zasady prowadzenia rachunków i ksiąg rachunkowych; geometria z miernictwem i rysunkami mierniczymi; nauka przyrody; historia ojczysta i powszechna; geografia ojczysta i powszechna; kaligrafia i rysunki; śpiew; gimnastyka, gry i zabawy; roboty ręczne i gospodarstwo domowe dla dziewcząt.

Wczytując się w te ustawy, widzimy, że po skończeniu nauki w szkole ludowej młody szwajcar, czy szwajcarka, jest człowiekiem rozwiniętym, wykształconym, który śmiało idzie w życie, zbrojny wiedzą, znajomością i miłością kraju rodzinnego, dzielnością i zdrowiem, które szkoła przez wszystkie lata nauki starała się w nim wyrabiać.

Powiedział ktoś ze sławnych ludzi, że najlepsze ustawy szkolne nie poradzą nic, jeśli szkoła nie będzie miała dobrych nauczycieli. Otóż Szwajcaria jest w tym szczęśliwym położeniu, że ma nie tylko znakomite ustawy szkolne, ale także świetnych nauczycieli i nauczycielki,—ma ludzi w zawodzie swoim wysoko wykształconych i prawdziwie zamilowanych, rzeczywistych wychowawców i oświecicieli swego ludu.

Nie wątpimy ani na chwilę, że i u nas tacy nauczyciele już są, a znajdzie się ich więcej,—znajdzie tylu, ilu będzie potrzeba,—jeśli będziemy mieli takie szkoły dla dzieci i dla nauczycieli, jakie ma Szwajcaria.

3. Budynek szkolny i pomoce naukowe.

Dla każdego ważnym jest dom, w którym mieszka lub musi dłużej przebywać. Dla dzieci, uczęszczających do szkoły, nie-

*) Szwajcarzy kantonu Curyckiego są pochodzenia niemieckiego i ich językiem ojczystym jest niemiecki. Inna część szwajcarów jest pochodzenia francuskiego i mówi po francusku; część zaś mówi po włosku.

zmieć ważnym jest budynek szkolny, w którym muszą przebywać po 5 do 6-ciu godzin przez kilka lat życia.

Budynek szkolny powinien być obszerny, wysoki, suchy, widny, w zimie dostatecznie ciepły, postawiony w miejscu zdrowym, przewiewnym, otoczony ogródkiem i miejscem do zabaw dla dzieci.

Jeśli budynek szkolny nie odpowiada tym niezbędnym warunkom, jeżeli jest ciasny, niski, duszny, wilgotny i smrodliwy, to dzieci w nim będą się męczyły, będą chorowały i słabły. Jeśli jeszcze nauczyciel nie dba o ich gimnastykę i gry na świeżym powietrzu, to przy najlepszej nawet nauce z dzieci tych wyrosną nędzne charłaki.

To też we wszystkich krajach oświeconych nad budynkami szkolnymi rozciągnięta jest baczna opieka co do ich bezpieczeństwa i zdrowotności, a osobne przepisy omawiają sposób ich budowania i utrzymania.

Zobaczmy, jak stoi ta sprawa w Szwajcarii.

Mam właśnie pod ręką odnośną ustawę z kantonu Friburskiego.

Osobna ustawa określa sposób budowania, utrzymania i warunki zdrowotności domu szkolnego.

Zwrócono tam uwagę na wszystko.

W otoczeniu szkoły nie wolno używać płotów z drutu kolczastego, żeby się dzieci nie kaleczyły.

Izby szkolne muszą być zbudowane na podmurówce.

Światło mieć powinny z dwóch stron, od południa i zachodu. Ławki mają być—o ile możliwości—ustawione tak, żeby światło padało uczniom nie prosto w oczy, lecz z lewej strony, co jest najzdrowsze przy czytaniu i pisanii.

Do ogrzewania szkoły gromada obowiązana jest dostarczyć suchego drzewa co rok przed 1 maja. Na koszt gromady drzewo to będzie zrąbane.

Nie wolno przynosić drzewa do pieców podczas godzin lekcji, żeby uczniom nie przeszkadzało.

W każdej izbie szkolnej znajduje się ciepłomierz, zawieszony daleko od pieca. Ciepłota w izbie szkolnej nie powinna być niższą od 15 stopni ciepła Celsjusza (czyli 12 stopni Reomiera), ani wyższą nad 20° Cels. (16° Reomiera).

W izbie szkolnej powinna być odpowiednia ilość luftów lub wentylatorów do ciągłego odświeżania powietrza.

Podczas każdej przerwy między lekcjami uczniowie—o ile pozwala pogoda—powinni wyjść na dwór, a w izbie należy otworzyć okna i gruntownie ją przewietrzyć. W razie niepogody lub wielkiego zimna, okna, czy lufki, otwierać można na krócej, ale otwierać koniecznie.

Izba szkolna, śień i ganek winny być utrzymane w największej czystości. Co najmniej raz na miesiąc nauczyciel na koszt

gromady każe szorować podłogi. Najmniej cztery razy do roku powinny być szorowane ławki i ściany drewniane. Ściany murowane, lub tynkowane, raz na rok należy pobielić wapnem.

Nauczycielowi nie pozwala się używać izby szkolnej na użytek własny lub swego gospodarstwa. Poleca mu się natomiast wszystkie przedmioty utrzymywać w niej w największym porządku i przyozdobić ją tak, aby była miłą dla uczniów. Do ozdoby najbardziej nadają się obrazy religijne lub historyczne z dziejów kraju rodzinnego.

Ze sprzętów szkolnych znajdować się winny:

Stolik lub katedra z wygodnym krzesłem dla nauczyciela. Ławki dla uczniów, najlepiej krótkie, każda na dwoje dzieci, z oparciem z tyłu, z lekko pochyłym stolikiem do pisania. Ławki powinny być wygodne, nie męczące uczniów, mniejsze dla dzieci młodszych, większe dla starszych. Dzieci niższe i mające gorszy wzrok i słuch, powinny siedzieć zawsze w bliższych rzędach.

W szkole muszą być dwie tablice czarne, na jednej stronie nie linjowane, na drugiej z linjami do pisania nut przy śpiewie i muzyce. Przy tablicach—kreda i gąbka. Najlepsze są tablice zawieszane na ścianie, bo miejsca nie zabierają.

Do chowania materiałów pisemnych, dzienników, zeszytów, robót ręcznych i t. p. powinna być osobna szafka, nieduża, płytka, bez szyb, gdyż dzieci mogłyby niechcący tłuc je przy zabawie. Przy budowie szkoły można robić gotowe wgłębienia w ścianach do pomieszczenia szaf, żeby jak najmniej wystawały na izbę.

Na ścianie wisi zegar; na stoliku nauczyciela stoi dzwonek głośny do oznajmiania początku i końca lekcji.

Prócz tych rzeczy, nie służących bezpośrednio do nauki, każda szkoła powinna mieć swoje **pomoce naukowe**, to jest przedmioty, ułatwiające naukę. Przedmioty te stanowią tak zwany „**Skarbczyk szkolny**“, na pomieszczenie którego potrzebną jest osobna, choćby niewielka izba lub sien z szafkami i półeczkami.

Pomoce naukowe służą do ułatwienia wszelkich nauk, szczególnie zaś nauki rachunków, nauki o przyrodzie, geografji i historii.

W szkołach szwajcarskich do nauki rachunków służą: tablica rachunkowa, zbiór najważniejszych miar i wag, używanych w kraju; linja długa do rysowania kresek na tablicy, cyrkiel duży żelazny z kredą—do rysowania kół.

Do poznawania przyrody niezbędnymi są: próbki kamieni, skał i gruntów; przyrządy do badania ciał martwych (próbówki, bańki do ogrzewania, lampki spirytusowe i inne); trochę wypchanych zwierząt ssących i ptaków miejscowych, zbiory owadów i roślin zasuszonych, drobnowidz, a, jeżeli można, to i latarnia czarodziejska. Prócz tego jak najwięcej tablic z rysunkami i malowaniami tych rzeczy, o których nauczyciel będzie na lekcjach opowiadał.

Do geografji niezbędny jest duży globus, tablice ścienne z obrazami własnej wsi i okolicy, kraju, Europy i innych części świata; obrazki z życia ludów, zjawisk przyrodzonych na ziemi i t. p. Wszystkie te obrazki sprzedaje się przy latarniach czarodziejskich.

Do historii świętej, historii kraju i powszechnej należy mieć również obrazy na dużych tablicach.

W skarbczyku mieści się też biblioteka szkolna dla uczniów i biblioteka dla nauczyciela.

Każdy rozumie, że w szkole, tak zaopatrzonej w pomoce naukowe, może nauka rzeczywiście iść dobrze i musi być pożyteczną zarówno dla uczących się, jak i dla nauczyciela.

4. Przepisy postępowania dla uczniów.

Uczeń szkoły ludowej szwajcarskiej znajduje się pod nieustanną opieką i kontrolą nauczyciela, który „nie tylko w szkole, ale i poza nią, obowiązany jest czuwać nad postępowaniem swych uczniów i uczennic“.

Nauczyciel musi być obecny przy wchodzeniu uczniów do szkoły i wychodzeniu z niej—szczególniej w szkołach mieszanych, gdzie uczą się razem chłopcy i dziewczęta,—a takich szkół jest w Szwajcarii najwięcej.

Nauczyciel towarzyszy uczniom w kościele, na obchodach państwowych, obywatelskich, kościelnych lub szkolnych. A wszędzie daje on młodzieży przykład dobrego i przyzwoitego zachowania się.

Osobne przepisy określają, jak zachować się powinni uczniowie i uczennice szkół ludowych.

Zabrania się im surowo:

- 1) męczyć zwierzęta, wydierać gniazda ptakom, tym szczególnie, które znajdują się pod opieką prawa;
- 2) uszkadzać drzewa, płoty i ozdoby zarówno dróg publicznych, jak i prywatnych posiadłości, jakoteż kraść owoce w sadach;
- 3) rzucać na drogach publicznych kamienie, śnieżki lub inne przedmioty; urządzać na tych drogach ślizgawki;
- 4) włóczyć się za nadejściem nocy po ulicach i placach publicznych;
- 5) bawić się bronią, prochem, zapalkami i innymi materiałami wybuchowymi; w lasach rozniecać ogień;
- 6) grać o pieniądze, oszukiwać, prowadzić między sobą handel i szacherki, chodzić po gospodach i miejscach, gdzie odbywają się tańce, kłócić się, przezywać i hałasować;
- 7) maskować się;
- 8) palić tytoń, używać napojów spirytusowych i takowe przynosić do szkoły, kupować łakocie w kramikach; nauczyciele

i członkowie dozoru szkolnego mają prawo wszędzie odbierać dzieciom fajki, tytoń, papierosy i cygara;

9) nie wolno uczniom i uczenicom biegać za wozami i wskakiwać na nie w biegu;

10) nie wolno kąpać się w miejscach nieznanych i niebezpiecznych; ślizgać się bez opieki starszych w miejscach niepewnych i jeździć na łódkach bez dobrego wioślarza.

Niejednemu z naszych łobuzów, przywykłych wałęsać się po drogach, z pewnością te przepisy się nie spodobały. Ale bo też w krajach cywilizowanych nie powinno być łobuzów, okrutników i złodziei. W Szwajcarii nie znają ludzie złodziejstwa, koniokrady, niszczenia cudzych drzew, kradzieży owoców, wypasania cudzych pól i t. p. występów, stanowiących prawdziwą plagę naszego życia.

Dziecko szwajcarskie, wychowane w surowych przepisach moralności i karności, rozumie, co to jest krzywda ludzka. To też wyrasta ono na obywatela, który sam nikogo nie ukrzywdzi i krzywdzić się nikomu nie pozwoli.

5. Prawidła dla nauczycieli.

Jeżeli szkoła szwajcarska stawia wysokie wymagania swoim uczniom, to niemniej surowo przestrzega postępowania nauczycieli.

Oto szereg zasad, którymi winien kierować się nauczyciel ludowy szwajcarski:

1) Ucz tylko tego, co sam umiesz dokładnie.

2) Nie przychodź nigdy do szkoły bez dobrego przygotowania do wykładu, nawet wtedy, gdy zdaje ci się, iż jesteś zupełnie obeznany z przedmiotem lekcji.

3) Powtarzaj często z uczniami to, czego ich uczysz; przez to wolniej, ale pewniej, pójdziesz naprzód. Lepiej nauczyć, „mało a dobrze“, aniżeli „dużo, a źle“.

4) Wykład swój stosuj zawsze do pojęcia dzieci. Używaj jak najwięcej sposobu nauczania poglądowego. Posługuj się rysunkami na tablicy i takimi przedmiotami, które podpadają pod zmysły, aby uczniom ułatwić i uprzystępnąć zrozumienie tego, co mówisz. Przykłady bierz z życia codziennego i posilkuj się takimi rzeczami, które uczeń może łatwo widzieć i zauważyć. Życie wiejskie, najpospolitsze rękodzieła i rzemiosła przedstawiają niewyczerpane źródło przedmiotów i przykładów dla nauczyciela, który umie się nimi posługiwać.

5) Nie zaniedbuj żadnego oddziału swojej szkoły. Jeśli klasa wstępna dobrze ci się uczy, przygotowujesz sobie dobrą klasę wyższą.

6) Bądź zawsze pierwszym i ostatnim w klasie.

7) Nie pozwól nigdy żadnemu uczniowi, a szczególnie żadnemu oddziałowi, być niezajętym.

8) Niech postępowanie twoje będzie zawsze równe; strzeż się wybuchów gniewu, pospolitych i grubiańskich wymysłów, przycinków i obrażeń. Bądź zawsze jednakowym dla swoich uczniów: przyjacielskim—bez poufałości, pobłażliwym—bez słabości, wymagającym—bez dokuczliwości. Strzeż się wtrącać do sporów i kłótni między rodzinami, wśród których musisz żyć i pracować.

9) Nie karz nigdy dziecka bez dokładnego i wszechstronnego rozważenia przestępstwa. Bądź wyrozumiałym na drobne przewinienia, będące skutkiem młodości i lekkomyślności. Zwracaj uwagę na poglądy, wynikające z wieku i płci. Jeśli musisz dziecko ukarać, czyń to ze spokojem.

10) Do najdrobniejszych szczegółów bądź sprawiedliwy i bezstronny. Dzieci są nadzwyczaj wrażliwe na stronność i niesprawiedliwość. Nauczyciel, który pod tym względem się nie pilnuje, traci wszelką powagę u swoich uczniów.

11) Jeżeli masz pomocników, czuwać, żeby i oni nie unosili się gniewem, nie używali kar niestosownych, nie popełniali żadnej niesprawiedliwości.

12) Karanie pewnych występów, przeciwnych dobrem obyczajom, wymaga wielkiej rozwagi i pobłażliwości względem nieszczęśliwego, który został dotknięty tym występkiem, szkodliwym dla ciała i ducha. Szczególniej baczycь winien, żeby występki ten nie rozszerzał się w szkole.

13) Twarz i ręce twoich uczniów winny być czyste, a włosy uczesane. „Czystość jest połową cnoty“.

14) Kiedy ciało jest cierpiące, to samo jest z umysłem, który wtedy nie może oddawać się pracy. To też zdrowie dzieci zasługuje na największą troskliwość. Niechaj-że izba szkolna będzie utrzymywana czysto i porządnie, niech będzie dobrze przewietrzana. Podczas przerw między lekcjami niech dzieci bawią się i biegają na świeżym powietrzu.

15) Ucz dzieci kochać wszystko to, co jest dobre, piękne, prawdziwe i sprawiedliwe.

Obowiązkiem twoim jest nie tylko podawać dzieciom przepisane wiadomości,—lecz przede wszystkim **powinieneś przez wychowanie religijne i obywatelskie wykształcić je na ludzi, obywateli i chrześcijan**. Ludzi—dla społeczeństwa; obywateli—dla ojczyzny; chrześcijan—dla Boga.

16) Niech przykład twój odpowiada twoim słowom. Dziecko z przyrody skłonne jest do naśladowania; ono pierw będzie naśladowało to, co ty robisz, niż to, co mówisz. Niech więc postępowanie twoje będzie na każdym kroku beznagannem i godnem twego wysokiego powołania.

17) Słowem i czynem wdrazaj swych uczniów do uczciwości, do poszanowania praw ludzkich i boskich.

18) Bądź dla swych uczniów przyjacielem, ojcem. Miej serce otwarte szczególnie dla najbiedniejszych, dla sierot, dla opuszczonych i dla tych dzieci, które w domu rodzicielskim na zły przykład są wystawione. Nauczyciel bez serca i dobroci nie jest godzien swego szlachetnego stanowiska.

* * *

Takie szkoły ma Szwajcarja, takim duchem przenikniętych nauczycieli mają szkoły ludowe szwajcarskie. A jakimi są nauczyciele, takimi są uczniowie. Z uczniów zaś tych wyrastają potem ludzie—rozumni, dobrzy, szlachetni, miłujący prawdę, sprawiedliwość i pokój czyniący.

Obyż Bóg dał, żebyśmy jak najprędzej i u siebie widzieli takie szkoły ludowe, jak w Szwajcarji,—takich nauczycieli, takich uczniów i takich obywateli kraju.

M. Brzeziński.

Dzionek na wsi.



anusińko, jak zorze,
Słychać ptaków śpiewania —
Skowroneczek już orze,
A przepiórka pogania.
Każde przy swej robocie:
Bocian chodzi po błocie,
Słowik śpiewa, a śpiewa,
Żołna lasy rozsiewa,
Przyśpiewują na głosy
To wywilgi, to kosy.
I człek myśli, że w raj,
A on w kraju, oh! w kraju.
Na zachodzie pogoda,
W jasnym niebie wesele—
Dał Bóg ludziom oj! wiele,
Może jeszcze co doda.
Może zboża dorzuci
Może szczęście powróci...
Chłopak pędzi, a krzyka,
Że aż kładą się szkapki—
Grajek wziął się do smyka,
Spuścił nogi przez drabki:
Dylu dylu od ucha!
Kto ma uszy, niech słucho.

Szumiały lasy, hej lasy!

A w karczemce grzmiały basy.

Kiedy skakać, to skacza,

A kiedy pić, — to pija,

A jak płakać, to płaczą,

A jak bić się — to biją...

To już u nas tak idzie,

Na połówkę nic niema:

A przecierpieć gdy przyjdzie,

To i to się przetrzyma.

Ot i dzwoni już dzwonek

Na wieśniaczym kościele:

Dzięki Bogu za dzionek,

Za serdeczne wesele—

I za wszystko, co miłe,

I za wszystko, co boli—

W ciężkiej pracy za siłę,

I za uśmiech w niedoli!

T. Lenartowicz.



O szkole rolniczej w Brzozowej.

Szkoła rolnicza w Brzozowej (nazywana także Sobieszyńską) została założona w r. 1896 i utrzymuje się z zapisu ś. p. hrabiego Kajetana Kickiego na folwarku Brzozowej, należącym do dóbr Sobieszyńskich (w gubernji Siedleckiej, powiecie Garwolińskim, nad rzeką Wieprzem, o 25 wiorst szosą od stacji Iwangrodu na drodze żelaznej Nadwiślańskiej).

Przysposabiając młodzież do pracy na roli, szkoła głównie dostarcza oficjalistów rolnych do gospodarstw większych i średnich: pomocników gospodarczych, ekonomów, pisarzy i t. p. Nie jest jednak pozbawiona znaczenia i dla gospodarstw drobnych—włościańskich. Synowie gospodarzy włókových i mniejszych — a przybywa ich do szkoły z każdym rokiem coraz więcej—rzadko wprowadzie po ukończeniu szkoły powracają do pracy na ojczyźnie, mają jednak bardzo odpowiednią dla siebie pracę, jako oficjaliści rolni w gospodarstwach większych. W ten sposób wieś znajduje ujście dla swej młodzi, ta zaś nie przenosi się do zupełnie obcych dla siebie warunków miejskich, lecz pozostaje nadal na wsi w związku z nią i przy zajęciu swych ojców i dziadów, to jest przy gospodarstwie rolnem.

Szkoła rolnicza w Brzozowej jest szkołą niższą. Z tego względu uczniowie uczą się przedewszystkiem praktycznie, to jest przez własnoręczne wykonywanie wszelkich robót gospodarskich.

Do zajęć praktycznych uczniów szkoła posiada folwark, mający około 10 włók ziemi, w tej liczbie: 7 włók ziemi ornej o glebie piaszczystej, przydatnej do uprawy żyta, owsa, ziemniaków, łubinu, seradeli i koniczyny białej; 2 włóki mokrych łąk; pół włóki lasu; 9 morgów pastwiska; 6 morgów pod ogrodem owocowym i warzywnym, oraz szkółkami drzew owocowych i leśnych; wreszcie niewielkie poletka do uprawy tych roślin gospodarskich, które, nie odpowiadając warunkom gleby miejscowej, nie mogą być uprawiane na większej przestrzeni (pszenica, rzepak, buraki i inne).

Inwentarz żywy folwarku stanowią: obora, licząca 16 czarnogrianiastych krów, pochodzących od skrzyżowania rasy holenderskiej i oldenburskiej, 1 buhaj czystej krwi holenderskiej i jałowiznę; stajnia z 6 par koni roboczych i młodzieży; chlewnia, składająca się z 1 knura rasy wielkiej białej angielskiej i 4—6 macior prostych z domieszką tejże krwi angielskiej (prosięta idą na sprzedaż w wieku od 6-u tygodni); owczarnia z 1 tryka i 15—20 owiec, pochodzących od skrzyżowania prostej owcy z baranem rasy mięsnej; pasieka, licząca kilkanaście rojów w ulach ramowych różnej budowy.

Mleko z własnej obory oraz zakupione w dwóch sąsiednich majątkach przerabia się w mleczarni zapomocą wirówek na masło. Obok tego szkoła posiada warsztaty: kowalsko-ślusarski i stelmasko-stolarski, odpowiednio urządzone dla praktyki uczniów.

W całym tem gospodarstwie wszelkie roboty są wykonywane wyłącznie rękami ucni; robotników stałych ani też najmu szkoła nie używa. Wskutek tego zajęcia praktyczne uczniów trwają przez cały rok, oprócz miesięcznych wakacji w czasie świąt Bożego Narodzenia. Od czasu, gdy się zaczynają w gospodarstwie roboty wiosenne, aż do zebrania wszystkich ziemioplodów (mniej więcej od początku kwietnia do połowy października), uczniowie zajęci są przeważnie robotami praktycznymi od 8 do 10 godzin dziennie. Niezależnie od tego roboty odbywają się i w porze zimowej każdodziennie popołudniu. Poświęcenie tak znacznego czasu na roboty gospodarskie ma na celu, by uczniowie zdobyli należytą wprawę w wykonywaniu tych robót, przywykli do pracy cielesnej i nabrali potrzebnych do tego sił i hartu. Roboty te są bardzo liczne: uprawa i nawożenie roli, siew, pielęgnowanie roślin, sprzęt i przechowywanie plonów, uprawa łąk i pastwisk, sprzęt siana, roboty w lesie, ogrodzie i szkółkach, żywienie i utrzymywanie inwentarzy, dojenie krów, wyrób masła, utrzymanie pszczół, roboty w warsztatach, doty-

czące reperacji starych i wyrobu nowych prostszych narzędzi rolniczych i t. p. Każda z tych robót, od najtrudniejszej i najbardziej złożonej do najprostszej i łatwej w wykonaniu, jest traktowana jednakowo poważnie jako praca, nie zaś zabawa lub przyjemne spędzenie czasu. Wszędzie wymagana jest staranność i dokładność w wykonywaniu roboty, mniej natomiast zwraca się uwagi na ilość jej, mając na względzie młody wiek uczniów.

Oprócz przygotowania praktycznego uczniowie otrzymują niezbędne dla rolnika wiadomości teoretyczne przez słuchanie wykładów, prowadzonych w szkole, i przez korzystanie z książek rolniczych i innych. Na zdobycie tych wiadomości poświęca się w szkole czas zimowy—mniej więcej od połowy października do kwietnia i jeden miesiąc po ukończeniu robót wiosennych (maj—czerwiec). W tym czasie codziennie przez 3—4 ranne godziny odbywają się lekcje, a wieczorem, po ukończeniu robót, uczniowie mają po parę godzin, przeznaczonych do nauczania się z odpowiednich książek i utrwalenia w pamięci tego, o czem była mowa na lekcjach. W ten sposób uczniowie nabywają w formie zwiezłej głównych wiadomości:

- O budowie i życiu roślin (botanika);
- O człowieku i zwierzętach, budowie ich ciała i sposobie życia (zoologia);
- O zjawiskach zachodzących w świecie (fizyka i chemja);
- O roli, nawozach, uprawie roślin gospodarskich wszystkich w ogólności i każdej z osobna;
- O hodowli i żywieniu zwierząt gospodarskich;
- O wykonywaniu pomiarów gruntu;
- O głównych przepisach prawnych, dotyczących życia włościańskiego i gospodarstwa wiejskiego;

Obok tego wykładane są w szkole nauki tak zwane ogólnokształcące: religja, język polski i rosyjski, arytmetyka, geografia i historia. Chociaż nie mają one ścisłego związku z rolnictwem, jednak większość ich jest niezbędna dla każdego. Nauki te wykładają się w zakresie programu dla dwuklasowych szkół miejskich.

Wszyscy uczniowie mają wspólne mieszkanie w szkole, tak zwany internat, mogący pomieścić 90 osób. Jest to piętrowy budynek, murowany, ze skromnem urządzeniem wewnętrznem. Na piętrze mieszczą się sypialnie w trzech salach z szatnią przy każdej i jedną umywalnią. Na dole jest pokój stołowy, 4 pokoje klasowe, oraz pomieszczenie na bibliotekę i pomoce naukowe. W oddzielnym budynku mieści się szpital na 6 łóżek i apteczka, kuchnia i spiżarnia. W innym znowu budynku urządzona jest łaźnia parowa, w której uczniowie kąpią się w zimie. Latem używają kąpieli w stawie.

Zeby nauczyć młodzież szanować pracę i wpoić przekonanie, że żadna praca nie ubliża człowiekowi, wszelkie roboty domowe, jak zmiatanie i mycie podłóg, okurzanie i mycie sprzętów, utrzymanie w porządku ustępów, usługiwanie do stołu są wypełniane kolejno przez wszystkich bez wyjątku uczniów. Oprócz trzech kucharek, które pod dozorem klucznicy przyrządzają strawę i pieką chleb, i najmu do prania bielizny, żadnej innej obsługi uczniowie nie mają.

Zeby zawczasu przyzwyczaić młodzież do skromnych warunków życiowych, jakie zazwyczaj w przyszłości przypadają jej w udziale, a przyzwyczajonych już do tego w domu — nie odzwyczajając, uczniowie dostają pożywienie skromne i proste, jednak dostatecznie posilne, dające im możność rozrastać się i pracować fizycznie i umysłowo. Jedzą 4 razy dziennie: śniadanie — herbata z mlekiem; obiad z dwóch dań — zupa na mięsie, licząc po pół funta mięsa na osobę, i jarzyna; podwieczorek — herbata; kolacja gotowana. Do tego dostają chleb razowy w ilości dowolnej — do 3-ch funtów na osobę. W dniu postu zamiast mięsa używany jest do potraw nabiał. Podczas zwiększonych zajęć letnich — w lipcu i sierpniu — przeznaczają się po trzy ćwierci funta mięsa na osobę.

Rozkład dzienny zajęć jest taki: W porze zimowej uczniowie wstają o godzinie 6-ej rano i przez pół godziny ścielą łóżka, czyszczą ubranie i obuwie, umywają się i ubierają; o pół do 7-ej wspólna modlitwa i śniadanie; od godziny pół do 8-ej do pół do 12-ej trwają lekcje; o 12-ej obiad; od godziny 1-ej po południu do zachodu słońca zajęcia praktyczne, poczem następuje podwieczorek i przygotowanie lekcji przez cały wieczór; o 8-ej wieczorem kolacja; o godzinie pół do 10-ej wspólna modlitwa, po której niezwłocznie idą spać. W porze letniej wstają o godzinie 5-ej rano, modlitwa i śniadanie o pół do 6-ej; od godziny 6-ej do 11-ej trwają zajęcia praktyczne; o 12-ej jedzą obiad; od godziny pół do 2-ej do 7-ej wieczorem znowu zajęcia praktyczne z półgodzienną przerwą na podwieczorek; o 8-ej kolacja, a o 9-ej po wspólnej modlitwie uczniowie idą spać. Uczniowie, mający obrządki przy inwentarzu w kolei tygodniowej, latem i zimą wstają o godzinę wcześniej od innych.

W niedziele i święta uczniowie pod opieką jednego z nauczycieli udają się na mszę do kościoła, położonego o dwie wiorsty od szkoły.

Ogólny kierunek spoczywa w ręku dyrektora szkoły. Oprócz księdza, wykładającego religję, pracuje w szkole dwóch nauczycieli z wykształceniem rolniczym i jeden z wykształceniem ogólnym. Nauczyciele wspólnie z dyrektorem wykładają wyżej wymienione nauki i kierują zajęciami praktycznymi uczniów. Nadto nauczyciele mają bliższą opiekę nad uczniami w ich życiu codziennym.

Nauka trwa przez 5 lat: 4 lata w szkole (klasy: wstępna, I, II i III) i rok obowiązkowej praktyki w obcych gospodarstwach.

Przyjęcie uczniów odbywa się corocznie koło 29 go sierpnia (o ściślejszym terminie ogłasza się w pismach). Do szkoły przyjmowani są młodzieńcy zdrowi, w wieku od 13 tu do 17 tu lat do klasy wstępnej i od 14-tu do 18-tu lat do klasy I. Chcąc wstąpić do szkoły, należy zawczasu przelać pocztą p. stację Iwanogród na imię dyrektora szkoły dowoly wraz z odpowiedniemi podaniem. Wymagane są następujące dowody: metryka urodzenia chłopca, świadectwo pochodzenia (z gminy), świadectwo lekarskie o stanie zdrowia i szczepieniu ospy; świadectwo z tego zakładu naukowego, w którym młodzieniec uczył się dotąd; jeżeli zaś pobierał nauki w domu, to obowiązany jest dołączyć świadectwo moralności; wreszcie jest wymagane zobowiązanie na piśmie rodziców lub opiekunów, że będą regularnie opłacać wpis.

Nauka w szkole nie zaczyna się od początków, to znaczy, że wstępujący młodzieniec powinien już posiadać pewne wiadomości. Do klasy I-ej wymagane jest przygotowanie według programu dwuklasowych szkół wiejskich; do klasy zaś wstępnej wymagania są odpowiednio mniejsze. Kończący jednoklasowe szkoły wiejskie nie są jeszcze dostatecznie przygotowani nawet do klasy wstępnej. Tacy powinni się przygotować do złożenia egzaminu według szczegółowego programu, który szkołą chętnie wysyła każdemu po nadesłaniu jego adresu.

Za naukę i utrzymanie w szkole: mieszkanie, odzież, obuwie, pościel, opranie bielizny i pomoce naukowe, płaci się 100 rb. rocznie w ratach kwartalnych z góry. Bieliznę osobistą uczniowie mają własną w dostatecznej ilości.

Zarząd zapisu hr. Kickiego, którego kosztem utrzymywana jest szkoła, opłaca corocznie wpis za 20-tu niezamożnych uczniów. Oprócz tego niektóre Towarzystwa Rolnicze i osoby prywatne opłacają wpis za swoich wychowanków. Zwolnienie od opłaty ucznia można jednak uzyskać nie wcześniej, jak po upływie roku od wstąpienia jego do szkoły, jeżeli w tym czasie wykaze pracowitość i pilność w naukach.

Dla tych, którym wiek nie pozwala na wstąpienie do szkoły, lub też którzy nie są dostatecznie przygotowani do niej, a jednak umieją czytać, pisać i rachować, utworzona została praktyka przy gospodarstwie szkolnem. Tacy praktykanci (w liczbie 12) nie uczęszczają na lekcje prowadzone dla uczniów, a zdobywają wiedzę tylko praktycznie przez wypełnianie robót w całym gospodarstwie, lub też tylko w orodzie albo mleczarni, otrzymując przytem niezbędne wyjaśnienia od nauczycieli szkoły. Jeżeli praktykant chce otrzymać świadectwo z ukończenia praktyki, to praktyka trwa od 1 do 3 lat, co zależy od przygotowania jego i postępów, a także od tego, jaką sobie obrał specjalność. Gdy zaś o świadectwo praktykantowi nie

chodzi, to czas trwania praktyki zależy od jego życzenia. Praktykanci opłacają 3 ruble miesięcznie za mieszkanie, stół i opranie; ubranie, łóżko, pościel i bieliznę powinni mieć własne.

Marjan Czech.



Pieśń o ziarnie.

A razem, a z wiarą rzucajmy w głąb ziarno,
A ziarno gdy czyste, to pójdzie nie marno.
Oj! pójdzie nie marno, choć silny wiatr wionie,
Nie na tym, to zejdzie na innym zagonie;
Choć trochę naddziobią je wrony i kruki,
Plon zbiorą, choć nie my, to nasze prawnuki.

Śród siejby od gromu gdy siewacz upadnie,
Niech, sławiąc śmierć swoją, do trumny się kładnie:
„Do trumny się kładę, a ziarno nie zginiel!”
Och! miło tak dumać w przedśmiertnej godzinie.
A drugi na miejsce niech jego wystąpi,
Co także siał umie, a trudu nie skąpi.

Północno a mroźno jesienny wiatr wieje,
Lecz ziemia jak matka swe ziarno ogrzeje.
Oj! grzeje jak matka, w pieluchy otula,
A po niej niech wichur tumani i hula;
Pod piersią to ziarno wkorzeni się, wrośnie,
A trawką—murawką wystrzeli o wiosnie.
A trawka ta będzie pod liściem łopuchu
Życ skryta, a pełzać przy ziemi,
Że burza gromami nie znajdzie jej swemi,
I gniewna, gdy gradem żółć swoją wyrzuci,
To trawki nie dotknie, a łopuch wywróci.
A trawka swobodna rozbuja się w kłosa,
Kłos słońcem pozłocą zbłągane niebiosy,
I przyjdą żniwiarze, pieśń wielką zanucą
I z wozy pełnemi do zagród swych wrócą.

Kornel Ujejski.



Uczelnia dla córek gospodarskich.

Minęło już pięć lat od czasu, a było to w październiku roku 1900-go, jak Pszczelin, pierwsza w kraju naszym szkoła dla synów gospodarzy-włościan, przyjął pierwszy zastęp uczniów. Było ich wtedy 28-u—tylu, ilu chłopców mogło się zmieścić w szczupłych stosunkowo zabudowaniach Pszczelina. Minęło od tego czasu lat pięć, a już pokaźna gromadka, z górą stu młodzieńców, z pewną nauką w głowie, z miłością dla współbraci w sercu i z pewnym zasobem dzielności a wiary, że przy Bożej pomocy i przy własnym zapale w pracy uda im się popchnąć naprzód wóz postępu — rozeszła się po kraju i pracuje w zagrodach ojcowskich, jak kto może: którego ojciec jest światlejszym i bardziej postępowym, chłopak taki pracuje raźniej i z większym ojca i swoim pożytkiem; a którego ojciec wiernym jest zasadzie, że jak było za dziadów, niech i teraz tak będzie, tam pszczeliniaak ma skrzydła związane. I tu jednak wytrwała praca i rozsądkiem z czasem zjednywa sobie ojca i zacofanych sąsiadów i pomaga im, by szli za postępem.

W niespełna pięć lat po otwarciu Pszczelina dla synów gospodarskich, z radością w sercu w roczniku naszego kalendarza możemy zanotować, że i dla córek włościan-gospodarzy powstała podobna Pszczelinowi uczelnia.

Dla kraju, dla ogółu, zwłaszcza dla gospodarzy-włościan to zdobycz i postęp nielada!

Wszak kobiety, córki nasze, dotąd jeszcze nadzwyczaj są upośledzone. Kto myśli o tem, że i one są ludźmi, że i one mają duszę, którą należy uszlachetniać, że mają umysł, który należy obudzić z uśpienia, rozwinąć go, skarbow się w nim doszukać i uczynić, ażeby działały na pożytek naszych gospodarstw domowych, naszych rodzin, dzieci, społeczeństwa całego? Kto o tem dotąd myślał?

Jedyną bodaj troską dzisiejszych rodziców-włościan jest uciulać dla córki trochę posagu—parę, kilkaset rubli. Ale o tem, że to dziewczę wychodzi za mąż głupiuchne, że nie ma najmniejszego pojęcia o przyszłych swoich obowiązkach, że musi ono doświadczeniem własnem, najczęściej drogo opłacanem, uczyć się gotowania, porządku domowego, chowu drobiu lub bydła i... wychowania dzieci—któż myśli? Ile się takie dziewczę napłaczę, gdy mu się robota i gospodarka nie wiedzie? W wypadkach trudniejszych idzie po radę do starszej sąsiadki, ale i ta niewiele więcej umie.

A jaką biedę ma taka dziewczyna, która, poszedłszy za mąż, nie potrafi ani uprać porządnie, ani tymbardziej uszyć bodaj koszuliny dla siebie, dla męża i dla dzieci. Męka to dla

niej prawdziwa, a i strata, bo z każdą rzeczą trzeba biedz do ludzi, a gdy niema na zapłatę, mąż i dzieci chodzą obdarto i brudno.

Największą jednak stratą jest, że nasze młode matki nie potrafią chować dzieci. Bo przecież wychowywać—to nie znaczy dbać tylko, by dziecko nie było głodne imiało czem ciało okryć. Wychować—to znaczy duszę i serce dziecka urobić, nauczyć je wszystkiego, co mu będzie potrzebne w życiu, nakreślić mu przyszłość jego. Któża z wiejskich kobi-t zna się na tem choć cokolwiek? Nie zna się na tem, bo własny jej duch i umysł pogrążon jest w strasznych ciemnościach. Zabobon, wiara w gusła, robenie wszystkiego według zwyczaju — oto i wszystko, co umie nasza kobieta wiejska.

I czyż można się po takiej spodziewać, że będzie podpora męża, filarem rodziny, „trzena węglami domu swego”? O tem, żeby w gospodarstwie swoim wprowadzała rozumny postęp, ani mowy! żeby wszystek czas swój umiejętnie potrafiła zużytkować, także mowy niema!

Wszystkie narody zagraniczne oddawna już zrozumiały to, że, aby przez postęp należyty byt ogółu wiejskiego poprawić, potrzeba dwóch rzeczy: po 1-sze, żeby gospodarze uczyli się ciągle lub to w dobrych szkołach za młodu, już też przez czytanie gazet i książek, lub słuchanie odczytów w wieku starszym; po 2-ie, żeby taką samą naukę zdobywały kobiety, dożgonne towarzyszeki mężów i ich pomocnice.

Dlatego w takiej naprzykład maleńkiej Norwegii na dwa miliony ludności jest 11 szkół dla starszych córek gospodarzy wiejskich, nie licząc tego, że są tu dla nich jeszcze osobne szkoły mleczarstwa, gospodarstwa domowego i t. d. Dlatego i w małej Danii jest kilkadziesiąt takich szkół, w których przez zimę córki gospodarzy-włościan uczą się: chowu bydła, obchodzenia się z nabiałem, a przede wszystkim zdobywają ogólną naukę, dającą się zastosować bodaj do każdej chwili życia, a zwłaszcza przy wychowywaniu dźiatwy. Sam też na własne oczy widziałem, gdym rok temu podróżował po Danii, jak dorosłe córki gospodarskie z tłomczkami w ręku zjeżdżały się do pewnej szkoły na kursa dwu-tygodniowe ogrodnictwa, warzywnictwa i przetworów owocowych.

Tam więc zagranicą nietylko o posag zabiegają ojcowie dla córek, ile o naukę, o rozwój umysłu, bo gły to będzie, i o majątek będzie łatwiej, gdyż dzielna, rozumna i oświecona kobieta znaczy stokroć więcej, niż paręset rubli. Jej umysł rozzgarnięty, i oświecony, jak pochodnia, zdrową nauką, więcej przyniesie korzyści, aniżeli... bo laj i trzy krowiny, otrzymane w posagu.

Nasz ogół wszytkiego tego jeszcze nie rozumie, ale rozumieją to gromadki światlejszych rodziców, i dlatego cieszymy się niezmiernie, że choć dla córek tych przodowników w roku bie-

żącym 1905-ym została otwarta pierwsza uczelnia we wsi Kruszynku pod Włocławkiem, w gub. warszawskiej.

Historja jej jest taka. Państwo Arturostwo Hakowie, właściciele wsi Dębic, Kruszyna i Kruszynka, ofiarowali dla tej uczelni bardzo piękny i wygodny murowany dom w Kruszynku z zabudowaniami gospodarskimi i sadem 5-morgowym. Pewna osoba ofiarowała około 2-ch tysięcy rubli na urządzenie: na sprawienie sprzętów, łózek i t. d. Sekcja przemysłu ludowego przyrzekła 1200 rubli rocznej zapomogi — i tak oto wspólnymi siłami uczelnia dla naszych córek stanęła. Poświęcenie jej odbyło się dnia 12 lutego r. b., a na drugi dzień rozpoczęły się zajęcia.

Dziewczęta uczą się tu: tkactwa ulepszonego, szycia, prania, kroju w zakresie potrzeb domowych i gospodarstwa, a więc obchodzenia się z inwentarzem i drobiem, utrzymywania porządku, który wpływa na zdrowie domowników, a dalej uczą się tu po trochu warzywnictwa i t. d.

W tym pierwszym roku istnienia Kruszynki ma 23 uczennice, w wieku od lat 17 do 22-ch. Oto ich nazwiska:

Z *Kujaw*. Joanna Bojakowianka, Władysława Jędrzejewianka, Joanna Pilichowianka, Marjanna Kałedkiewiczówna, Kazimiera Kosinidrówna, Katarzyna Przekwatówna i Walentyna Jankowska.

Z *gub. warszawskiej wogóle*. Zofja Soltysiakówna z pod Pułtusa, Marja Krakowianowa i Katarzyna Szeukielewianka z pod Sannik, Zofja Sałyżanka i Agnieszka Cieślakówna z pod Góry Kalwarii.

Z *gub. radmskiej*. Julja Markiewiczówna, Julja Markiewiczówna i Janina Kwiatkowska.

Z *gub. plockiej*. Zofja Gaszczycka, Joanna Martewiczówna z Tupadł pod Lipnem.

Z *gub. kieleckiej*. Marja Józkowska i Marjanna Bielawska z pod Miechowa, Marjanna Czaplakówna.

Z *gub. piotrkowskiej*. Konstancja Kotasanka i Marjanna Biochówna.

Z *gub. siedleckiej*. Marjanna Danisieckówna z Drelów pod Międzyrzecem

Z *gub. łomżyńskiej*. Stefanja Urbanówna.

Podaliśmy te nazwiska dla pamiątki, które dziewczęta i skąd tą pierwszą naukę otrzymają. Początkowo przybyło do Kruszynka więcej dziewczyn, ale niektóre nie były odpowiednie, bo praca im się nie podobała. Na pozór jest to rzeczą dziwną! Wszak powiadamy, że kobiety nasze są pracowite, że żadnej pracy nie lękają się. Owóż okazuje się, że nietylko dziewczęta są leniwe, ale i rodzice nie wiedzą naprawdę, jaką powinna być praca kobiet. Byli więc tacy, którzy ubolewali, że dziewczyna

musi naprawdę robić (w szkole bodajby dla nauki) i w chlewie, i w oborze, i w kurniku, boć to przecież uczelnia gospodarska!



Pierwsze uczennice Kruszyńka.

Ludziom tym (nawet ojcom-gospodarzom, nietylko ich córkom) zdawało się, że w szkole można tylko pisać i rachować i że to jest nauka; robić zaś cokolwiek—to nie honor.

Oczywiście, Kruszynek nie jest dla dziewcząt z takim honorem, bo honor podobny jeść nie da, a zadaniem Kruszyńka jest dać kobiecie umiejętność rozumnej i pożytecznej pracy, takiej pracy, z której byłby przybytek w domu i duch dobry w rodzinie.

Dla tego właśnie, co Kruszynek dziewczętom wiejskim daje, cieszymy się bardzo, że on już w r. b. powstał i pragniemy gorąco, ażeby Kruszyńków takich powstał w kraju naszym dziesiątek jeden i drugi. Tak nam dla szczęścia i rozwoju naszego potrzeba nauki wśród kobiet naszych, że całem sercem wyrażamy takie pragnienie.

A teraz kilka słów objaśnienia dla tych rodziców, którzyby dla córek swych z dobrodziejstw nauki chcieli korzystać.

Do Kruszyńka przyjmowane są dziewczęta, liczące najmniej lat 17, umiejące czytać i pisać. Opłata za życie w Kruszyńku (nauka jest bezpłatną) wynosi, jak i w Pszczelinie, 5 rubli miesięcznie, które się wpłaca z góry w ratach kwartalnych po 15 rubli. W roku 1906 m. uczennice będą przyjmowane do Kruszyńka w dniu 15 stycznia. Tego dnia należy już być na miejscu, a przedtem zawczasu dopytać trzeba, czy jest miejsce, pisząc do Zarządu kursów drobnego przemysłu dla dziewcząt w Kruszyńku, przez Włocławek w gub. warszawskiej.

Nadmieniamy, że do Kruszyńka będą przyjmowane tylko córki gospodarskie, azatem tych rodziców, którzy, jako rolnicy, pracują na własnej gospodarce; jeżeliby dziewczyna miała iść w służbę, przyjętą być nie może. Dlatego też należy Zarządowi Kursów złożyć zawiadomienie osób wiarogodnych (naprz. dwóch sąsiadów), że rodzice nie oddadzą dziewczyny do służby.

W roku bieżącym 1905-ym Kruszynek mógł przyjąć tylko 20 kilka uczennic. Ale nadal, od dnia 15-go stycznia roku 1906, dzięki znowu dobrej woli p. Artura Haka, który pozwolił zająć pod uczelnię resztę (4 pokoje) domu, pomieści się 40 uczennic. Pewni jesteśmy, że kandydatek nie zbraknie, uczennic więc przyjedzie dosyć; a z nauki, którą tu posiadają, okaże się dla rodziców owych dziewcząt pociecha, dla kraju zaś pożytek.

M. Malinowski.

Z życia naszych miasteczek.

Gdyby komu nieznającemu naszych miasteczek trafiło się być w jednym z nich w dzień świąteczny letni podczas wychodzenia ludzi z kościoła, to, widząc kapelusze strojne, suknie, parasolki, rękawiczki i błyskotki na kobietach, a stosownie przybraną i młodzież męską—mniemałby z pewnością, że nawyknie-

nie do dobrobytu i porządku mieszkańców nie pozostawia nic do życzenia. Gdyby jednak ten ktoś skierował swe kroki zprzed kościoła w stronę pierwszj lepszej ulicy, a szczególnie gdyby wszedł do mieszkania, przekonałby się, że to, co widział przed kościołem, jest tylko szychem świątecznym, pod którym kryje się bieda i poziom życia nie wyższy, niż u przeciętnego włościana. Zwyczaj i obyczaje u jednych i drugich są też same, istnieją tylko przesąd stanowy, podług którego mieszczanin jest jakoby czymś nierównie wyższym od chłopca.

Ponieważ wygląd zewnętrzny i wewnętrzny mieszkań ludzkich świadczy przede wszystkim o poziomie życia czyli kulturze, przeto zaczniemy przegląd od domów.

Jakież są te domy?

Domów, zasługujących rzeczywiście na tę nazwę, znajduje się bardzo niewiele, domków mających wygląd znośny—cokolwiek więcej; reszta, co najmniej 75 na 100, to już nie domy i domki, lecz budy. Budy te, czy chałupy, prócz bardzo pierwotnej i wadliwej budowy, posiadają dachy tak zrujnowane, że w czasie deszczu mieszkańcy znajdują się jak pod przetakiem; ściany pognite, powykrzywiane, odrapane i dziurawe, drzwi i okna małe, poluzowane, często bez szyb, w których miejscu tkwią poduszki, deski lub brudny papier.

Ale zajrzyjmy do wnętrza tych domów—do mieszkań.

W mieszkaniach nielicznych lepszych domków można znaleźć—przynajmniej w dni świąteczne—jakiś taki porządek, względną czystość i sprzęty, świadczące o dbałości i dążeniu do wygody.

W takim mieszkaniu, składającym się z dwóch pokoiów i kuchni, spotkać można parę politurowanych drewnianych łóżek, podobną szafę na ubranie, komodę, szafkę na naczynia stołowe, czasem kanapkę, parę stołów, kilka krzesełek giętych lub wyścielanych, na ścianach lustro, kilka olejdruków lub drzeworytów treści religijnej, czasem portret jakiego znakomitego rodaka—Kraszewskiego, Mickiewicza lub innego—wreszcie porządek zegar, lampę stołową, samowar i t. p.

W takich mieszkaniach podłogi bywają myte co tydzień, co miesiąc, a przynajmniej kilka razy na główne święta domowe. Ale podobnych mieszkań, niestety, jest bardzo mało—najwyżej 5 na 100; natomiast w innych panuje nieład, brud, okropne niechlujstwo w każdym kącie.

Dlaczego?

Składa się na to wiele przyczyn, mianowicie: szczupłość mieszkań, powszechna prawie nieznajomość i brak nawyknienia do porządku i czystości; przyzwyczajenie od dzieciństwa do niechlujstwa i brak środków.

Co do ciasnoty, to proszę sobie wyobrazić, że w mieszkaniu, składającym się z jednej izby, 10 łokci długiej, a 6 do 8 szerokiej,

mieści się 6 do 10, a czasem i więcej osób oraz niezbędne sprzęty: parę łóżek, stół, stolki, jakaś szafa, warsztat rzemieślniczy, naczynie na wodę, kadka do mycia naczyń kuchennych i, parę razy dziennie, szaflik, w którym przygotowują karmę dla nierogacizny. W takiej to izbie odbywają się wszelkie czynności życiowe: praca na chleb, gotowanie, jedzenie, spanie, pranie bielizny, przygotowywanie karmy dla nierogacizny i drobiu, czyszczenie noży na podłodze i wiele innych. A jeżeli dodać drobne dzieci, które zawsze robią wiele nieczystości, oraz różne zapachy z kuchni i z szaflików podczas zimy, gdy gospodyni zamyka szczelnie komin, aby ciepła nie wypuszczać—to panuje taki zaduch, że niepodobna oddychać.

Jest więc bardzo źle, ale w takiej ciasnocie trudno marzyć o utrzymaniu czystości i dobrego powietrza. Latem jeszcze pół biedy; ale co się dzieje jesienią, zimą i wiosną, gdy błoto na ulicach bywa na stopę głębokie? Podłogi w takich izbach, jeżeli nawet są, pokryte bywają już nie brudem, lecz błotem na cal, i gdyby podłogę chciano w porze błotnej utrzymać w czystości, musiano by każdodziennie mieć z nią robotę. To też zwykle w izbach podłogi nie myją, lecz po zamiataniu posypują ją piaskiem, a tylko raz na rok—na Wielkanoc, doprowadzają ją cokolwiek do porządku. Przy zamiataniu takiej izby powstaje niezmierny kurz, który osiada na ścianach, sprzętach, odzieży i w płucach mieszkańców.

W związku z nieczystością mieszkań pozostaje straszny nieporządek ulic i całego miasteczka.

Rzadko w którym miasteczku bywają jakiekolwiek bruki na placach, a jeszcze rzadziej na ulicach. Tylko w miastach powiatowych główne ulice bywają brukowane.

Niemal we wszystkich miasteczkach place i ulice są tak pozapuszczane, że podczas deszczów bywa nie tylko błoto po kolana, ale i doły—istne sadzawki, które nie zawsze wysychają nawet w czasie suszy letniej, a bywają istnem utrapieniem dla miejscowych i przyjezdnych. W czasie znów stałej pogody letniej leżą na ulicach półstopowe warstwy pyłu, który za najmniejszym podmuchem wiatru, oraz z pod wozów i z pod nóg ludzkich, wzbija się kłębami w górę.

Ale nie koniec na tych dwóch plagach—włocie i kurzu. Na wszystkich ulicach i placach, niemal pod wszystkimi domami, szczególnie żydowskimi, dookoła ścian i przy progach leżą kupy gnoju i śmieci, przystrojone odchodami ludzkimi.

Takie są porządki i czystość.

A oświetlenie?

W miasteczkach powiatowych główne ulice posiadają latarnie z lampkami naftowymi, ale—zapewne gwoili oszczędności—latarnie te są tak oddalone jedna od drugiej i dają tak małe światło, że podczas ciemnej nocy pomiędzy jedną a drugą nie

a nie nie widać. W miasteczkach zaś małych, nie powiatowych, liczących nieraz do sześciu tysięcy i więcej mieszkańców, oświe-
tlenia prawie żadnego niema i panują nieprzeniknione ciemności. Jeżeli nawet gdzieś na traktowej ulicy jest parę latarni, to by-
wają one doprowadzane do jakiegoś takiego porządku i zapalane
raz na kilka lat—na wypadek przejazdu gubernatora lub innego
wysokiego urzędnika—poczem wszystko wraca do dawnego try-
bu, a słupy latarniane stoją chyba po to, aby przechodnie rozbijali
sobie głowy i nosy i uprzytomniali sobie, że istnieją przecie—na
papierze—porządki, na które mieszkańcy płacą nawet stałe
składki.

Już z tego, co powiedziano wyżej o mieszkaniach i ulicach,
zdrowotność naszych miasteczek przedstawiać się nam musi
w dość wyraźnych rysach; lecz to nie wszystko.

Powszechną, chrobrliwą i nieprzemijającą dolegliwością
jest ciągle utrzymywanie ciał ludzkich w brudzie, wskutek braku
łaźni czy wanien w zimie, a w wielu miejscach i kąpieli rzecz-
nych w lecie. Stąd pochodzi zamyłowanie utrzymywania ciała
w brudzie, i stąd bardzo wielu mieszkańców, po wyjściu z nie-
mowlęctwa, nie używa żadnych kąpieli do końca życia. Tam,
gdzie kąpiele rzeczne istnieją, dzieci i młodzież dorosła, a po-
części i starsi—korzystają z nich chętnie w dni ciepłe, a że cie-
płych dni bywa niewiele, przeto i korzystanie z tych kąpieli
ogranicza się znacznie. Mając na względzie ludzi starszych, dla
których kąpiel jest niezbędną, przychodzi się do przekonania, że
kąpiele ciepłe—łaźnie czy wanny, powinny być w ciągu całego
roku. Wprawdzie, niemal we wszystkich miasteczkach, istnieją
łaźnie żydowskie, ale są one tak lichy i obrzydliwe, że odstręczają
od siebie nie tylko tych, którzy mieli sposobność poznać łaźnie
wielkomiejskie, ale i tych, którzy żadnej łaźni w życiu nie wi-
dzieli. Te łaźnie żydowskie to nie miejsca do pozbywania się
brudów i niedomagań ciała, lecz do nabywania wrzodów, do na-
bawiania się kaszlu i kataru, wreszcie do nabycia robaetwa. Te
łaźnie bowiem bywają takie, że, oprócz właściwej ohydnej łaźni,
niema przy nich jakiegokolwiek izby do rozbierania się, lecz
wszystko odbywa się w samej łaźni, a wodę zimną musi sobie
każdy nosić z zimnej sieni—wprost ze studni; ciepłej wody, jak
na lekarstwo.

A woda do picia w naszych miasteczkach?—Bywa różna,
często niedobra, a jeżeli tu i owdzie jest stosunkowo dobra z na-
tury, bo bywa zanieczyszczona wskutek oplakanego stanu studni.
Oprócz studzien mniej więcej głębokich, bywają w niektórych
miejscach nad rzeczkami tak zwane „stoczki“, w których woda
jest nawet dobra; ale cóż z tego? Już samo położenie tych stocz-
ków—nizinne—bardzo sprzyja zanieczyszczaniu wody przez ście-
ki deszczowe, przepełnione wszelkimi obrzydliwościami mias-
teczka; następnie, każde wezbranie rzeczki zalewa taki stoczek,

łącąc wodę źródła z zanieczyszczoną wodą rzeczki. Ale to po-
niekąd nie jest winą ludzi—natomiast są rzeczki równie złe, któ-
rych sprawcami są sami ludzie. Oto te stoczki miewają zawsze
cembrowinę płytką, a dokoła, z powodu ciągłej wilgoci, rozrobio-
ne błoto; a że nieraz konie i bydło napędzają do pojenia w takim
stoczku, przeto błoto jeszcze więcej się rozrabia, mieszając się
z gnojem, a tam spływa do wnętrza stoczka i miesza się z wodą.
Nie dosyć na tem. Wszyscy czerpią wodę naczyniami, z którymi
przychodzą, te zaś naczynia w bardzo wielu razach bywają ohyd-
ne: błoto, gnój lepią się na nich. To też woda w takich stoczках,
pomimo odpływu, w obec ciągłego czerpania, bywa w ciągu całych
dni istną gnojówką, a czystą—tylko w czasie nocy i wczesnym
rankiem.

Wobec takich warunków, wobec nieczystości ulic i miesz-
kań, braku kąpieli i zdrowej wody do picia, oraz wszelkich in-
nych stosunków, będących w ciągłym przeciwieństwie z zasadami
zdrowotności, łatwo szerzą się wszelkiego rodzaju choroby, które
mnożą charłactwo, a wiele dzieci zapędzają do grobu. W takich
warunkach pomoc lekarska, choćby nawet była, niewiele pomoże
a tu, niestety! pomocy lekarskiej w wielu miasteczkach brak do
tego stopnia, że niejedno miasteczko, liczące do pięciu tysięcy
i więcej mieszkańców, nie posiada lekarza. Mieszkańcy miastecz-
ka są w takim położeniu, że do lekarza muszą jeździć nieraz
około trzech mil drogi; to też tylko zamożniejsi i mający zaufanie
do lekarzy wożą chorych lub sprowadzają lekarza do domu, co
przy braku szos i fatalnym stanie zwykłych dróg, zwłaszcza w je-
sieni i na wiosnę, bywa bardzo trudne, albo wprost niemożliwe,
a przynajmniej bardzo kosztowne. Wskutek braku bliższej i ta-
niej pomocy lekarskiej, ludność takich miasteczek musi szukać
porady lekarskiej u felerów, żydów i różnych znachorów.

Brak również bywa akuszerów, których czynności przy po-
rodach spełniają samozwańcze „babki“; te, nie mając najczę-
ściej najmniejszego pojęcia o rzeczy, do której się biorą, wypra-
wiają wiele noworodków, a nierzadko i matki, na tamten świat,
lub bardzo często są mimowolnymi sprawczyniami długich chorób,
i nieskończonych aż do grobu niemocy.

Do niezbędnych i nagłych potrzeb zaliczyć należy zakłada-
nie choćby najmniejszych, o paru łózkach, szpitalików, których,
z wyjątkiem miasteczek powiatowych, brak powszechny we
wszystkich miasteczkach. Brak ten odczuwać się daje tymbar-
dziej, że ludność w przeważnej części zaliczyć należy do najubo-
ższych—istnych nędzarzy, podlegających różnym chorobom, a tacy
nie mogą i nie powinni leczyć się w domu, zarówno z powodu
braku środków, jak i ciasnoty. Odosobnienie takich biedaków
w szpitalu byłoby prawdziwym dobrodziejstwem, raz dlatego, że
chory w szpitaliku miałby lepsze wygody, dozór i czystsze po-
wietrze; powtóre, rodzina nie potrzebowałaby się wyzuwać z os-

tatniego, często zapożyczanego grosza, i potrzebie, w razie choroby zaraźliwej, członkowie rodziny nie byliby wystawieni na zarażenie się chorobą. A nie trzeba tego zapominać, że w razie obecności jednego chorego członka rodziny, reszta zdrowych narażona jest na zmianę zwykłego życia i tamowanie, a nawet zupełne przerywanie biegu pracy. Opłata więc za chorego w szpitalu byłaby nieporównanie mniejszym ciężarem, niż utrzymanie go i leczenie w domu.

Ważną bardzo wadą w życiu naszych miasteczek jest brak straży ogniowych ochotniczych, wskutek czego przy wybuchu najmniejszego pożaru płomień rozszerza się niepomierzenie, pochłaniając dziesiątki zabudowań i przyczyniając olbrzymie klęski, z czego powstaje jeszcze większa nędza. Wprawdzie we wszystkich miasteczkach i wsiach gminnych są sikawki i beczki utrzymywane przez gminę, a mniejsze narzędzia obowiązani są mieć u siebie mieszkańcy, lecz te sikawki i beczki bywają nieraz w takim zaniedbanym stanie, że, gdy wybuchnie pożar, okazują się niezdadnymi do użycia. W razie pożaru straż urządza się narazie z młodzieży dość ochoczo, ale bez organizacji niema żadnego ładu i każdy robi to, co mu się zdaje lepszym, wywołując przy pożarze zamieszanie, stratę czasu i energii.

Oto jakie są warunki życia, czyli kultura, naszych miasteczek, z nielicznymi wyjątkami, niemal w całym kraju.

Gdy się czyta o porządkach, różnych urządzeniach i zakładach społecznych w miasteczkach zagranicą, a nawet w sąsiedniej Galicji, na Śląsku i w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, to aż przykro pomyśleć, jak nam jeszcze do tego daleko. Tam, zagranicą, nawet małe miasteczka posiadają bruki, chodniki, kanalizację, oświetlenie elektryczne, szpitaliki i przeróżne towarystwa współdzielcze, a u nas? U nas niema nic—wszystko się wlecze po staremu i nie znać prawie żadnego postępu.

B. Topór.

Dawne cechy u nas i na zachodzie Europy.

1. Powstanie cechów.

Świat starożytny Greków, Rzymian i innych narodów opierał się na pracy niewolników. Niewolnicy stanowili część majątku swych panów narówni z nieruchomościami, ziemią i bydłem, musieli na nich pracować, a życie ich ceniło się tylko według korzyści, jaką właścicielom przynieść mogli.

Czasy nowe opierają się na pracy wolnych ludzi, których nader znaczna część jednak i dziś pracuje nie dla siebie, lecz

dla innych. W wiekach średnich była ludność wolną po miastach, a przypisaną do ziemi po wsiach. Ziemia i mieszkający na niej ludzie stanowili wówczas jedną całość, którą można było razem darować, czy sprzedać. Pan był właścicielem ziemi i ludzi. Poddani składać musieli panom daniny, pracować na łąkach pańskich przez kilka dni w tygodniu, czyli wykonywać pańszczyznę. Własny łąn nie stanowił również zupełnej ich własności, bo nie można go było sprzedać ani darować. Za to oni sami stanowili własność pana, byli przypisani do ziemi, której bez wiedzy i pozwolenia pańskiego opuścić nie mogli. Takie warunki odstraszały więcej przedsiębiorczych i śmielszych. Kto był energiczny, umiał jakieś rzemiosło, albo czuł w sobie większe zdolności i talent, uciekał przed temi stosunkami i chronił się do miast.

W środkowej Europie, azatem w Niemczech, Francji, Anglii, każdy kto przebył w mieście rok i miesiąc, uważany był za człowieka wolnego i przez pana swego nie mógł już być ści-gany.

Miasta były zatem osadami wolnych ludzi, którzy pracą i umiejętnością swoją zdobywali sobie zamożność i uzyskiwali wyjątkowe prawa, czyli przywileje dla swego miasta.

Miasto każde otaczało się wysokim murem i basztami, bo czasy były niebezpieczne, a nieprzyjacieli czyhał na bogactwa, nagromadzone po miastach. W basztach urządzano strzelnice, a cała męzka ludność obowiązana była kolejno czuwać na murach nad bezpieczeństwem reszty mieszkańców.

Potrzeba obrony miasta była pierwszym powodem do łączenia się mieszczan; powstawały związki pod kierunkiem starszych, których członkowie ćwiczyli się w rzemiosło wojennym, a podczas pokoju dawali baczenie na okolicę i tworzyli straż pożarną.

W czasie wojny oddziały takie broniły miasta. Zdarzało się również, zwłaszcza w Europie środkowej, że miasta dostarczały posiłków wojennych cesarzowi, a on im wzamian udzielał za to swobód i przywilejów.

Nie wojna, ale dzieła pokoju stanowiły cel ludności, po miastach osiadłej. I tu także jednostka niewiele zrobić mogła, powstawały zatem na wzór wojennych związki pokojowe, zwane **cechami**.

Cóż było podstawą cechu?

Ludność miejska zajmowała się rzemiosłem i handlem. Chodziło tu nie o zaspokojenie potrzeb własnych, ale o wytwarzanie w celu sprzedaży i zbytu. Każdy obierał sobie zawód i w tym zawodzie doskonalił się, uczył, starał się wytwarzać wyroby nietylko użyteczne, ale trwałe i piękne. Naturalnie, że wykształcenie w rzemiosło wymagało długich lat pracy i wprawy, a rze-

mieślnik, pozostawiony sam sobie, nie byłby w stanie podjąć wielu zadaniom.

Cechy powstawały tedy na podstawie zawodu: łączyli się osobno krawcy, szewcy, fryzjerzy, stolarze, rymarze, ślusarze i t. p., przyczem starano się również o to, aby rzemieślnicy pokrewnych zawodów nie przeszkadzali sobie wzajemnie. Azatem garbarze dzielili się na czerwonych i białych, piekarze robili co innego, niż pasztnicy i cukiernicy, gwoździarzowi nie wolno było robić podków. W Polsce od 15-go wieku ciągną się nieustanne spory pokrewnych sobie rzemiosł, a więc piekarzy i pasztników, bednarzy i łagiewników, kowali i ślusarzy, mieczników i nożowników, mydlarzy i łojarzy. — Każdy towarzysz cechowy musiał dobrze znać swoje rzemiosło, na dowód czego uczeń przy wyzwaniu się, a więc w końcu nauki, wykonywał t. zw. majstersztyk, dzieło godne mistrza, ażeby pokazać, że już dorównuje umiejętnością mistrzowi swojemu.

Podział pracy istniał już w średniowiecznym rzemiośle. Stolarz nie wyrabiał beczek, tylko meble; piekarz wypiekał chleb, a pieczenie ciastek należało do pasztnika; kował podkuwał konie i nie dopuszczał do tej roboty ślusarza i t. d. Każdy znał przecież i wykonywał swoje rzemiosło od początku do końca.

Inaczej rozkłada się praca w nowoczesnej fabryce, np. szewskiej, gdzie żaden robotnik nie robi, a często nawet nie potrafi wykonać buta od początku do końca. Jeden przykrawa, drugi szyje cholewy, inny przybija podeszew, inny wprawia gumy, ten zaś przyszywa uszka i t. d. Dawny szewc nie mógł zostać krawcem lub przedziałnikiem, bo nad swoim rzemiosłem spędził długie lata, a nowego znów równie długo uczyć by się musiał. Dziś przejście od jednej pracy do drugiej jest znacznie łatwiejsze, bo robotnik fabryczny wykonywa tylko część pracy, a tych kilku rękoczynów nie trudno się nauczyć.

Dawny rzemieślnik kształcił się u majstra jako terminator; po paru latach, rzadko mniej niż trzech, a najczęściej dopiero po latach czterech wyzwał się na czeladnika. Czeladnik był pomocnikiem majstra i należał do jego domowników, żenił się często z jego córką, a stosunek był ojcowski, jako dwóch równego stanu, a różnego wieku, pracowników. Kupiwszy sobie lub otrzymawszy własny warsztat, osiedlał się czeladnik jako majster samodzielny. Majster, czeladnicy i uczniowie należeli do jednego cechu, jakkolwiek mieli w nim odrębne stanowisko. Wszyscy wykonywali tę samą pracę, a różnicę stanowiła jedynie umiejętność i wprawa.

Cech miał na oku interesy wspólne całemu rzemiosłu: należało zatem do niego zakupywanie materiału, np. przędzy, wełny, żelaza czy stali, podział tego materiału pomiędzy rzemieślników, ażeby jeden nie otrzymał za wiele, inny zaś nie był pokrzywdzony. Dążeniem cechu była bowiem równa zamożność wszyst-

kich jego członków, wobec czego żadnemu mistrzowi nie wolno było trzymać więcej jak 1—2 czeladników i zaledwie 3 uczniów na jednego czeladnika. Takie ograniczenie było koniecznem, skoro każdy czeladnik miał mieć możność prowadzenia rzemiosła na własną rękę, ażeby z pracy swej wyżywić siebie i rodzinę. Były czasy takiego braterstwa wśród członków cechu, że kto miał dwa warsztaty, odstępował jeden temu, co nie nie posiadał.

Do cechu należał nadzór nad wyrobami i ich sprzedażą. Stanowiąc wspólne ciało, t. j. wspólną korporację, członkowie cechu dbali wzajemnie o swą dobrą sławę. Wyrób musiał być trwały i sumiennie wykonany, trzymać się przepisanej miary, jak np. sukno, czy płótno; cech sprawdzał wagę, nakładał ceny. Wzajemnie za ten nadzór cech baczyl, ażeby rzemieślnik miał zarobek i ażeby mu nie wchodzili w drogę, nie czynili konkurencji, kupecy z miast innych.

Dopomagało w tem miejskie prawo targowe. Obcym kupcom tylko w dni jarmarczne wolno było sprzedawać kupcom i rzemieślnikom miejskim, ci zaś od siebie sprzedawali mieszkańcom lub przejezdnym.

Nieustanna opieka, jaką cech otaczał swoich członków, była o tyle korzystną dla średniowiecznego przemysłu, że wyroby się doskonaliły, a rzemieślnicy nie znali nędzy.

Ponieważ jednak ludność miast wzrastała powoli, bo wśród murów warownych miasto rozrastać się nie mogło, więc i liczba rzemieślników pozostać musiała nader ograniczoną. Cechy pozwalały pracować zawodowo tylko swoim członkom. Kto nie należał do cechu, nie miał prawa zarabiać uczciwym rzemiosłem, choćby je nawet znał jak najlepiej. Do cechu zaś przyjmowano ostrożnie, a często i niechętnie. Było to zrozumiałym: każdy nowy człowiek był jednym współzawodnikiem więcej, z którym dzielić się trzeba było zarobkiem, a często i godnościami miejskimi.

Podupadła przeto pierwotna równość mieszczan, bo i cechy były różne, co do zamożności i znaczenia. Najpierwsze miejsce zajmowali zwykle kupecy, jako warstwa najbogatsza. Dotąd jeszcze pokazują po miastach pięknie zbudowane domy, prawie pałace, które stanowiły własność kupców, tak np. Funggerów w Augsburgu, a w Krakowie kamienicę Wierzyńska. Wierzynek bogaty kupiec, żyjący za czasów Kazimierza Wielkiego (w 14-m wieku), utrzymywał stosunki handlowe z Wrocławiem, posiadał ziemię pod Krakowem, młyny, i przyjmował w swoim domu królewskich gości, składając im bogate dary.

W miastach włoskich i szwajcarskich natomiast zamożną warstwę ludności, która miała w rękę znaczną część rady miejskiej, stanowiła mieszkająca w mieście szlachta. I wśród cechów rzemieślniczych złotnicy np. mieli, dzięki swej zamożności, większe znaczenie od balwierzy, t. j. golibrodów, lub łagiewników (bednarzy).

W wiekach średnich jednostka nie miała żadnego znaczenia, nabierała go dopiero w połączeniu z innymi. To też tak samo, jak rzemieślnicy, w cechy łączyli się artyści, poeci, uczeni, lekarze.

II. Cechy na zachodzie Europy.

W wiekach średnich spotykamy cechy we wszystkich krajach Europy. Wraz z rozwojem miast i rzemiosł ukazują się te korporacje i doprowadzają stan rzemieślniczy do wysokiego znaczenia.

W Anglii ukazują się cechy najwcześniej, bo już w 8-m wieku po Chrystusie. Wcześniej też dochodzą tam do znaczenia i rządzą miastami. W 10-m stuleciu wszystkie cechy w Londynie połączyły się i rządziły tym największym w kraju miastem. Ale niedługo trwało w Anglii panowanie rzemiosła. Jak umiejętność przemysłowa i zamożność wcześniej postawiły rzemieślników na czele miast, tak znów dalszy rozwój bogactw kraju uczynił cechy zbędnymi.

W cechach łączyli się średnio zamożni rzemieślnicy, a cech baczył, aby jeden nie wyrósł ponad drugiego i zbyt wielkiego bogactwa nie nagromadził.

Tymczasem w Anglii, dzięki podrójom morskim i zdobyciom krajów za oceanem, ogromne kapitały pieniężne znalazły się w rękach kupców (którzy nawet rzemieślnikami nie byli). Kapitałów tych używali oni na zatrudnienie rzemieślników i tworzenie przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych. Do cechu nie pasowali podobni ludzie; nie mieli nawet uzdolnienia zwykłego rzemieślnika, a bogactwem często przewyższali wszystkich razem wziętych. Oni to, zatrudniając rzemieślników poza cechami, tworząc przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe, wprowadzając nowe przemysły, podkopywali cechy.

Wszystkie znane w wiekach średnich wyroby wytwarzane były przez rzemieślników cechowych. Inaczej przecież było z wyrobami nowymi, z których najważniejszymi były tkaniny bawełniane, stanowiące i dziś jedną z najważniejszych gałęzi wytwórczości fabrycznej w Anglii. Przemysł bawełniany zaczyna od 1550 r. rozwijać się w Anglii i od tego też czasu mniej więcej upadają cechy w tym kraju. Najwybitniejsze miejsce zajmują kupcy hurtowni, a rzemieślnicy tracą prawa obywatelskie i dawne znaczenie. Równość cechowa rozbija się, a i same cechy już od 17-go wieku podupadają. Dziś cechy istnieją, ale prócz posiadania chorągwi i wspólnych uroczystości, członkowie nie odnoszą z nich żadnych korzyści.

We Francji cechy przechowywały się z dawnych czasów, kiedy Rzymianie panowali w tym kraju. W 13-m stuleciu król Ludwik Święty nadaje cechom francuskim jednolitą organizację.

Rzemieślnicy są jednocześnie kupcami, sprzedającymi swe wyroby, ale pomimo to cechy nie są między sobą równe, a rzemiosła, wytwarzające przedmioty zbytku, albo pracujące dla kościoła, stawiają siebie wyżej od innych. I w samym cechu równość się psuje. Większość czeladników nie zostaje nigdy mistrzami i stoi na stanowisku podobnym, jak dziś służba. I tu przeszkodą do zrównania jest niejednakowa zamożność. Mistrzem zostaje najczęściej syn po ojcu, kto zaś nie posiada środków, nie może założyć własnego warsztatu. Obecnie we Francji cechów już niema, gdyż zniesiono je podczas wielkiej rewolucji (w 1791 r.), jako urządzenia, krępujące swobodę człowieka.

Najważniejszymi dla nas są cechy w Niemczech, bo stąd przyszły one do Polski wraz z kolonistami niemieckimi, osiadającymi po miastach. Cechy rzemieślnicze istnieją w tym kraju od 12-go stulecia, a miasta niemieckie zawdzięczają im swoją pomyślność i rozkwit. Przedewszystkiem widzimy w Niemczech stowarzyszenia rzemieślników na dworach panów średnio-wiecznych; rzemieślnicy zaopatrywali potrzeby dworu, resztę wyrobów sprzedawano na korzyść pana. Obok cechów, które składały się z poddanych, powstają stowarzyszenia, złożone z ludzi wolnych, które utrzymywały się dłużej i dały początek właściwym cechom. Miasta niemieckie same zarządzały swymi sprawami, za pośrednictwem rady wybieranej w części przez rzemieślników związanych w cechy, w części zaś przez zamożne związki (korporacje) kupieckie i arystokrację, zamieszkałą po miastach (np. w miastach nadreńskich), która też tworzyła związki. Upadek cechów rozpoczyna się od 18-go wieku, a przyczyną są tak, jak w Anglii, nagromadzające się w ręku kupców wielkie kapitały. W Niemczech, a podobnie i w Holandji, wielki kapitał wyszukuje rzemieślników, stojących poza cechem, i zatrudnia ich jako robotników, dając robotę do domów; zagarnia również przemysły nowe, jak wyrób igieł i tkanin bawełnianych.

Nowsze prawodawstwo pruskie ogłosiło w 1818 r. swobodę rzemiosła, które może wykonywać każdy, azatem i ten, co nie odbywał terminu i wyzwolin. Cechy, z którymi dawniej związane było pozwolenie wykonywania rzemiosła, tracą właściwe swoje znaczenie. Że jednak liczba rzemieślników w Niemczech jest i dziś znaczną, okazała się potrzeba wznowienia cechów (które tworzą się tam od 1869 r.). Te nowe cechy są stowarzyszeniami zawodowymi mistrzów. Uwzględniając jednak wzajemny stosunek do siebie majstrów i czeladników, w którego sprawie oczywiście obie strony powinny mieć głos, prawo pozwala czeladnikom, zatrudnionym u majstrów należących do cechu—tworzyć zgromadzenia. Wybrani przez takie zgromadzenie czeladnicy obradują wspólnie z zarządem cechu majstrów w sprawach, które bezpośrednio dotyczą ogółu czeladzi, jak czas pracy, zarobki po domach i t. p. Przy układaniu ustaw, statutów, czeladnicy mają jedynie głos doradczy.

Dawny stosunek ojcowski zniknął też bezpowrotnie, bo nie umiejętność i wiek, ale przede wszystkim zamożność rozstrzyga o tem, kto ma zostać mistrzem.

W cechu łączą się niekiedy rzemieślnicy tego samego zawodu z różnych miast. Do cechu Germanja należą np. piekarze z 870 miast niemieckich. Od cechów dawniejszych różnią się dzisiejsze brakiem przymusu, t. j. tym, że można mieć warsztat nie należąc do cechu, a zadanie ich polega na dostarczaniu majstrom obstalunków, opiece nad podróżującymi członkami cechu, zapomogach przy wędrówkach, na regulowaniu stosunku między uczniem i majstrem.

Zato ustawy austriackie wprowadziły od r. 1859 przymusowe związki cechowe, do których należeć musi każdy rzemieślnik. Jeżeli miasto jest małe, tworzą się cechy mieszane z rzemieślników, należących do różnych zawodów. Cechy w Austrii pomimo to mniejsze mają znaczenie niż w Niemczech, a przymus należeń nie podnieca do wykonywania związanych z nim czynności.

III. Cechy w Polsce.

Średniowieczne miasta polskie dzielą się na królewskie i dziedziczne, należące do panów. Miasta królewskie już od 13-go w. miały organizację, opartą na samorządzie, t. j. na własnych prawach przyniesionych z Niemiec. Królowie polscy bowiem już od 13-go wieku, chcąc ożywić przemysł i handel w kraju, sprowadzają z Niemiec rzemieślników i pozwalają im rządzić się tym samym prawem, co w rodzinnym mieście.

Przychodzą więc do nas prawa magdeburskie, chełmskie, średzińskie, a z niemi prawo zawiązywania stowarzyszeń cechowych. Cechy są z początku niemieckie, używają w swoich ustawach i wilkierzach języka niemieckiego; z czasem jednak w kraju polskim Niemcy także za Polaków uważać się poczynają, język niemiecki ustępuje zrazu łacinie, a potem i polszczyźnie, po polsku mówią na zebraniach. Za króla Zygmunta III obok dawnych niemieckich powstają i czysto polskie cechy, jak piekarze, piwowarzy, ślusarze, puszkarze, igielnicy, miecznicy, szpadnicy, nożownicy, łóźownicy, zegarmistrze. Cechy w Polsce nie były lubiane, a mieszczenie nie mieli wielkiego znaczenia. Pomimo to istniały nie tylko w miastach głównych, jak Kraków, Lwów, Wrocław, Poznań, Warszawa, Lublin, Piotrków, ale i w małych, dziś podupadłych, które kwitnąciami były w 16-m w., jak w Sochaczewie, Rawie, Szydłowie, Kole, Łęczycy, Brześciu kujawskim, Kętach, Białej i innych. Największy swój rozwój osiągnęły cechy w wieku 15-m i w pierwszej połowie 16 go. Są to również czasy najwyższego rozkwitu przemysłu i handlu w Polsce, którym zajmują się królowie od czasów Kazimierza Wielkiego aż do Zygmunta Augusta. Cechy w Polsce obejmują

po miastach kupców, rzemieślników, a nawet i artystów. Sławem było np. złotnictwo we Lwowie. W Warszawie malarze i złotnicy nie stanowili cechu, ale zaciągali się do cechów mniejszych. Zwykle w jednym łączyło się kilka rzemioł, np. w Krakowie na 68 rzemioł liczą 16 cechów, ale jedno najliczniejsze jest rzemiosłem głównym i nadaje nazwę całemu cechowi. Podstawę cechu stanowią mistrze, obok nich stoją towarzysze czyli czeladnicy. Przyjmuje się uczniów za wiadomością i przy udziale starszych cechu. Do cechu bowiem należą tylko obywatele miejscy, a wyjątkowo także i podmiejscy rzemieślnicy. Np. cech szweców w Warszawie obejmował 10 mil dokoła miasta. Najłatwiej było wejść do cechu synowi miasta, który tylko starszyźnie przedstawić się musiał. Ponieważ wykonywanie rzemiosła było niecechowym wzbronione, każdy poddawał się chętnie wymaganiom, ażeby tylko być przyjętym. Wymagano tu: umiejętności rzemiosła, świadectwa prawego urodzenia, obyczajności i przekonań religijnych. Mistrz musiał być żonaty albo zaręczony z panną lub wdową. „Taki, który ma więcej niż jedną żonę, rzemiosłu nie ma być dobry“—powiada statut sukienników warszawskich. „Kto wstępuje do cechu (mowa tu o mistrzach), bez żony ma być niedłużej nad 13 tygodni.“ Członkowie cechu mieli wspólne nabożeństwa, posiadali ołtarze, chorągwie, a nawet kaplice i kościoły i oddali się w opiekę wspólnego patrona. Cechy polskie przyjmowały nawet mistrzów innej wiary, np. w Białej kongregacja kupiecka. Oprócz obowiązków religijnych członkowie cechu mieli i moralne. Zakazana tedy była wzajemna obmowa, szkodenie sobie w rzemiosle, odmawianie uczniów i czeladników, podkopywanie się przy kupnie i odbieranie drugiemu obstalunków, jak również przyjmowanie nadmiernej ilości zamówień.

Zgromadzenia cechowe dostarczały swoim członkom rozrywek, ale wszelkie bijatyki i wymysły były surowo karane, nie wolno było nawet przynosić noża lub miecza. Poniedziałkowanie jest wzbronione. Wszędzie żądany jest wkup do cechu, czasem nawet dość znaczny. Oprócz mężczyzn, do cechów przyjmowano i kobiety, najczęściej wdowy po mistrzach, którym dla utrzymania rodziny wolno było dalej prowadzić rzemiosło męża.

Nie było jednak wśród cechów zupełnej zgody, a zakłócał ją stosunek mistrzów do czeladników. Czeladź tworzy własne bractwa, zbiera się na wspólne narady i w tajemnicy zachowuje uchwały powzięte. Wzajemnie za to mistrzowie wspólnie stanowią o placach czeladzi, baczą, aby czeladź nie zarabiała więcej od nich, nie przyjmowała roboty na własną rękę, nie usuwała się od posług domowych. Dla skuteczniejszego działania łączą się mistrzowie z różnych miast: sukiennicy z Krakowa, Kleparza i Kazimierza (w r. 1428) umawiają się, jak wspólnie zapobiegać

nadużyciom czeladzi. Mistrzowie rzeźniccy z Krakowa łączą się w tym samym celu z wrocławskimi.

Zakupywanie surowego materiału nie jest rzeczą cechu, ale cech baczy, aby towarzysze nie podkopywali się wzajemnie i nie kupowali więcej materiału, niż go obrobić mogą.

Cechmistrze baczą również, ażeby robota mistrzów była w dobrym gatunku, odpowiadała przepisom miary i wagi, każdą zaś niesumienne wykonaną niszczą.

Oddzielnych cechów kupieckich w Polsce nie spotykamy, bo kupcem był najczęściej sam mistrz wytwórca. Wśród nich bogatsi zagarniali sprzedaż w swoje ręce. Kupcy zamiejscowi z kraju i zza granicy, t.j. goście, mieli obowiązek złożyć towary w składzie miejskim i tam je sprzedawać. Za nieusłuchanie tego nakazu groziła kara cielesna i utrata towaru. Tylko podczas jarmarków gościnność była większa i swoboda sprzedaży zupełna.

Mieszczanie nie należeli do pospolitego ruszenia, to jest do wojska. Walkę z nieprzyjacielem podejmowała w Polsce tylko szlachta. Wojskowe obowiązki mieszczan ograniczały się do obrony miasta i czuwania nad mieniem współobywateli. Pomimo to, gdzie cechy były zamożne, np. we Lwowie, każdy cech posiadał „sвій skarbiec, arsenał i basztę, każdy był hufcem zbrojnym, gotowym w każdej chwili do obrony grodu”. W politycznym życiu kraju cechy miały przyjmowały udział. Do rady miejskiej należeli tylko wyjątkowo, w Krakowie np. rzemieślnicy, rada zaś była władzą, do której odwoływały się cechy, gdy chodziło o spory wzajemne, o sądzenie cięższych przestępstw lub wydalenie rzemieślnika z miasta. Rada nadzoruje targi, jarmarki, sprawdza wagi i miary, a nawet rewiduje produkty i zbrojownie cechowe.

W 18-m stuleciu w życiu miast polskich dokonywują się daleko idące zmiany, a cechy wogóle podupadają. Przyczyną tego oprócz ogólnych stosunków kraju było w 1775 r. zawarowanie całkowitej swobody handlu. Skoro każdy wykonywać mógł rzemiosło, cechom trudno się było utrzymać.

Na początku 19-go wieku w roku 1816, wprowadzono w Królestwie znów ustawę o Zgromadzeniach rzemieślniczych, czyli cechach. Zgromadzenie tworzy 10 lub więcej majstrów jednego rzemiosła, zamieszkałych w tym samym mieście. Czeldnicy i uczniowie podlegają urzędowi cechowemu, ale w zgromadzeniu głosu nie mają. Nie należącym do cechu wolno jednak wykonywać rzemiosło.

Cechy w Galicji i w Poznańskim podpadać naturalnie muszą ustawom austriackim i pruskim.

Dr. Z. Golińska-Daszyńska.

KSIEGARNIE DROBNE.

Dla ludzi, bliżej obeznanych z handlem książkami, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że księgarstwo jest jednym z zyskowniejszych i najmniej ryzykownych przedsiębiorstw. Nie mówimy już o księgarniach nakładowych wielkich, albowiem te, rozporządzając dużymi kapitałami, włożonemi w wydawnictwa własne, w najgorszym razie przynoszą 40 do 50% zysku. Doliczwszy do tego 10 do 20% ze sprzedaży nakładów obcych — wielkie księgarnie przedstawiają interes, z którym współzawodniczyć mogą chyba... apteki.

Ale i średnie księgarnie, jakich sporą ilość widzimy w różnych miastach na prowincji, nie muszą być interesem złym, skoro przybywa ich z każdym rokiem coraz więcej — że przytoczymy tylko Lublin, Łódź, Częstochowę, Łomżę i inne miasta.

Po za temi księgarniami średniemi jest jednak trzeci typ, na prowincji u nas bardzo mało rozpowszechniony — księgarenek drobnych, obsługujących tylko najbliższą okolicę. A jednak zagranicą, na przykład w Niemczech, Czechach, Danji, ten właśnie typ spotyka się na w każdym miasteczku i wielu wsiach.

Cóż to jest taka księgarenka drobna?

Jestto poprostu sklep, w którym obok najrozmaitszych innych towarów — galanterijnych, pisemnych, łokciowych, nasion i innych, można zawsze nabyć nieco książek najniezbędniejszych, a inne można w każdej chwili zamówić. Tam również prunumeruje się pisma, zamawia kalendarze — jednym słowem załatwia się wszelkie zakupy księgarskie.

Rozumie się, że sklep, sprzedający książki, musi mieć odpowiednie warunki na prowadzenie księgarni.

Weźmy warunki pieniężne założenia księgarni drobnej.

Przedewszystkim wyłączmy zupełnie możliwość korzystania z kredytu firm wydawniczych, o który z pewnością będzie bardzo trudno. Ile trzeba kapitału do założenia księgarni w miasteczku? Sądźmy, że na początek wystarczy 200 do 300 rubli. Za taką sumę można dość obficie zaopatrzyć sklep, szczególnie w książki drobniejsze, ludowe, mające więcej szans rozejścia się. Żeby uniknąć wielkiego ryzyka, księgarz drobny, nabywając towar za gotówkę, mógłby jednak zawsze wymówić sobie terminową wymianę tych książek, na które nie znajdzie pokupu na miejscu. Każdy nakładca, uwzględniając ciężkie początkowe warunki nowopowstającego interesu, chętnie na taką wymianę się zgodzi — o ile naturalnie książki zwracane nie będą zniszczone i o ile księgarz prowincjonalny zapłaci kosztą przesyłki.

Co może dać handel książkami, pokazuje następujące obliczenie:

Kupuje księgarz prowincjonalny za gotówkę książek popularnych dajmy na to za rubli 300 brutto, a więc po strąceniu 40% za rubli 180 netto. Odliczywszy 10% na przewóz, opakowanie itp. zostanie mu w zysku 30%, to jest 30 rb. od każdych 100, wziętych za sprzedane książki. Niech sprzeda rocznie tylko za 1,200 rubli, to jest za 100 rubli miesięcznie, a będzie miał $12 \times 30 = 360$ rubli zysku — co chyba nie jest do pogardzenia. Braliśmy tutaj samą sprzedaż książek popularnych. Ale do tego przybywa jeszcze sprowadzanie książek droższych i prenumerata pism, które zysk ten podniosą.

Rozumie się, że taka małeńka księgarnia, jakiej przykład podaliśmy powyżej, najlepiej opłacać się może, gdy będzie prowadzoną przy sklepie z innemi towarami. Wtedy oszczędzi się na mieszkaniu, obsłudze, urządzeniu wewnętrznym i t. d. Jeśli zaś można w jednym sklepie sprzedawać cukier i śledzie—to przy pewnej czystości można też trzymać tam w porządku papier i książki.

Handel książkami, jak każdy inny, wymaga znajomości rzeczy—ta jednak nie jest tak trudną do zdobycia, jakby się nieświadomemu zdawać mogło. Ceny i rabaty książek są zazwyczaj stałe, korespondencja łatwa, przesyłanie i odbiór nie uciążliwe — tak, że osoba rozgarnięta prędko nauczy się księgarń drobnią obsługiwac.

Nie potrzebujemy dodawać, jak wielkie znaczenie dla prowincji miałyby w miasteczkach ludniejszych i dużych wsiach kościelnych — takie księgarenki drobne, zakładane przez ludzi rozumnych i uczciwych. Książka pożyteczna i ciekawa znajdzie zawsze nabywcę na prowincji, ale dziś jeszcze ona musi go zwykle szukać. Człowiek niezamożny, gospodarz, robotnik fabryczny, nie często bywa w większym mieście, nie zawsze, będąc nawet, pamięta o książkach. Mając na miejscu księgarnię żywą, ruchliwą, umiejacą nietylko zaopatrzyć się w książki dobre, ale i odpowiednio je zachwalić — każdy łatwiej się z książką spotka i chętniej ją nabędzie.

Księgarstwo prowincjonalne, szczególnie drobne, rozbite na tysiące promieniujących ognisk, jest wszędzie jedną z najprostszych, a najlepszych dróg umysłowego postępu. *Brz.*

PRZED SIEJBA.

Przeorały raz i drugi
Ziemie naszą ciężkie plugi,
A po każdym skiba czarna
Czeka siewu, czeka ziarna.

Hej, siewacze, błogi czas,
Czemuż dotąd niema was?

Burze wstrząsły ziemi łonem,
Wiatr przeleciał nad zagonem,
Spadły z nieba żyzne deszcze,
A was dotąd niema jeszcze!

Hej, siewacze, na wasz trud
Czeka ziemia, czeka lud!

Kości ojców, ich mogiły
Poła nasze użyźniły,
Słonko wschodzi nam powoli,
Białe rosy drżą na roli...

Hej, siewacze, błogi czas,
Stara ziemia czeka was!

M. Konopnicka.

Gdzie mieszkają Kujawiacy?

Stara, ale ładna, piosnka tak mówi o różnych plemionach, zamieszkujących ziemię polską:

„Przy Karpatach — Krakowiaki,
Ponad Gopłem — Kujawiaki,
Łęczycanie — wedle Bzury,
Na Powiślu hen — Mazury —
Żyli w Polskiej ziemi,
Jak bracia rodzeni!”

Owóz wspomniani tutaj Kujawiacy żyją w tej części kraju, która leży dokoła jeziora Gopła, pomiędzy rzekami Notecią a Wisłą, przechodząc po części i na prawy brzeg Wisły. W skład Kujaw wchodziły przed rokiem 1772 m dwa województwa: Brzesko-Kujawskie i Inowrocławskie z Ziemią Dobrzyńską. Znaczna część Kujaw leży w granicach dzisiejszego Królestwa Polskiego, zajmując powiaty Nieszawski i Włocławski, oraz części Gostyńskiego i Kutnowskiego w gub. Warszawskiej, a Lipnowskiego — w Płockiej. Kraj to nizinny, równy, przerżnięty Wisłą oraz mnóstwem rzek i rzeczek, łączących ze sobą liczne jeziora i mokradła, zwane ogólnie Bachorzą. Największym z jezior jest sławne Gopło, około pięciu mil długie, a pół mili szerokie. Niegdyś szeregami mniejszych jezior i błot łączyło się ono z Wisłą. Potem część bagien osuszono, wody Gopła znacznie opadły i dziś tylko ślady dawnego połączenia wodnego odszukać się dają. Na jednej z wysp jeziora Gopła znajdował się gród murowany jeszcze w czasach przedpiastowych, dokąd według podania schronił się znienawidzony i wypędzony z Gniezna kneź Popiel. W pobliżu tego grodu na brzegu jeziora Kujawianie założyli



Wielkopolanie i Kujawiacy w strojach dawnych.

miasto Kruszwicę, jedno z najstarszych i najznacniejszych miast polskich, które jednak później w czasie wojen podupadło.

Ziemia na Kujawach wogóle urodzajna, miejscami czarnoziemna, wydaje słynną pszenicę „Kujawkę” i doskonałe buraki cukrowe. Niedarmo śpiewa Kujawiak:

„Ja Kujawiak, ty Kujawiak,
Da wszyscyśma tu jednacy;
Mamy soli, mamy chleba,
Wody, ryby—co potrzeba,
Oj da, oj da—da!

Ja Kujawiak, ty Kujawiak,
Wszyscyśma tu Kujawiacy.
I niczego nam nie braknie,
Tylko drewek każdy łaknie,
Oj da, oj da—da!”

A było drewek niegdyś dość, puszcze stare pełne grubego zwierza szumiały w nadgoplańskiej okolicy. Wcześniej jednak je wyrabano, wydobyto kraj „ku jawie” — skąd nazwa „Kujaw” ma pochodzić. Nie martwi się jednak zbytnio kujawiak, pocieszając się, że „Kujawiacy z chlebem po kij chodzą”, a nie „z kijem po chleb”. Jak ich sąsiedzi z za Wisły.

Uprawa roli i buraków cukrowych stanowi najważniejsze źródło dobrobytu mieszkańców, zaopatrując kilkanaście dużych cukrowni.

W północno-zachodnim rogu Kujaw ciągnie się w głąbi ziemi pokład soli, którą w postaci solanki wodnej wydobywają na powierzchnię i wywarzają w Ciechocinku.

W pisaniu „Z niwy kujawskiej” opowiedziane będzie bliżej o ludzie kujawskim, jego życiu i obyczajach. Tutaj wspomnimy jeszcze kilka ciekawszych miejscowości, jakie w tej okolicy kraju się znajdują.

A więc przedewszystkiem *Włocławek* nad Wisłą, przy ujściu rzeki Zgłowiączki. Miasto czyste, piękne, z 25,000 mieszkańców. Jest tutaj stacja Kolei Żel. Warsz. Bydgoskiej, przystań dla statków na Wiśle, kilka fabryk. Prowadzi bardzo ożywiony handel zbożem. Z kościołów słynna, świeżo odnowiona Katedra — stolica diecezji biskupiej brzesko-kujawskiej. Jest szkoła handlowa i realna, seminarjum duchowne i inne zakłady. Nazwę otrzymał od imienia Władysława Hermana, swego założyciela, i zwał się niegdyś Władysławek.

Kowal, 4000 mieszkańców, — miejsce urodzenia Kazimierza Wielkiego (w r. 1316).

Brześć-Kujawski, 2500 mieszkańców, niegdyś gród warowny, pośród błot. Kilkakrotnie był niszczone przez Krzyżaków i Szwedów.

Przedecz, 2,300 mieszkańców, między którymi wielu dzielnych szewców. Leży nad pięknym 3 wiorstwowym jeziorem.

Nieszawa, nad Wisłą. 4,000 mieszkańców. Niedgdyś słynęła z handlu zbożem, który później podupadł. Słynie z połowu je-siotrów w Wiśle.



Kujawiaacy w strojach nowoczesnych.

Racibórz — dziś mała miejscina. W wieku 15-m słynął z kilkakrotnych przejazdów króla Władysława Jagiełły.

Ciechocinek — źródła słone, warzelnie soli i kąpiele lecznicze, szczególnie dla dzieci.

Radziejów — słynął z sejmików i zjazdów szlachty kujawskiej.

Płowce, wieś niedaleko Radziejowa, gdzie w r. 1331 Władysław Łokietek odniósł słynne zwycięstwo nad Krzyżakami. Na pobojowisku stoi pomnik z napisem:

„Roku 1331, 27-go września, za Władysława Łokietka, króla Polskiego, miejsce sławne zwycięstwem nad Krzyżakami odniesionem i pochowaniem rycerzów polskich wraz z 20,000 Krzyżaków tu pod Płowcami poległych“.

We wsi Warzymowie nad jeziorem Gopłem według podań miał mieszkać Piast, zanim powołano go na tron książęcy.

M. B.

Śpiewka kujawska.

Powiedziała nam tu wasza kaczka,
Żeście napiekli pszennego placka.
Powiedziała nam tu wasza świnią,
Żeście zabili jej syna,
A nie syna, to córeczkę, —
Dajcie nam z niej choć szpereczkę.
A zdaleka od ręki,
Żebyście sobie nie narobili dużej męki.

U PANA DORADCY.

— Panie adwokacie, odebrałem tysiąc rubli spadku, mam jednak brata i muszę mu oddać połowę.

— Połowę! A gdzie ten wasz brat mieszka?

— W Ameryce!

— W Ameryce! Ależ dajcie mu 50 rubli; to przecież jest daleki krewny!

W środę popielcową.

Majster. — Antek! czego się tak ciągle krzywisz?

Terminator. — W dołku mnie coś gniece...

— A dla czegoś, kondlu, wczoraj tak dużo jadł pączków?

— Ba, kiedy mi majstrowa kazała wszystkie zjeść, żeby na post nic nie zostało...

Pieśń o Florjanie Szarym.

Szumiały lasy, polskie lasy, krzyżak lasem wali,
Gięzką szablą pobrzękuje, ludzkie sioła pali.
Zmyka zając podrygając i słuchami strzyże:
— Oj, nieboże, siedźże w norze, bo tam krzyżak lezie.
Szumiały lasy, polskie lasy, nasi lasem gonia,
Podzwaniają szabelkami i w podkówki dzwonia.
Leci górą gołębiczek, prosi Pana Boga:
— „Dajże Boże im zwycięstwo! Panińeczko droga!
Oj, jak zwarło się to bractwo, mój ty mocny Boże,
Wrogi lecą, jak brytany, puszczone z obroży.
Aż tu nasi jeno krzykną: „Jezus!“ — święte słowo —
I śmignęli, aż się owym zrobiło niezdrowo.
Strach na wrogi padnął srogi, jeden drugi tchórzy,
Więc i reszta nogi za pas, zmyka, aż się kurzy.
Jedzie sobie król Łokietek po tej bitwie w pole:
Tyle śmierci, mocny Boże! aż go w sercu kole..
Patrzy — leży jeden rycerz, brzuch ma rozparany,
Ręką sobie wewnątrz wpycha do okropnej rany.
Oj, zasmucił się król wielce i pyta powoli:
— Miły bracie, toć ta rana pewno srodze boli?
— „Oj nie bolić ona, królu, nie boli tak srodze,
Jak zły sąsiad, co się z onym het po sądach wodzę.“
— Jak się zowiesz? — „Florjan Szary.“ — Weźcież go na mary
I zawieźcie do mojego namiotu złotego.
Bądź-że zdrowy, mój bojowy; toć znajdzie się rada,
Że cię może i uwolni od złego sąsiada.
Siedzi sobie sroka siedzi na wierzbini starej,
Idzie w goście choć do króla zdrowy Florjan Szary.
Król przyjmuje, obejmuje, sadowi na ławy,
Każe przynieść flaszkę miodu i królewskiej strawy.
Razem wina się napili i król rzecze stary:
— Setnieś rzezał wrogi nasze, mój Florjanie Szary!
Toż ci daję do twej tarczy owe koźle rogi
I trzy włócznie na pamiątkę, żeś tak rzezał wrogi.
Znowu wina się napili, w szklanki uderzyli,
A król rzecze: — Jest-ci rada, wolnyś od sąsiada!
Weź że sobie oną wioskę, kędyś we krwi brodził,
A nie będziesz się już więcej ze sąsiadem wodził.
Siedzi sobie sroka siedzi na wierzbini starej,
Z królewskiego dworu idzie wesół Florjan Szary.
A i ja tam w onczas byłem, wino z nimi piłem,
Aż się w uściech nie zmieściło, tyle tego było.



Bitwa pod Płowcami w roku 1331-ym.

TESKNOTA.

A znasz ty kraj ten, gdzie brzegiem strumieni
Niezapominki i kaliny rosną?
Gdzie zbóż falami niwa się płomieni,
A bory ćmią się jedliną i sosną?
Gdzie chmiel złociste rozwiesza festony
Po szczytach olszyn, osrebrzonych mchami?
Gdzie biała brzoza i jawor zielony
Błyszczą malowniczo nad łąk kobiercami?

Och! za tym krajem,
Jakby za rajem,
Codzień wdycham i płaczę;
I nie będę szczęśliwy,
Aż te lasy, te niwy
Jeszcze choć raz obaczę!

A znasz ty kraj ten, gdzie wzdłuż bitej drogi,
Co płynnie wstęgą pod topoli cieniem,
Każdy wędrowiec, czy pan, czy ubogi,
Wita przechodniów Chrystusa imieniem?
Gdzie szary bocian na dachu przedsienia
Wije swe gniazdo za wiosny powrotem?
Gdzie Krzyże z drzewa lub Święci z kamienia
Stoją na straży przed wsi kołowrotem?

Och! za tym krajem,
Jakby za rajem,
Codzień wdycham i płaczę;
I nie będę szczęśliwy,
Aż te sioła, te niwy
Jeszcze choć raz obaczę!

A znasz ty kraj ten serdeczny, wesoły,
Gdzie się gospodarz, pełen uprzejmości
Wszystkim, czym może, dzieli z przyjaciół
I tęskni w domu, kiedy niema gości?
Gdzie lud, choć biedny, rad w święto się stroi;
W tańcu, czy w pracy, zawsze piosnki śpiewa?
Gdzie czapka chłopca i warkocz dziewczoi
Złotem się świeci, wstęgami powiewa?

Och! za tym krajem,
Jakby za rajem,
Codzień wdycham i płaczę;
I nie będę szczęśliwy,
Aż te lasy, te niwy
Jeszcze choć raz obaczę!

A znasz ty kraj ten, gdzie w chwilę wesołą,
Gdy grzmi od ucha zapustna kapela,
Sunie poważnie taneczników koło,
Jak szyk pancernych na nieprzyjaciela?
Gdzie rzeźka młodzież przy hucznym mazurze
Brzękiem podkówek gromko takt wybija?
Gdzie żywym wieńcem, przy piosenek chórze,
W rączkach się płasach krakowiak przewija?

Och! za tym krajem,
Jakby za rajem,
Codzień wdycham i płaczę;
I nie będę szczęśliwy,
Aż te lasy, te niwy
Jeszcze choć raz obaczę!

Konstanty Gaszyńska.



Z KUJAWSKIEJ NIWY.

Piękna to ziemia nasze Kujawy — niby jednostajna równina, a jednak ma swój urok. Nic nam widnokręgu nie zasłania, w którą stronę rzucimy okiem, widzimy jak na dłoni wioski, ukryte w cieniu drzew; tu wiatrak, tam kościół, a po obu stronach drogi zboża tak dorodne, że nieraz najtęższy chłop schowa się w życie. Wśród zboża przeważa pszenica sandomierka, a w niej czerwienią się krasne maki.

We wsiach chaty z surówki, podwórza otoczone rowem i wałem z ziemi, na którym bujnie nikokol (ligustr) wyrasta. Lasów tutaj niema oddawna, więc płotów drewnianych się nie spotyka; płoty w zupełności nikokol zastępuje, nie przedostanie się przezeń ani bydło, ani ptactwo domowe. Ogrodzenie takie wygląda malowniczo, zwłaszcza kiedy okryje się czerwonymi jagódkami. Jest też dla pszczół bardzo pożyteczne; listki i jagódki dzieci osmykują dla drobiu na karm, a suche gałązki na opał wybierają.

Prócz maków i nikokolu jest jedna jeszcze roślina, którą kujawską nazwaćby można, to Boże drzewko. Równie jak nikokol służy do obsadzania ogródków. Spotykamy też na Kujawach wiele świerków: to na rozstajnych drogach strzegą figury św. Józefa, patrona tutejszej diecezji, to kościół niemi otoczony;

wreszcie mamy dwie wioski—Świerczyn i Świerczynek, w których obfitość świerków nazwy te usprawiedliwia.

Lud kujawski wysoki, dobrze zbudowany, ruchy ma zręczne, twarze ściągłe, wejrzenie śmiałe, oczy wyraziste. Mówią, że hardy, butny, ale grzeczny, chociaż bez uniżoności. Księżdu tylko, i to nie wszyscy, kłaniają się jeszcze, przykładając kapelus, czy też rękę, do ziemi.

Zacznij z kujawiakiem rozmowę, a przekonasz się, że, choć może nie bywał dalej niż we Włocławku, nie jest mu jednak obcem, co się dzieje w świecie. Nie mazurzy, lecz zamiast litery *a* wymawia *o*, np. zapolki, zapłota, Morcin, czornina. *H* w wielu wyrazach nie wymawiają zupełnie, lecz mówią: harmonija (harmonija), alka (halka), armider (harmider). Na zapytanie, czy się ten lub ów bardzo martwi, odpowie: „chłopot“, to znaczy, że ta rzecz mało go obchodzi. Kiedy Kujawiak chce co pokazać, używa wykrzyknika: „wej go!“ Zamiast: „bardziej“ mówi po staropolsku „barzej“. Mają swoje wyrażenia odrębne, np. „żarotować“ lub „używniać sobie“, znaczy—skarżyć się na coś, czuć żal do kogoś; to znów „szkalować“, znaczy—wstydzic kogoś, robić mu wymówki za zły postępek; „pantówkami“ nazywają kartofle; „pyzy“ to kluski z kartofli. Wrony po kujawsku nazywają się „gapy“, indyki—„guły“, a dziewczyna nierozgarnięta „gularz“.

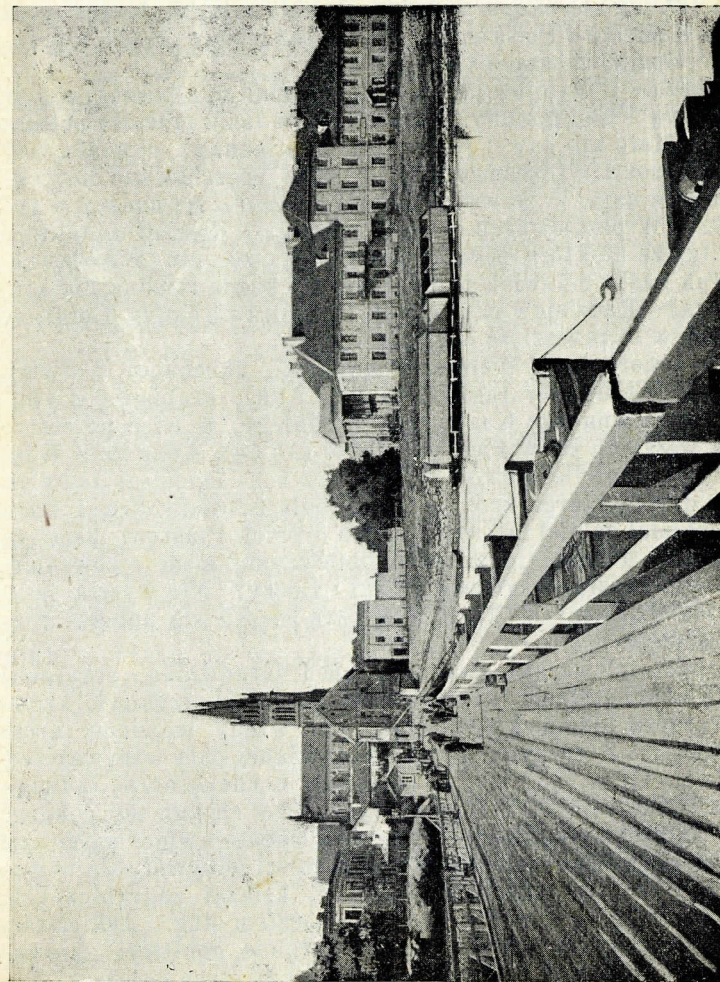
Pochodzenie swoje kujawskie cenią wysoko. „Jak-em kujawiak“—zapewnia gospodarz w miejsce słowa honoru. „Nie przebieram się za szlachciankę, bom się w kujawskim stanie urodziła“—mówi gospodyni. Mieszczanin lub szlachcic, choć z dziada pradziada na Kujawach żyje, w przekonaniu ludu kujawiakiem nie jest, choć to niesłuszne. Gospodarze zamożni szczytą się z nazwy „gospodarz“; — biedniejszych, a mówiąc dokładniej, „ukazowych“ nazywają włościanami. Gospodarze kujawscy wywodzą swój początek od wolnych kmieci polskich i podobno mają nadania jeszcze od Władysława Łokietka.

Czy jedziemy do Włocławka, minawszy położony na wzgórzu Brześć Kujawski przez Osięciny, Borucinek, Jarantowiec, i pamiętne w dziejach z Łokietkowego zwycięstwa nad Krzyżakami Płowce, czy też od Nieszawy przez Zbrachlin, Łókwowiec, Łowiczek i Buczynę—nigdzie nie spotykamy najmniejszego faloowania ziemi; dopiero Radziejów leży na wzgórzu i zwłaszcza od strony Płowiec wygląda bardzo malowniczo.

Chociaż Włocławek jest największym miastem na Kujawach, jednak Radziejów jest środowiskiem, niby sercem całych Kujaw. Nazwę swoją zawdzięcza podobno temu, że w czasach bardzo dawnych schodzili się tutaj kmiecie na „radę“. Później odbywały się tu sejmiki.

W posiadaniu rodziny Radziejowskich, jak mylnie sądzą niektórzy, Radziejów nie był nigdy: były Radziejowice. Przed

wieki stanowił on własność królewską, później biskupią; w ostatnim stuleciu był miastem powiatowym, a dziś stanowi niewielkie miasteczko. Ma bardzo ładny rynek kwadratowy, zabudowany domami niskimi, schludnymi, po większej części z ganeczkami;



Most na Wiśle pod Włocławkiem.

pomiędzy niemi są cztery piętrowe kamienice. Środek rynku niebrukowany, gdyż mieścił się na nim ogród spacerowy, wycięty przed kilkunastu laty dla większej swobody podczas jarmarków, dziś znów obsadzony dokoła drzewami, czego dokonała diatwa tutejsza. Oprócz rynku posiada kilka ulic, także niebrukowa-

nych. Całe miasteczko jest dziwnie kształtnie budowane; stanowi ono niby koło, tak, że można obejść cały Radziejów, nie zwracając z drogi. Poza miastem jest tak zwany „okopik“; że stanowił on obozowisko, o tem wątpić nie można, lecz w jakich czasach i kto się w nim oszańcował, mieszkańcy wskazać nie umieją. Z tego to okopu widać doskonale wioski, leżące poza granicą Królestwa Polskiego. Widać też jezioro Gopło, a przy najmniej opary, unoszące się nad nim.

Obecnie Radziejów posiada urząd gminny, pocztę, szkołę początkową i sąd gminny. Mieszkańców liczy przeszło półtora tysiąca. Mało kto nawet słyszał o nim, a jednak i on miał czasy swej świetności. Dokumenta historyczne, przechowane dotychczas, mówią nam, iż ze wsi zamienionym został na miasto w roku 1252. W późniejszych czasach Radziejów doszedł do takiego rozkwitu, że niektóre podatki płacił większe, niż Włocławek.

Jak każdy człowiek pojedynczy, jak każda rodzina, czy kraj każdy, tak i Radziejów miał chwile szczęśliwe i błogie. Cofnijmy się myślą w tę przeszłość pogodną.

Po śmierci swej pierwszej małżonki, ukochanej Jadwigi, pojął król Władysław Jagiełło za żonę Annę, hrabiankę Cylejską, rodzoną wnuczkę Kazimierza Wielkiego, a więc po matce mającą w żyłach krew Piastów. Ta to królowa Anna dała Władysławowi Jagielle córkę, którą ochrzczono imieniem Jadwigi. Jedyne dziecko starca-króla otoczone było miłością ojca i ludu, który widział w niej latorośl tyle mu drogich Piastów; książęta zagraniczni uważali ją za spadkobierczynię ziem ojcowskich, a więc w przyszłości królowę Polski i Litwy. Nie wyszła jeszcze z lat dziecięcych, kiedy o jej rękę poczęli się ubiegać rozmaici książęta.

Ojciec dziewczeczki, zwycięzca zpod Grunwaldu, przyrzekł jej rękę ośmioletniemu Fryderykowi Brandeburczykowi, krewnemu cesarza niemieckiego, czyli, jak wtedy mówiono, króla rzymskiego. Zaręczyny tej oto młodocianej pary odbywały się w Radziejowie w r. 1422. A ponieważ kochaną była Jadwiga od ojca i ludu całego, ponieważ rycerstwo chciało się pokazać w obec książąt zagranicznych możnie i bogato, więc wyobrazić sobie możemy, jakie to wtedy uroczystości odbywały się w Radziejowie, ilu tam zjechało biskupów, książąt zagranicznych, panów polskich, a każdy z dworem i poczetem sług. Jakież tam wtedy odbywały się uczty, igrzyska, turnieje, gonitwy! Nie zapomniano i o ubogich, którzy nadeciągali ze stron dalekich, pewni, że gdzie królewska córka gody obchodzi, tam nie odejdą bez wsparcia. Więc we dworcu rozlegały się okrzyki wesela, a z tyśiącą ust płynęła w niebo modlitwa o szczęśliwą dolę dla ukochanej królowej i ziemi ojczystej.

Zaręczyny odbyły się bardzo uroczyście, lecz małżeństwo do skutku nie doszło, gdyż królowna w lat parę umarła.

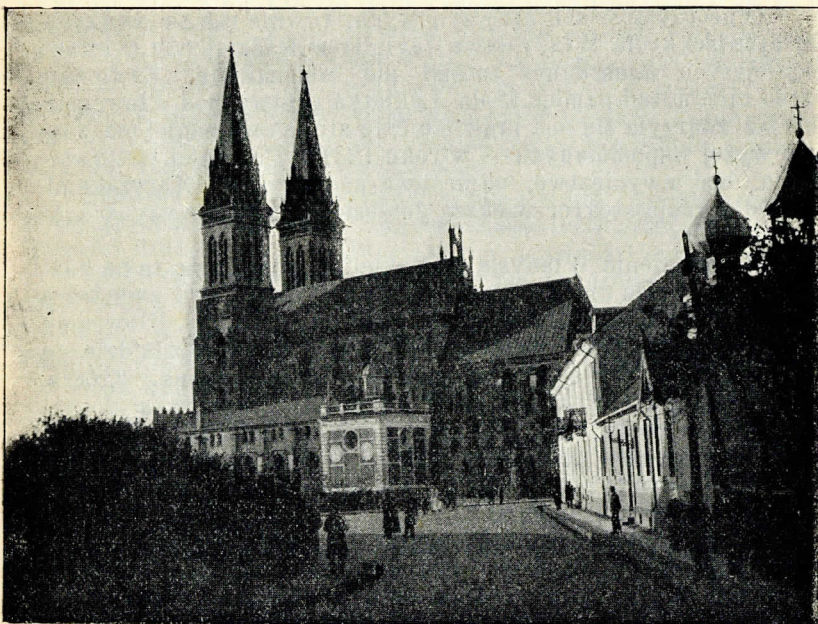
O uroczystościach zaręczynowych, równie jak i o dwukrotnej bytności króla Władysława Jagiełły w Radziejowie w latach późniejszych mieszkańcy tutejsi nie wspominają. Za to żyje wśród nich dotąd pamięć króla Łokietka i bitwy pod Płowcami, chociaż zdarzyła się ona prawie o całe sto lat wcześniej od zdarzeń wyżej wspomnianych — w roku 1331. Po części jestto słusznem, boć zwycięstwo, odniesione nad wraźmi Krzyżakami, miało dla kraju stokroć większą doniosłość, niż zaręczyny królowej.

Wspomnienie Władysława Łokietka spotyka się tu na każdym kroku. Do niedawna stał dąb, pod którym król zwycięzca wraz z synem Kazimierzem odpoczywał po bitwie pod Płowcami; przed kilku laty przewróciła go burza, lecz zapewne znajdzie się ktoś taki, co na tym samym miejscu posadzi inny dąbek. Źródło, którego wodą król Łokietek gasił pragnienie, wytryska do tej pory; ocembrowane, tworzy studzienkę, a jest tak obfite, że zasila wodą nie tylko cały Radziejów, ale i wioski okoliczne, z których tutaj po wodę przyjeżdżają. Od niego całą tę część miasieczka Źródkiem nazywają.

Ukazują miejsce, na którym stał dworzec królewski. Miał on być połączony przejściem podziemnym z takimże dworcem w Brześciu Kujawskim. Grono osób w Brześciu przed kilku laty przedsięwzięło poszukiwania. Rzeczywiście od zamku tamtejszego, a dziś więzienia, idzie w kierunku Radziejowa chodnik podziemny tak wązki, że po jednym iść trzeba. Ściany ma wyłożone cegłą, lecz ta w wielu miejscach poodpadała i utworzyła zapory. Ponieważ i światło gasło, więc próba pozostała bez skutku, a podanie nie wyjaśnione.

Pamiętką starodawną, jaka ocalała dotąd, jest kościół z klasztorem pofranciszkańskim. Zbudowany jeszcze przez Władysława Łokietka na podziękowanie Panu Bogu za zwycięstwo pod Płowcami, kościół ów przechodził rozmaite, nieraz bardzo smutne koleje. To, co pozostało, jest zaledwie cząstką bogatej fundacji królewskiej, gdyż Szwedzi, za panowania Jana Kazimierza, na klasztor napadli, znaczną część gmachu zburzyli, a kilku, czy kilkunastu zakonników spalili na dziedzińcu. Prawie w dwieście lat później, w r. 1812. Napoleon, cesarz francuzów, ten fałszywy przyjaciel Polaków, gdy z wojskiem swoim przez Radziejów przechodził, w kościele tym stajnię dla swych koni urządzać kazał.

Ani w kościele samym, ani w celach nie znajdujemy nic takiego, coby nam przypominało dawne czasy. W całym gmachu jeden tylko pokój jest sklepiony, nigdzie śladu dawnych posadzek, oddrzwii artystycznych — może dla tego, że gmach przerebiony był na sąd, a później na biuro zarządu powiatowego. Jedynie tylko grubość murów nadzwyczajna i opowiadanie, przechodzące od pokolenia do pokolenia, a zwłaszcza dokumenty hi-



Kościół Katedralny we Włocławku.

historyczne, każą nam wierzyć, że gmach ten stoi już przeszło pięć wieków. W minionym stuleciu był już ów kościółek bardzo bliskim upadku, wewnątrz świątynia owa podpierana była słupami, jedynie tylko przywiązanie do niej mieszkańców, a silna wola obecnego księdza rektora uchroniły ją od zupełnej zagłady. Obecnie przyprowadzona jest do porządku, a u stóp sprowadzonego przed kilku laty obrazu Matki Boskiej Nieustającej Pomocy gromadzą się ludzie, aby wypłakać łzy i ukoić bóle serdeczne. Ilość światła i innych ozdób wymownie świadczy o tem, jaką czcią otaczają mieszkańcy ten wizerunek Marji.

Jest w tym kościele kilka portretów dawnych, był też i wizerunek króla Łokietka; podobno jednak nie przedstawiał żadnej wartości i jest zabieleny wapnem. Pod kościołem znajdują się groby.

Oprócz księży franciszkanów byli w Radziejowie jeszcze inni zakonnicy—pijarzy. Ci aż do roku 1830 utrzymywali szkołę zwaną Kollegjum. Było też kilka kościołów, np. św. Ducha, św. Jana Chrzciela, z których nie pozostało ani śladu. Z ich liczby ocalał dotąd kościół parafjalny pod wezwaniem Wniebowzięcia Najśw. Marji Panny. Jest również starożytny, jak klasztor.

Kościół parafjalny ufundował biskup krakowski Jan Grot, a jeden z mieszczan radziejowskich, nazwiskiem Płuczek, uposażył go znaczną na owe czasy sumą pieniędzy. I ten kościół utrzymany jest bardzo starannie, szczyci się posiadaniem cząstki drzewa Krzyża św., oprawnej w piękny duży relikwiarz.

Piękny widok przedstawia Radziejów w uroczystość Matki Boskiej Różańcowej. W dniu tym z kościoła parafjalnego od dawien dawna wychodzi procesja do pięciu ołtarzy w mieście. Fala ludu zalewa ulice; uroczystość ta wspaniałością swoją przechodzi nawet procesję Bożego Ciała, takie tłumy ludu ściągają na nią nie tylko z wiosek okolicznych, lecz i z sąsiednich Prus.

Ogół mieszkańców radziejowskich cieszy się niezgorszym dobrobytem, zdobywając sobie kawałek chleba uprawą roli, rzemiosłami i handlem. Przypatrzmy się ich pracy bliżej.

Kiedy w innych miejscowościach zdarza się dotąd, że ludzie mają ziemię w dziesięciu kawałkach, do Radziejowa już przed kilkudziesięciu laty sprowadzono geometrę i rozmierzono ziemię tak, że każdy ma swoją posiadłość w jednym kawałku, chyba że później jaki kawałek gdzieindziej nabył. Ziemia tu droga, nie wyzbywają się jej, chociaż o robotnika trudno. W gospodarstwach starają się wprowadzać ulepszenia, używają nawozów sztucznych. Ziemia tutaj nigdy nie ugoruje, bo oddawna zaprowadzono płodozmian. Zato po za miastem w stronę Piotrkowa kujawskiego ciągnie się przestrzeń ogromna wydm piaszczystych, tak zwane „góry”. Piasek z nich do tego stopnia zasypuje ulice miasta, że na najbliższej z nich powierzchnia ziemi jest wzniesiona o pół łokcia nad wysokość podłogi w domach. Ludzie sędziwi utrzymują, że ulica wspomniana ma bruk, ale ten jest przykryty grubą warstwą piasku.

W innej stronie Radziejowa, aż do wsi Próchnowa i Leonowa, ciągną się błota, torfowiska.

Sadzą tutaj bardzo dużo buraków cukrowych, które przynoszą zysk niemały i są wielką podporą dla gospodarzy.

O inwentarz dbają bardzo, krowy czyszczą zgrzeblęm, w gębach wycierają im solą. Trzymają bardzo wiele drobiu i trzody chlewnej; owce wyłącznie prawie hodują dwory. Wielu z gospodarzy zajmuje się pszczelnictwem. Przy każdym prawie domu, tak w Radziejowie, jak i po wsiach okolicznych, znajduje się chociaż niewielki sadek; przy każdym dworze na wsi spotyka się sad z wybornymi odmianami owoców, który właścicielowi przynosi rocznie kilkaset rubli korzyści.

Sady takie są pomocą znaczną dla dworów, a źródłem dobrobytu dla rzemieślników. Latem w Radziejowie mieszkańców zostaje bardzo mało, większość rodzin rzemieślniczych wyprawia się do sadów. Żyda sadownika tutaj się nie spotyka. Zato każdy mularz i szewc z warsztatem przebywa w sadzie; mularze wydzierżawiają sady w takich miejscowościach, gdzie mają spo-

sobność zarabiać mularstwem, a żony z rodziną sadu pilnują. Rodzina liczna rozdziela się i dzierżawi sady w dwóch miejscach.

Oprócz szewców i mularzy są tu i inni rzemieślnicy, jak w każdym miasteczku. Są kowale, ślusarze, rymarze, stolarze, ale tych zaledwie po kilku, gdy szewców naliczyłoby kilkudziesięciu.

Kobiety w chwilach wolnych od zajęć domowych, a zwłaszcza dziewczęta, haftują na tiulu „kopki“, t. j. czepeczki, które sprzedają nie tylko do miasteczek sąsiednich, lecz i zagranicę. Nawet małe dziewczynki obrabiają szydełkiem tak zwane „obszytką“ do czepek w ten sposób zarobkują.

Po innych miastach handel cały trzymają w ręku żydzi, tymczasem w Radziejowie znajdziemy przeszło dziesięć sklepów chrześcijańskich. Wprawdzie dodać należy, że przeważnie właściciele tych sklepów i sklepików mają, oprócz nich, jeszcze inne środki utrzymania, jak gospodarstwo rolne, rzemiosło, lub dostawę jakąś zagranicę. Po wsiach okolicznych również istnieją kilka sklepów chrześcijańskich, np. w Płowcach, w Bieczynie, w Dobrem i t. d. Jatki wołowe i handel łokciowy dotąd znajdowały się wyłącznie w rękach żydów, obecnie jeden z kupców chrześcijan trzyma towary łokciowe. Na rynku „siadurki“ polki sprzedają chleb, owoc, pierniki lub cukierki. Wogóle Radziejów nie robi wrażenia takiego brudnego miasta, jak wiele innych w naszym kraju, najpierw dlatego, że żydów jest niewiele, a powtóre, że nie są tak obdarci i niechlujni.

Bliskość granicy pruskiej ułatwia wychodźstwo do Ameryki, jednak w ostatnich czasach nie jest ono zbyt groźnem. Zwykle po upływie lat kilku wychodźcy wracają i przywożą rodzinie zasilek pieniężny, nieraz nawet znaczny, lecz sami mówią, że w kraju nie chcieliby pracować tak ciężko, jak tam byli zmuszeni. Inni, spędziwszy zimę w próżniactwie, wyruszają z wiosną do Prus na zarobek. Nazywają ich tu wzgardliwie „bocheniarzami“. Niektórzy znajdują pracę tak blisko, że co niedziela przychodzą do swego kościoła, inni zapędzają się w strony odległe, gdzie przez całe lato nie bywają na nabożeństwie. Oni to szpecą język ojczysty, wtrącając doń wyrazy niemieckie, np. „locha“ zamiast dziura, „harnatel“ w miejsce szpilki od włosów, nazywając kamizelkę „wistką“, a szczapę drzewa „kłaftą“. Oni też przynoszą zamilowanie do gry w karty.

Szkoda to wielka, że młodzież kupuje ubranie zagranicą, zarzucając tym sposobem ubiór kujawski, który jest tak piękny. Spódnica fałdzista, zapaska wyszywana, koszula cienka z rękawami bufiastemi, a na niej gorset aksamitny granatowy, obramowany falbanką z wstążki czerwonej i na takąż wstążkę sznurowany. Na szyi korale i paciorki związane na wstążki różnobarwne. Dopełnienie stroju stanowi „pomówiszka“, t. j. chustka perkalowa ponsowego koloru, ułożona nieraz tak zręcznie, że

zakasuje najpiękniejszy kapelusz. Innej barwy chustki żadna kujawianka nie włoży na głowę nawet w dzień roboczy.

Dzisiaj tak ubranej kujawianki nigdzie nie zobaczy. Przed kilku laty bywały w Radziejowie w kościele dwie dziewczyny w stroju kujawskim, ale to były wychowanki jednego z dworów, gdzie pilnowano, ażeby szanowały strój ludowy.

Gospodynie noszą czasem jeszcze suknie jedwabne lub aksamitne. Kaftaniki mają zupełnie luźne, lub z tyłu wpadające do figury, korali dużo; fartuchy jedwabne fioletowe lub szafirowe, do tego rękawiczki, a na głowie kopkę przywiązaną chustką jedwabną wzorzystą. Jest ona duża, lecz złożona bardzo wąsko i nad czołem przekrecona w ten sposób, że tworzy niby węzeł; w rzeczywistości związana jest z tyłu i małeńkie jej końce na kark spadają. Zakończenie ubioru nawet w upał największy stanowi chustka duża, złożona na róg w ten sposób, że na plecach zaledwie do pasa sięga, z przodu nasunięta na głowę, lecz otwarta na piersiach tak, że doskonale widać z pod niej korale i cokolwiek kopki. Dziewczęta noszą się tak samo, z tą różnicą, że bez kopki. W zimie, u kobiet starszych, daje się widzieć jeszcze szubka z sukna granatowego do figury, z kieszeniami w tyle, przybrana barankiem białym i z pelerynką na czerwonej podszewce. Zupełnie podobny formą, tylko znacznie krótszy, kaftanik z takiegoż sukna granatowego był dawniej u kujawianek bardzo pospolitym, a zwano go „kabatem“.

Nie tylko kobiety, lecz i mężczyźni, zarzucają dawne „kieręje“, „buchy“, a kładą marynarki. Starsi jeszcze noszą tak zwane „kaftany“, jest to krótki granatowy spancerek, zapinany na trzy rzędy błyszczących guzików z falbaną u dołu, bez rękawów, które wyglądają zpod spodu czerwone. Kaszkiety noszą tylko mieszczanie. Wieśniacy używają w lecie kapeluszy filcowych z dużym rondem, a płaską główką. W zimie noszą jeszcze dużo rogatywek granatowych ogromnej wielkości, z barankiem siwym. Włosy noszą gospodarze przeważnie nie strzyżone, lecz obcięte równo u szyi. Wąsy i brodę golią zupełnie, nawet młodych rzadko spotyka się z zarostem. Dawniej i kobiety po ślubie włosy obcinały, tak, że promyki ich na karku z pod kopki wychodziły, co nieraz jeszcze daje się widzieć u kobiet wiekowych.

Ochędostwo—to wielka cnota kujawiaków, kobiety nawet przy robocie ubrane chędogo, dzieci również. Czystość widnieje po domach; mieszkania białą po kilka razy do roku, przewietrzają często pościel—w lecie codziennie, a i w zimie na dwór na słońce wynoszą, co jest bardzo zdrowo. Przed domami poumiatane, garnki poszorowane aż się świecą. Kubełki do wody także na dworze suszone i nadzwyczaj czyste. Są naturalnie i kobiety brudasy; u takiej garnki dla oka ludzkiego na półce błyszczą, ale jeden, w którym codziennie gotuje, brudny pod piec się chowa.

Pomimo ogólnego zamięszania porządku, mieszkańcy Radziejowa nie dawniej, jak przed paru laty, zdobyli się na urządzenie łaźni, a i z tej, niestety, mało kto korzysta.

Ludzie tutaj uczciwi — złodziejstwo zdarza się rzadko. Mieszkańcy na klucz nie zamyka, chyba odchodząc na parę godzin, pościel nawet w czasie jarmarków wisi na dworze, a nikt jej nie ukradnie. Pożyczają sobie pieniądze na słowo i oddają bez sprzeczek i gniewu, choć zwykle na wysoki procent. Czasami zatargi o sąd się opierają, ale i tu nieraz kończą się zgodą.

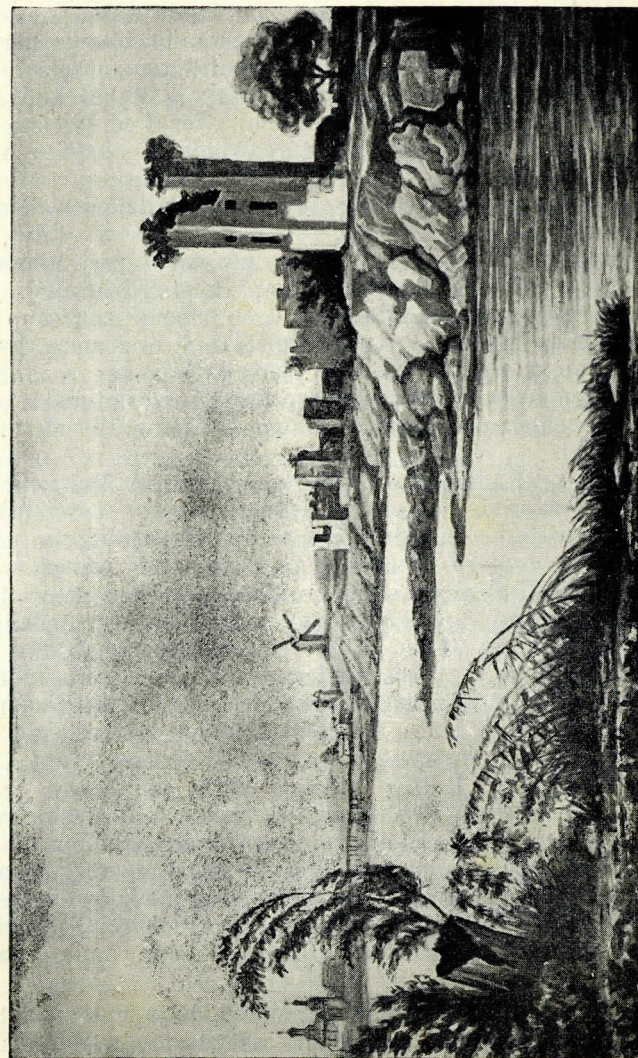
Moralność w Radziejowie stoi na wyższym stopniu, niż w innych okolicach. Zepsucia wśród młodzieży i dziewcząt mniej. Rodzice chowają dzieci w karności, to też dzieciaki bawią się na rynku i po ulicach, lecz nie zaczepia nikogo; nie słychać, jak to bywa gdzieindziej, klątwy, przezywań, słów brzydkich.

Dawniej była w Radziejowie szkoła ogólna. W r. 1892 utworzono oddzielną szkołę dla dziewcząt. Ludzi nieumiejących czytać jest tu bardzo mało. Gospodarze po wsiach i rzemieślnicy w miasteczku czytają „Zorzę“ i „Gazetę Świąteczną“. Jak u rzemieślników, tak i u gospodarzy, spotyka się po domach po kilka lub więcej książek.

Ludzie tutaj żyją w dobrych stosunkach. Lud wesóły, towarzyski; lubią zbierać się na pogawędki przed domem, przed kościołem. A jednak kiedy jeden z nich, sołtys, założył herbariarnię prywatną, sprowadził do niej różne gry, np. domino, loteryjkę, zaprenumerował „Gazetę Świąteczną“ i „Zorzę“, zbierał od znajomych dawne roczniki „Biesiady Literackiej“, — mieszkańcy Radziejowa nie zrozumieli jego dobrej woli i nie czuli się w obowiązku podtrzymania owej gospody. Rzecz nowa dziwną wydała się ludziom i stronili od niej, pomimo, że urządzona była bardzo ładnie. W dwóch czystych pokojach na ścianach widniały obrazy z dziejów ojczyстых, a na przednim miejscu wizerunek patronki naszej, Marji Jasnogórskiej. Właściciel, nie mogąc tracić dochodu z mieszkania, założył sklepik, chociaż pierwotnie zupełnie nie miał tego zamiaru. Teraz dopiero sąsiedzi bliżsi i dalsi zrozumieli, że trzeba dać mu zarobek i przychodzą po sprawunek, ale gospoda straciła swoje znaczenie pierwotne, chociaż podobno niezupełnie: uczęszcza do niej kilku z młodzieży, a młodzież ma to do siebie, że pociąga innych, więc dobrym zamiarom szczęść Boże!

Zwykle tam, gdzie zarzucają dawne ubiory, zarzucają też i zwyczaje odwieczne; w okolicy Radziejowa i wogóle na Kujawach wiele zwyczajów dawnych utrzymuje się dotąd. I tak np. w wielkim tygodniu żadna rodowita radziejowianka nie włoży kapelusza na głowę, wszystkie przychodzą na obrzędy wielko-czwartkowe, piątkowe i sobotnie w szalikach na głowie. Po ostatek usuwają z domów wszelkie kwiaty, bukiety, ubierają się skromniej, po kościołach obrazy zasłaniają, chowają chorągwie i t. d. Zato w święta Zmartwychwstania Pańskiego wesóło w miasteczku; od rana wszystkie zakątki miasta z bębniem ob-

chodzą i bębniem na rezurekcję nawołują. Popołudniu na tak zwanych „górach“ za miastem pełno bywa młodzieży; tu wyrostki bawią się w palcaty, tam dziewczęta w ptaszka lub w śle-



Jezioro Gopło.

chodzą i bębniem na rezurekcję nawołują. Popołudniu na tak zwanych „górach“ za miastem pełno bywa młodzieży; tu wyrostki bawią się w palcaty, tam dziewczęta w ptaszka lub w śle-

pą babkę. Przynoszą także jajka malowane, kulają je, t. j. spuszcza ją z górki każde po jednym jajku. Czyje jajko nie stłuczone, ten wygrywa wszystkie inne.

W pierwsze święto Wielkiej Nocy, wieczorem, w kilku punktach miasta na podwyższeniu, np. na drzewie lub na dachu, staje chłopak i obwołuje, które dziewczęta służące mają być na zajutrz oblane wodą. Mówi mniej więcej w ten sposób: „Zośka od nauczyciela brudno chodzi, trzeba na nią kubeł wody, funt mydła i ręcznik; lecz niech się nie boi, Józef od księdza za nią stoi, to ją obroni“. O innej znów opowiada, że czysto chodzi, więc trzeba na nią tylko flaszeczkę wody kolońskiej. W ponie-działek jest dyngus chłopców, za to we wtorek dziewczęta mszczą się na nich.

W wigilję Bożego Narodzenia, po wieczery, dziewczęta wybiegają na podwórze, wołając: hop! hop! gdzie mój chłop? Z której strony echo się odezwie, w tę stronę zamąż pójdzie. Przed pasterką młodzież chodzi po ulicach i za pomocą gwizdawek naśladuje głosy zwierząt lub płacz dzieciątka.

W dzień świętego Szczepana rzucają jeszcze owsem, w czasie zapustu chodzą po domach z kozą, przebierają się za cyganów i t. d.

O milę od Radziejowa leży wieś Dobre. Tu zwyczajem odwiecznym w środę popielcową starsze kobiety wyściełają wóz słomą, okrywają białymi prześcieradłami i zajeżdżają po mężatke, która dopiero w ubiegłym karnawale zamąż wyszła. Choćby się niewiem gdzie skryła, odszukają ją i musi jechać z niemi do karczmy, lub też w domu wykupić się pieniędzmi.

Żenią się tutaj młodo. Kawaler po dawnemu swatów przysła z zapytaniem, czy mu rodzice starać się o córkę pozwolą, swatowie układają się z rodzicami o majątek. Niesłusznem jest przysłowie: „Worek mąki, dzban maślanki — cały posag kujawianki“. Owszem, kujawiacy trzymają się zasady, że: „urodą kapusty nie okraszą“ i dają dzieciom wiano jak należy, dlatego też przed ślubem robią zwykle umowę pisaną (interczyję). Wesele poprzedzane bywa „pierścionkami“, czyli żarczykami. Te odbywają się zawsze w sobotę przed pierwszą zapowiedzią, a główną, nieodzowną potrawą na nich są pierogi nadziewane serem.

Zaprosiny na wesele odbywają się uroczyste; drużbowie obchodzą gości z wierszowaną oracją, którą kończą w ten sposób:

„A wy druchny, druchniczki, czyściecie dobrze trzewiczki,
Abyście pannie młodej nie zrobiły wstydu przed Majestatem.
A wy młodziuny, obcinajcie kołtuny.
Niech będzie pochwalony!“

U gospodarzy zamożniejszych nie zdarza się to, lecz u rzemieślników panna młoda po ślubie objeżdża lub obchodzi ze star-

szym drużbą gości poprzednio zaproszonych i jeszcze raz ich zaprasza, gdyż na ślubie w kościele bywa tylko rodzina i najbliżsi znajomi. Wesele nie trwa krócej niż dwa dni, bawią się bardzo ochoczo i przestrzegają zwyczajn, że najprzód tańczą mężatki, a później panny. Bardzo rzadko wprawdzie, ale jednak czasami odbywa się jeszcze według dawnego zwyczaju wesele z „gaikiem“ na stole. „Gaik“ jest to choinka ubrana tak samo, jak na Boże Narodzenie, świecidlami i łakociami. Czasami jeszcze przed panną młodą dwie małe dziewczynki niosą za rogi chustkę do nosa.

Przed wyjazdem do kościoła starszy drużba ma przemowę do państwa młodych i nieraz bardzo rozsądnie tłumaczy przyszłym małżonkom ich nowe obowiązki. Na znak swego urzędu ma on ręcznik wyszywany, przewieszony przez ramię i spięty na boku, a w rękę lub zatkniętą w kieszeni od kamizelki dyscyplinę. Podczas uczty weselnej drużbowie obowiązani są zabawić gości, przynosić na stół potrawy, przyczem opowiadają różne przygody, z jakimi kucharka daną potrawę gotowała, np. jak kucharcze mąki zabrakło i młynarza gonić musiała. Drużba także zbiera dla kucharki, a często, oddając jej pieniądze, płata różne figle. Zwykle siedzą przy oddzielnych stołach mężczyźni i kobiety, czasem nawet mężatki i panny osobno. W Radziejowie u rzemieślników po oczepinach, które odbywają się przy stole, panna młoda zarzuca welon na ulubioną towarzyszkę, a u gospodarzy po wsiach welon i wianek posyła na talerzu jako podarek panu młodemu. Pan młody zabiera wianek, a na talerz kładzie kilka rubli i posyła swej oblubienicy. Czasami panna młoda posyła jaki przysmak z gaika i za to również obdarzoną bywa przez pana młodego pieniędzmi.

Na chrzciny także sprasza gości, przyczem gospodarze uważają sobie za uchybienie prosić w „kumotry“ kogoś obcego, nie należącego do rodziny. Ubożsi wieśniacy i rzemieślnicy nie stosują się do tego. Kumotrów bardzo szanują i tak samo, jak gdzie indziej, uważają za bliskich powinowatych. Czasami nawet przez grzeczność sąsiada tytułują kumotrem, a sąsiadkę — kumoszką. Dziecko, jeżeli chce oddać szacunek starszej kobiecie obcej, odzywa się do niej: „Moja chrzestna“. Na chrzcinach bywa także kolacja z kilku potraw złożona. Po powrocie z kościoła matka chrzestna powinna wypić pełen kieliszek wódki, żeby chrześniak był pełny, t. j. tłusty, co oczywiście żadnego sensu nie ma. Dziecku na szczęście wódki nie dają. Nazajutrz matka chrzestna powinna odwiedzić chrześniaka, gdyż inaczej nie będzie mógł nosa utrzymać w porządku.

Takich niemądrych przesądów mają na Kujawach bardzo wiele. Np. jeżeli gospodyni chce, aby jej kwoczki dobrze na jajkach siedziały, powinna w wigilję Bożego Narodzenia jaknajmniej się krzątać, a przynajmniej z domu nie wychodzić. Wdzień

Bożego Narodzenia jarmuż jeść trzeba, ażeby rok był wesoły, w ostatki prac, żeby na mleku było dużo śmietany; tyle właśnie ile „burzowin“ w balji. Zato w Wielkim tygodniu prac się nie godzi nic z pościeli, gdyż dzieci konwulsji dostać mogą...

Kujawiacy lubują się w pięknych koniach. Ładnej upręży i wózkach. Są bardzo gościnni. U niejednego z gospodarzy znajduje się butelka wina, a jeżeli gość sercu miły, to niewiadomo kiedy zdążą przygotować coś z drobiu. Na odpusty robią ogromne przygotowania po domach, bielą mieszkania, ciasto pieką, zabijają „świniuchę“. Znajomych lub krewnych, spotkanych w kościele, zabierają do siebie na obiad.

Sami odżywiają się dobrze. Potrawą, którą spotyka się po chatach i po dworach, w warsztacie rzemieślnika i na plebanji jest „żur“, czyli barszcz stawiany na żytniej mące i kraszony słoniną. W poście, a czasem i przy słoninie zalewają go trochę mleka; podawany na weselach u gospodarzy bywa zaprawiany śmietaną i żółtkami. Jak w dzień powszedni żur, tak w święto nieodzowną jest czarnina. Gospodynie i rzemieślniczki gotują ją z kaczek, wyrobnice rosół wieprzowy zaprawiają juską wieprzową. Każda wyrobница, idąc po mięso, bierze też garnuszek na juskę. Na post mają potrawę bardzo smaczną i zdrową, zwaną „kwaskiem“. Jest to kwas z kapusty, dobrany wodą i kwasem z buraków. Zarzucają go kluskami. Jest on bardzo smaczny, „sto razy zdrowszy od zacierki z octem. Chleb dla uboższych jest przysmakiem, jadany nie zawsze, lecz zato jałają, oprócz wyżej wspomnianych potraw, kaszę jęczmienną lub zacierki żytnie z kartoflami, zalane mlekiem. Zużywają też wiele nabiału i owoców. To też dziatwa tutejsza czerstwa, rumiana, wyrasta na lud krzepki i zdrowy. Jeśli kto zachoruje, nie obawiają się wezwać doktora, lecz coraz więcej garną się do niego.

Do zdrowotności ludu przyczynia się niemało ta okoliczność, że każda rodzina ma oddzielne mieszkanie. Gdyby jeszcze nie palili w nich suszonym krowieńcem i torfem, z którego swąd tak strasznie zanieczyszcza powietrze! Dążeniem każdego rzemieślnika jest dorobić się choćby jednej tylko izdebki własnej, żeby komornego nie płacić. Zamożni gospodarze budują domy z cegły palonej z dużymi oknami, z ganeczkiem, z oddzielnym wejściem do kuchni, po wierzchu nietynkowane. Dla uniknięcia wilgoci dają warstwę izolacyjną z papy smołowej. Podłogi w niektórych pokojach zaciągane olejno, piece ładne. Ubodzy budują domy z surówki, a częściej jeszcze stawiają je w jaskółę, t. j. lepią wprost z gliny zmieszanej ze słomą lub nawozem. W domach takich ma być nadzwyczaj ciepło, a jeżeli podczas budowy nie namiękną, to i wilgoci w nich niema. Trafia się tu bardzo często, że jeden dom ma dwóch lub więcej właścicieli. Pochodzi to stąd, że rodzice, wydając córkę za mąż, uważają sobie za obowiązek zapewnić młodemu stadłu dach nad głową. Naturalnie,

nie wszystkim się to udaje. Zato po wsiach gospodarze oddają majątek najmłodszemu synowi, który obowiązany jest spłacać rodzeństwo. Spłaca mniej, niżby wypadało podług szacunku, ale zwyczaj jest tak wkorzeniony, że żadne z dzieci pretensji nie ma. Rodzice, po oddaniu majątku synowi, idą „na chleb“, t. j. otrzymują w dożywocie mieszkanie, oraz pewien wymiar zboża, kartofli i t. d.

A oto jeszcze jeden szczegół, świadczący dobrze o mieszkańcach Radziejowa: to pomnik, wzniesiony ich kosztem na cmentarzu grzebalnym zasłużonemu proboszczowi tutejszemu ś. p. księdzu Janowi Brożkowi, zmarłemu przed paru laty.

Śczęśliwy, czyja pamięć żyje wśród ogółu, lecz nie wszystkim się to udaje, bo też nie wszędzie tak, jak w Radziejowie, ludzie cenią tych, którzy pracują dla dobra społeczeństwa. Jest to wielka cnota i, daj Boże, żeby jaknajbardziej szerzyła się na naszej ziemi.

Kujawianka.



Z krwawych dni.

Mróz ścisnął ziemię; w jaskrawych promieniach zimowego słońca migotały śniegowe pyłki. Wisła mknęła cicho pod okuciem lodów, a pola spały, grubo śniegiem okryte.

Jednak stolica Piastów, Sandomierz, nie spoczywał w tej zimowej dobie. Ruch był w mieście niezwykły, choć na zamku grodowym nie gościł nikt z książęcej rodziny. Mieszkańcy snuli się po ulicach; niewiasty w bogatych futrach, rycerze opończami okryci, zakutani w wilczury mieszczanie i kmiecie w tęgich kozuchach, w czapach baranich wysokich, na uszy nasuniętych.

Tłum płynął jak woda, w powietrzu brzmiały dzwony. Z zamkowej góry wołała spżowym głosem Kolegiata; opodal dźwięczał srebrzyste dzwonek z dominikańskiej dzwonnicy; dalej odzywał się kościół parafjalny św. Pawła, a z drugiej strony miasta zapraszała także w swoje podwoje kaplica ojców Duchaków. Nawet stary modrzewiowy kościółek św. Jana, pierwsza chrześcijańska świątynia w tym grodzie, głuchym, chrapliwym dzwonem wołał na ludzi: „Chodźcie, śpieszcie! wy wszyscy smutni, stroskani, spracowani. Tu znajdziecie ukojenie i pociechę, tu czeka was spokój“.

A stroskany i niespokojny był cały ten tłum taki liczny, taki różnorodny; troska widniała w obliczach mężów, łzy błyskały w oczach niewiast.

Bo za murami i ostrokołami rozciągał się obraz niezwykle, a groźny: gorzały ognie, snuły się dymy, roily się mrowie olbrzymich dzikich, ciemnych postaci w spiczastych czapkach, w kozuchach na wywrót wdzianych. Rżały i gryzły się zdzi-
czone konie, ryczały trapiione zimnem wielbłądy garbate, całe
stada wołów i owiec; skrzypiały przeraźliwie niezliczone wozy
i telegi, lecz ponad wszystkim górował dziki wrzask ludzki.

Wrzask dzikszys, okropniejszy, niż odgłosy bezrozumnych
zwierząt!

Mongolska to horda, przedzierając się ku Węgrom, za-
padła pod miastem...

Sandomierz zamknął bramy, gromadził rycerstwo i sta-
nął w gotowości do obrony. Choć najeźdźców była chmara,
a obrońców garść drobna — wszyscy obiecywali walczyć upo-
rczywie, z zaciętością, jaką rodzi rozpacz — bo wszyscy znali
okrucieństwo tego dzikiego wroga. Wielu z nich pamiętało
krwawy rok i pochód Batu-chana: zniszczony Kijów, spusto-
szony Kraków, klęskę Lignicką, rozgrom pod Chmielnikiem,
spalony Lublin, Opole, Zawichost... Wtedy i przez Sandomierz
przeszła horda jak płomień, zgłiszcza i pustynię zostawiwszy
po sobie.

Mężny i roztropny starosta grodowy, Piotr z Krempy,
wiedział, że od dzielności obrony zawisło życie kilkunastu
tysięcy mieszkańców miasta i ziemian okolicznych, którzy
wraz z rodzinami schronili się do Sandomierza przed mongol-
ską nawałą.

Obleżenie prędko uprzykrzyło się Tatarom. Lud ten dzi-
ki, lecz wojowniczy; zwykł był uderzać nagle, jak piorun, po-
rywać grody i niszczyć. Wyéwiczony w bojowej sztuce i kar-
ności przez sławnego władcę swego, Dżengis-chana — ujarzył
Chiny i z azjatyckich stepów ruszył na podbój Europy. Lubo
znali Tatarzy sposoby wojowania lepsze niż ludy Europy, choć uży-
wali już maszyn do rozbijania murów, a nawet i proch nie
był im obcy — przy grodach warownych szybko wyczerpywała
się ich cierpliwość. Więc Telibóg i Nogaj skłali posłów do
starosty. W hordzie było różnorodne rycerstwo, bo każde
podbite pieczę, dobrowolnie czy z musu, powiększało bojowe
siły Tatarów. Pod Sandomierzem byli wraz z hordą Prusacy,
Litwini, Kumani; byli i Rusini. Ich książęta Wasilko wło-
dzimierski, Roman i Leon haliący — posłowali do starosty Pio-
tra z Krempy. Obiecywali w imieniu wodzów, że, jeżeli miasto
upokorzy się przed chanem i złoży odpowiedni haracz — horda
ustąpi i pójdzie dalej ku Węgrom.

Otrząsała się dzielna dusza starosty na taką mowę. I on
i brat jego Zbigniew, i ta garstka rycerstwa, która go ota-
czała, woleliby raczej ginąć z orężem w ręku, w zapale walki

rabiać i bijąc wrogów, niż z pokorą schylać głowę przed dzi-
kim pogańcem i żebrać o haniebny pokój.

Lecz za tą garstką walecznych stał tłum niewiast, dzieci,
starców; stały kościoły poświęcone, z których dzicz odarłaby
ozdoby, splugawiła ich świętość; stali duchowni i zakonnicy,
nie umiejący walczyć orężem.

Więc Piotr z Krempy głęboko rozważał namowy pobra-
tymców, ugaszczając ich w świetlicach grodowego zamku.

A tymczasem rycerstwo czuwało przy ostrokołach i mu-
rach — lud zaś płynął do świątyni. Wszak jutro Gromnice —
święto Oczyszczenia, jedno z najdawniejszych w chrześcijań-
skim kościele. Ołtarze gorzały od woskowych świec, jęczały
dzwony, lud korzył się przed Panem z błaganie i trwogą.

I w zamkowej kaplicy gorzało także światło przed łas-
kami słynącym posażkiem Pana Jezusa. Chrystus z obliczem
boleściwym, uwieńczony cierniem, z szat odarty — spoglądał li-
tośnie na młodziutką niewiastę, która, krzyżem leżąc na ka-
miennej posadzce, jęczała i łkała.

To córka starosty, Halina, od niedawna małżonka męż-
nego Jaska Pilawity. Córa i wnuka rycerzy, męstwo ze krwią
rycerską miała w żyłach, nieraz wraz z młodym małżonkiem
stawał przy ostrokołach i celnie a sprawnie szyła strzałami
w tłum dziki, i mieczyk dźwigała w potrzebie, bo rozumiała
rycerską sztukę. Czula się silną, bezpieczną pod błogosławioną
pieczę świątyni i Tego Jezusa Miłosiernego, przed którym już
od wieku płynęły modlitwy i łzy dostojnych i prostaczków;
przy boku ojca i męża, wśród dzielnego rycerstwa. Z nimi,
przy nich radaby żyć — lecz i umrzełby potrafiła. Dziś jednak,
pełna niepokoju, łzy wylewała w ukryciu — w cichości.

Wiedziała, że ojciec przyjmuje posłów, że nad tem myśli,
o to zabiega, aby miasto uchronić od zniszczenia, mieszkań-
ców od niewoli lub śmierci. Wiedziała, że wszyscy ufają jego
przezorności i doświadczeniu.

Czemuż jednak ona tak się lęka tych układów? Tak bar-
dzo wstydliwem jest to upokorzenie przed dziećmi — że na-
wet... lubo zaledwo z dzieciństwa wyszła, zaledwie zakoszo-
wała słodyczy miłości — wolałaby raczej iść wśród swoich na
przebój w te ciemne, wyjące, niezliczone tłumy, niż czekać
ich łaski, niż kupować życie kosztem hańby. Ha, białogłowa!
„Włos długi, lecz rozum krótki“! Tak powiedział umiłowany
ojciec. Jenó, oprócz rozumu, ma ona przecież i serce. A to
serce gniecie dziś taki smutek ciężki, taka dziwna trwoga, że
nawet nie poszła za swoją starą Wiesławą na nieszpory do
miasta, lecz tu cisnęła się czołem w proch przed Panem Jezu-
sem i jęczy — i płacze.

W izbie zaś zamkowej posłowie rozprawiają ze starostą
i rycerzami. Ogromny Wasilko, w spiczastą czapkę i sobolową
szubę odziany, uderzył po mieczu i mówił:

— Nie zdzierżycie, starosto! Tam siła ludu, bez liczby, a was tu garść. Czapkami zarzucim!

— My wam groty odrzucim—odparł Pilawita. Leon potakiwał.

— Godna rzecz, męztwo, godna! Lecz i rozum i chytróść takż nie do pogardy.

— Gdzie nie można przejść, tam trzeba podleżeć—objaśnił Roman, śmiejąc się i błyskając oczyma.

Starosta podejrzliwie spojrział na kniazia.

— A czy to nie chytróść mówi przez usta wasze? — pytał. — Kto da pewnoś, że horda obietnicy dotrzyma? nie zdradzi?

Książęta podnieśli się hardo; wydeśli dumnie usta i trzasnęli w miecze.

— Macie naszą porękę i bojarskie słowo. Toż wiecie, że i sami musimy pełzać i słuchać, bo jeszcze nie urosła nam siła, aby deptać i bić.

Ząb zgrzytnął o ząb, z oczu sypnęły skry.

— Wy czynicie tak samo, zanim w siłę porośnięcie.

Wstrętne to były rady, choć widniała w nich szczeróść. Wasilko dodał:

— Pomnijcie, starosto! Krew niewiast i dzieci, zniszczenie bogatego miasta na wasze spadnie sumienie. Pieniądze wydasz, lecz i zebrać je znów możesz, nawet i więcej. Żywotów ludziom nie powrócisz.

— I hańby nie zmyjesz — odparł Piotr posępnie.

— Chyba krwią — odparł Pilawita.

Książęta podnieśli się z ław, okrytych kobiercami.

— Wola wasza! — rzekli. — My dopomóżd chcieli, jak braciom.

I do powrotu się zbierali.

Starosta odetchnął głęboko, na piersi leżał mu jakby kamień grobowy. Odsunął okno i chwycił powietrza ustami. I ujrzał rzeszę ludzką, jak z kościołów dążyła do swoich domostw. Widział niewiasty w kwiecie wieku, i starców bezsilnych, i dziatki podrosłe, pokornych kmiotków i bogato przybranych mieszczan. Los tego ludzkiego mrowia zawisł od jego postanowienia. Jeżeli on przełamie swoją dumę, uniży dostojną głowę przed najeżdzcą—to jutro tłumy wybuczną radością, pieśnią, jutro uderzą dzwony, a w świątyniach księża zanucą dziękczynne pieśni. I cały ten lud chwyci się pracy, będzie żył, płodził życie, zdobywał dostatek, hodował obrońców, gromadził siłę. Siłę—która później, kiedyś—kiedyś zgniecie Mongołów, jak przewidywał kniaz Wasilko.

Jeżeli zaś uporeczywie stanie przy poczuciu obowiązku i czci rycerskiej, jeżeli rzuci się do walki z przemagającą siłą?

W oczach Piotra zawirował tuman czerwony: mord, pożoga, krew...

Przysłonił dłonią oczy.

— Książę — zawołał za odchodzącymi. — Jutro przyjadę do taboru... zapłacę haracz..

Pochylił głowę, zasromany ciężko.

— Mądrze uczynisz, starosto! Chan czekać cię będzie. Jutro horda ustąpi.

Posłowie odeszli, przeprowadzani przez straż aż za miasto, rycerze milczeli przygnębieni, chmurni. Znali trudność obrony, ale w każdym sercu tkwiła nadzieja, że podolają zadaniu, i ta godność rycerska, którą oburzało upokorzenie przed wrogiem.

Starosta, patrząc na chmurne oblicza, mówił:

— Zostańcie, rycerze, w grodzie i przy murach. Sam pojadę do obozowiska, sam spełnię tę czarę hańby. Dla dobra miasta... dla dobra tej ziemi...

— Ja z tobą, Piotrze! — zawołał zapalczywie Zbigniew.

— I ja, ojczel — dorzucił młody Pilawita.

Starosta skinął głową—lecz nagle zwrócił się do Jana.

— A Halina? — zapytał.

Młody rycerz zawahał się chwilę — ogarnął go niepokój o młodą żonę—lecz, pomyślawszy, rzekł:

— Halinę z Wisławą zawiodę do kryjówki, gdzie będzie bezpieczną. Gdy zaś czerń ustąpi, odwiozę do Krempy. Tam w borach i Tatarzyn nie najdzie.

Wczesny zmrok zimowy padł na ziemię. Ogarnął zwolna wieżycę świątyni, szczyty gmachów, drzewa w szronowej ozdobie; zaległ bogate komnaty i nędzne izby, wpelznął aż w serca ludzkie.

W mieście głucho było i ciemno; z tatarskiego taboru niósł krzyki, dziką muzykę i gęste dymy, które jak chmura czarna zawisły nad miastem.

Zawisły i przesłoniły przed znękanem okiem ludzkim gwiazdziste niebo i... nadzieję. Świt szary zmagal się jeszcze z ciemnością nocy, gdy w kościele dominikańskim św. Jakóba zadzwieczał dzwonek. I wnet do chóru zakonnego, jedna za drugą, zaczęły sunąć białe postacie. Z kagankiem w dłoni szli cicho zakonnicy, jak widma blade, na jutrznię, aby uwielbieniem Marji, szczególnej Opiekunki zakonu, rozpocząć uroczystość dzisiejszą. W pomroce migotały mdłe światelka, a pod strop wyniosłej świątyni płynął śpiew. Wielebny Sadok, przeor, i 48 kapłanów, braciszków, nowicjuszków, składało w on dzień pamiętny konwent sandomierski.

Modlili się żarliwie. Duch Jacka Odrowąża, pierwszego krzewiciela zakonu w ziemiach polskich, unosił się nad nimi, przenikał ich dusze, zapalał świętą żarliwością. Zaledwie

przed trzema laty ten umiłowany sługa Boży opuścił ziemię dla nieba; lecz cudotwórcza jego potęga i miłość czuwała wciąż nad bracią zakonną, nad ukochaną ziemią. Za jego przyczyną i teraz Bóg dzwigał ducha zwątpiałych.

Dominikanie odśpiewali jutrznię; już bledy dzień zimowy zaglądał przez wysokie okna świątyni, gdy na podwyższenie w środku chóru wstąpił młodzieńczyk biały, o twarzy dziewczycy i spojrzeniu dziecka. Otworzył księgę świętą, aby odczytać zgromadzeniu imię i żywot Świętego, pamiątkę którego dziś obchodził kościół.

Spojrzał—i bledy, niemy, zdumiony przywarł oczyma do pergaminowych kart księgi.

A przeor, bracia zakonni, nowicjusze—czekali w milczeniu na rozpoczęcie zwykłego czytania. Czekali daremnie: młodzieniec stał na wzniesieniu biały i nieruchomy jak posąg, płonące oczy wbił w księgę, lecz—milczał.

— Marku!—ozwał się przeor Sadok—czekamy. Niech usta twoje oznajmiam nam, który ze świętych oręduje dziś przed Panem za grzeszną ziemię.

Głos jasny, choć drżący, popłynął ze wzniesienia: „Czterdziestu dziewięciu męczenników w Sandomierzu.“

Głębokie milczenie zapadło po tej wieści z nieba—milczenie zachwyty, trwogi, zdumienia. Jedni oniemieli z przerażenia, drudzy — z pożądania korony męczeńskiej, pożądania tak niezwykłego w owych wiekach żywej wiary, gorącej miłości i tęsknoty do nieba. Sadok podszedł ku nowicjuszowi, który ciągle zdumiony i drżący wpatrywał się w księgę. Spojrzał i przysłonił oczy: na pożółkłym pergaminie błyszczały ogniste wyrazy, wygłoszone przed chwilą: „Czterdziestu dziewięciu męczenników w Sandomierzu.“

— „Cenną jest przed Bogiem śmierć Świętych Jego“ — powtórzył Sadok słowa psalmu.—Bracia, święty nasz ziomek, Jacek Odrowąż, wyjednał nam u Pana wskazówkę, on nam uprosi i łaskę, abyśmy śmierć męczeńską przyjęli mężnem sercem i ochotnym umysłem. Niech wola Pana będzie błogosławiona.

Któż zdoła pisać burzę uczuć, żalu, trwogi, pragnienia, uniesień i wstrętów, jaka zatrzęsała sercami synów ś-go Dominika w tej przedśmiertnej godzinie? Może wśród nich niejeden wołał do Ojca o odwrócenie kielicha męki? Za godzinę niedługo, może wcześniej, wypadnie plugawa dzicz, jeśli uderzą w niebiosy, na mury bryźnie krew.

Ludźmi byli... życie w obec śmierci drży, przerażone tym końcem nieuniknionym, ciało przed męką cofa się ze wstrętem. Ludźmi byli... wszak i Pan, Najświętszy i bez winy, upadał krwawym potem zlany, zmagając się w Getsemańskim sadzie.

Ale jest potęga, która trwożliwych czyni mężnymi, a słabych silnymi. Więc Sadok na ołtarz wniósł Tego dawcę otuchy,

siły, wytrwania. Zasileni Chlebem Żywota, czekali z poddaniem spełnienia woli Bożej.

A wdali zaczęły podrywać się jakieś gwary, jakieś przerażone okrzyki; zadzwieczyły krótko, rozpaczliwie, dzwony szarpnięte gwałtownie i... zamikły. Natomiast podniósł się wrzask dziczy, rósł, potężniał w chór nieludzki wycia, jęków, szaleństwa. Uderzał w niebiosy przerażeniem i skargą — wracał na ziemię, aby umilknąć w okropnym charczeniu konania.

— Otworzyć bramę klasztorną—rozkazał przeor—roztwożyć podwoje kościoła, niech poganin na nas wyleje swoją dzikość, niech oszczędzi świątynię.

Brat Tomasz spełnił wolę Sadoka; słudzy wojującego kościoła z modlitwą na ustach zwalczali ostatnie ludzkie trwogi i czekali przejścia chwalebnego do zwyciężkich zastępów niebieskich.

Przejścia przez krew, — zwycięstwa przez śmierć.

Zatętniało: wrzask dziki napełnił świątynię; lecz jednocześnie z czterdziestu dziewięciu piersi popłynęła ku niebu pieśń ostatnia, pieśń prośby i uwielbienia „Salve Regina“.

Błysnęły noże, trysnęła krew męczeńska, padały ofiary przed Marji ołtarzem...

W okrutnem oczekiwaniu męki jedno serce młode zwątlila trwoga, jedna dusza słaba uległa wstrętem ciała. Nieprzytomny z przerażenia nowicjusz wpadł na chór i tam ukryty patrzył na krwawą scenę mordu. Z początku widział tylko błysk nożów, krew płynącą; słyszał jęk ofiar i zwyciężkie okrzyki dziczy. Coraz mniej białych, klęczących postaci, coraz więcej krwawych, zeszpeconych trupów. Lecz słodki a potężny hymn ku czci Marji wciąż płynął, pełen niebiańskiej słodyczy.

Żal ogromny ścisnął serce młodzianka, zapragnął gorąco oglądać Pana...

I nagle pod noże mongolskie schyliła się jeszcze jedna głowa — młoda, blada, pragnieniem nieba tęskna głowa. A gdy padała przed ołtarzem zmiażdżona i krwawa, usta jej szeptały jeszcze zachwytem: „O łaskawa, o litościwa, o słodka Marjo!“

Tatarzy, przerażeni tym niemilknącym hymnem mordowanych, spieszenie opuścili kościół, nie tknąwszy niszczącą ręką murów, tylko co uświęconych męczeństwem. Światłością otoczone, zostały tylko zwłoki krwawe; duchy błogosławione uleciały w Niebo, z kądem patrzą nieustannie na rodzoną ziemię.

Co działo się przez ten czas w oblężonem mieście? Starosta, według umowy, rankiem, w towarzystwie brata i zięcia udał się do taboru Mongołów, aby opłacić złotem i poniżeniem życie mieszkańców i całość miasta. Mieszczanie, uwiadomieni o układach, spokojnie oczekiwali oswobodzenia z ciężkich oparów. Jaki taki ładował złoto i srebro, aby złożyć żądany okup. Wyglądali niecierpliwie powrotu Piotra. Zaledwo jednak mały

orszak starosty znikł w olbrzymim obozowisku, tłum dziczy rzucił się ku bramom i ostrokołom. Rycerstwo podchwyczone niespodzianie, ledwo zdążyło odeprzeć napad, gdy nagle wrzask olbrzymi buchnął jak płomień pod niebiosą i ucichł, zduszony zgrozą, jak niknie płomień wodą zalany. Wyteńczyły się oczy, zamarły głosy, skamienieli ludzie. Oto z pośrodku obozu wysunęła się szalonym pędem gromada dziczy, niosąc poszarpane, odarte, krwawe ciała posłów, ciała męźnych wodzów rycerstwa: Piotra z Krempy, Zbigniewa i Jana Pilawity...

Zanim straża przy bramach oprzytomniała, już pogaństwo, jak wezbrana rzeka, rozerwało obronne tyny i zalało miasto.

I rozpoczął się jeden z tych dni okrutnych, piekielnych, wściekłych, o których pamięć przetrwała wieki—lecz grozy których ludzka mowa opowiedzieć nie zdoła. Bo nie ludźmi były te istoty, pławiące się we krwi, chciwe jęków, łez, ognia i zniszczenia; nie zwierzętami, bo zwierzę jest mniej dzikie i okrutne, niż zwyrodniałą człowiekiem. Szatani to chyba, których rozpętało piekło na pognębienie ziemi.

Legło ludne i bogate miasto: spłonęło jak stos pogrzebowy, krew strumieniem wezbranym płynęła do Wisły.

Horda ze sprzymierzeńcami poszła dalej: Sandomierz pokryła cisza zniszczenia i śmierci. Lecz wnet z kości pobitych, ze krwi męczeńskiej poczęło się odradzać nieszczęśliwe miasto. Z pierwszym tchem życia wróciła pamięć okrutnego dnia mordu i serdeczne pragnienie, aby kościół uczcił pamiątkę ogólnego męczeństwa. Miechowita kronikarz wspomina, że książę krakowski i sandomierski Bolesław Wstydlivy i biskup krakowski Prandota, zaraz w pierwszych latach po rzezi, uzyskali od papieża Aleksandra IV odpusty dla odwiedzających kościół św. Jakóba. Bonifacy VIII w 1295 r. pamiątkę rzezi przeniósł na dzień 2 czerwca i uczestnikom uroczystości udzielił tyle lat odpustu, ile dni liczy. Odpusty te i łaski połączył z odpustami. z jakich korzysta kościół rzymski N. Marji Panny Męczeńskiej.

Ubiegły lata; na zgłiszczach stanęły nowe zręby, na mogiłach zakwitło znów życie bujne, rzeźkie, podsycone świętą rosą krwi męczeńskiej, umocnione potęgą pamięci. Sandomierz odbudowany roił się znów mieszkańcami, bogacił handlem.

Właśnie Leszek Czarny, książę krakowski, sandomierski i sieradzki obdarzył go nadaniem 200 łanów frankońskich i licznymi przywilejami. Pierwszy wójt Witkon krzątał się zabiegliwie około nowych budowli i obwarowań. Miasto ze wzgórze świętopawelskiego przeniosło się na wyniosłość około kolegiaty N. Marji Panny i upiększało coraz nowymi gmachami. Stał już ratusz o grubych murach ceglanych i ciosowem obramowaniu okien; wznosił się nowy kościół i klasztor dominikański w obrębie nowego miasta, pod wezwaniem Marji Magdaleny, przeznaczony na schronienie zakonników św. Dominika na wypadek

nowego najazdu. Pierwotny, krwią męczeńską poświęcony kościół św. Jakóba, dźwigał swoje czerwone mury z pomiędzy lip, sadzonych ręką Jacka Odrowąża, i przyciągał coraz liczniejsze tłumy pobożnych w dzień rzezi sandomierskiej, w dzień „wielkiego odpustu“.

Liczni kupcy ciągnęli szlakiem sandomierskim ku Rusi Czerwonej, na Węgry—wielkie składy soli, śledzi, wszelkiego towaru zwiększały ruch handlowy i bogaciły ludność.

A bujna sandomierska gleba plonowała zbożem, smacznym owocem i winoroślą z Węgier sprowadzoną. W zamku grodowym przebywała nieraz z dworem księżna Gryfina, małżonka Leszka Czarnego.

Wiosna to była w 1281 roku. Gród Piastowski legł na kobiercu bujnych łąk, tonął w zieleni sadów. Olbrzymie gaje olszowe zdobiły kręte brzegi Wisły, wdali szumiały lasy ciemnej dębiny, siwych buków i brzoź białych a wiotkich. Świat Boży taki piękny, taki strojny krasą wiosny i cudami przyrody, że ludziom na tej ziemi kochanej chyba żyć dobrze, lekko, wesoło. Chyba pieśni jasne płyną po rosie porannej, a ligawki pastusze dzwonią wieczorami. I szemrze toń wiślana pod gwiazdżistym niebem, pod tem niebem, na którem prosta a gorąca wiara widzi nad kościołem św. Jakóba 49 gwiazd jasných, zatłonych tam w górze w chwili męczeństwa zakonników, świętych Patronów sandomierskiej ziemi.

Dlaczegoż jednak, choć w mieście panuje ruch znaczny, choć pełno rycerstwa, mieszczan, czeladzi wszelakiej — na obliczach niepokój, w oczach spoglądających za miasto, trwoga lub dzika zawziętość?

Niestety! pod miastem znów też same, znane dzikie twarze, płaskie nosy i skośne oczy; też czapki spiczaste, baranie kozuchy na wywrót wdziane, łuki na plecach, noże za pasem, a łyka na niewolników i nahaje w rękach. Także rzenie koni, skrzyp teleg, ryk bydła, wrzask i bojowe okrzyki.

Jak ongi, jak przed laty...

Czerń spadła znów jak trąd na lechicką ziemię, więc Sandomierz, lubo strojny i zbrojny, ponury jest, smętny. Odżyły dawne wspomnienia, zabolaly stare rany, mary pobitych stanęły przed oczyma. Serca krwawiły nienawiścią, zapłonęły dusze.

Dersław z Obręczny, starosta grodowy, opatrywał mury, bramy, ścigał zbrojnych, urządzał obronę. Nie podda miasta—nie! W układy nie będzie wchodził! Obronią się i wypędzą precz pohanećców — albo z chwałą legną. Znów ziemia spłynie krwią i przyjmie posiew przyszłych mścicieli. I wójt Witkon zarządzał także jakieś przygotowania. Wozy, ładowne kamieniem i cegłą, wciąż wjeżdżały w zamkowe podwórca, murarze pracowali w podziemiach, nie wracali do miasta, wójt trzymał ich uwięzionych na zamku. Czy jakie skarby kazał zamurować?

czy dawne wycieczki podziemne, aż za miasto wiodące, naprawia? czy mury około grodu umacnia?

Tak pytali ciekawo; wieści głuche krążyły jak ptactwo w powietrzu, lecz prawdy nikt nie wiedział.

Ciekawo, a raczej ciekawe bez zajęcia niewiasty śledziły i wypatrywały, aż wreszcie jedna pochwyciła rzecz niebywałą.

W murowance, tuż przy obronnych ostrokołach, od lat dawnych mieszkała samotna kobieta — pokutnica czy pustelnica. Mało kto wiedział jej imię, mało kto znał jej dzieje — lecz do jej czarnej szaty, bladej twarzy i jarzących się oczu przywykli wszyscy. Widywano ją w kościołach, gdzie klęczała bez ruchu, bez szeptu, jak kamienny posąg — i taka cicha, zmartwiała wracała do swojej murowanki.

Od czasu, jak horda tatarska zjawiała się pod miastem, czarna niewiasta ożyła. Oczy jej gorzały zdwojonym blaskiem, na twarz bladą wystąpiły ogniste plamy rumieńca; w niezwykłych godzinach wychodziła i wracała do murowanki. Aż sąsiadka jej, Bieta ze Świetnik, niewiasta ciekawa, poczęła ją wypatrywać, a podchodzić, a słuchać. I uczyniła odkrycie, które przejęło ją takim oburzeniem, wywołało takie przerażenie, że, nie mówiąc z nikim, pobiegła wprost do Witkona. Jako bogata mieszcza i hoża niewiasta, łatwo uzyskała przystęp do wójta. Wtedy z załamanymi rękami poczęła wołać:

— Dostojny panie! baczcie, żeby z miasta nie mieli wrogowie wiadomości. Pilnujcie naszego żywota i mienia.

Witkon spojrzał z lekceważeniem na niewiastę, zalecającą mu przezorność, i rzekł łaskawie.

— Bądźcie dobrej myśli. Przy bramach stróżują pewni ludzie. Ktoby zaś na szkodę miasta nastawał?

Bieta pochyliła się, szepejąc tajemniczo:

— Znajdzie się taki, co knuje coś złego. Nie dawniej, jak wczora, przekradł się ktoś z miasta do Tatarów. I bramy mu uchylono... Pomnijcie, panie, na niebezpieczeństwo nas wszystkich... Ta białogłowa...

Witkon, zaniepokojony słowami Biety, teraz odetchnął.

— Więc to białogłowa, mówicie?

— Czarna niewiasta — wyjaśniła Bieta.

Wielka powaga i surowość oblokła wójtowe oblicze. Spojrzał na Bietę tak groźnie, że mdła niewiasta aż zadygotała z lęku. Po chwili rzekł:

— Milczcie, jeżeli wam życie miłe, pozbądźcie się próżnej ciekawości, spokojnie spijcie w waszych świetlicach. Ja wam powiadam: czarna niewiasta nie zgouje nam zguby... nie!

Zamilkł — i znów powtórzył z naciskiem:

— Ja wam powiadam! Idźcie z Bogiem!

Bieta załęknioma wracała do domu. Zmrok zapadał; przechodząc wedle murowanki, przyłożyła ciekawe, lubo nieśmiałe,

oko do szczeliny ogrodzenia, które otaczało dokoła dworzec czarnej niewiasty. I odskoczyła blada, drżąca, przeżegnała się i co rychlej pomknęła ku swojej gospodzie.

Zobaczyła jednak rzecz bardzo zwyczajną. Oto na wyżkach, w okienku, stała czarna niewiasta; oczy jej palające, nieruchome, z wyteżeniem patrzyły w dal. Na co patrzyła tak uporczywie, z taką nienawiścią, że źrenice jej gorzały jak pochodnie, a zpoza warg szczupłych, bladych, błyskały zęby w uśmiechu tak groźnym, że młodą mieszczkę przerażenie zatrzęsło, jak zimnica?

Niewiasta patrzyła w tatarski obóz — patrzyła tak zjadliwie, że gdyby jej spojrzenia mogły zabijać, wnet błonia całe pokryłyby się pogańskim trupem...

W jej duszy szalała burza, szarpała ją straszliwa walka. Przeżywała na nowo w krótkich godzinach zmroku piekielne katrusze lat młodych, głuchy smutek swego żywota, palącą żądzą pomsty, przygnębiające uczucie bezsilności.

To Halina z Krempy — sierota, wdowa, patrzyła na tatarski tabor...

Teraz, gdy mrok opadał na ziemię, jak osłona żałobna, a wiatr niósł dymy ognisk i dziki pogwar mongolski — przed chorą duszą niewiasty, jak żywe, stanęły ukochane postacie, wracały z nową siłą dawno przebyte bóle.

Widzi przed sobą nie zieleni wiosny, lecz śniegowe kobierce, skrzyp wozów. Czuje dymy... iskry z tych ognisk padają na pierś jej i szalone niecą pożary.

Blade, zimowe słońce oświeca jej wspomnienia. Oto jej ojciec, możny starosta, zbrojny, dzielny, dosiada rumaka; oto i stryj Zbigniew... Tylko co całowała ich ręce, obejmowała kolana. Teraz znów czuje objęcie ukochane, takie gorące, takie tkiwe. I drży cała. Bo oto usta, ocienione młodym wąsem, biorą z jej ust pocałunki mnogie, pocałunki pożegnania, ostatnie... ostatnie!...

Ledwie poślubiony małżonek wyrывa się z jej objęć, siada na koń, piękny, męzny, kochany. Powiewają pióra z hełmów, skrzy się stalowa zbroja, lśnią karmazynowe czapaki.

Pojechali... ach, pojechali układać się z Mongołem.

Ha, ha, ha! układy z dziczą!

Suchą pierś kobiety szarpie dziki śmiech, śmiech obłąkany, czy cierpiący nad miarę. Urywa się jednak głuchym jękiem. Teraz czeka powrotu, wzrok sokoli wyteża w obozowisko, w ten tabór potępieńców. Z uciśnioną duszą, z bijącym sercem... I doczekała...

Dech zamarł w piersi Haliny, zgrzyt dziki zciał jej zęby.

Tak, doczekała! Ze czią wracają... nożami w górę wyniesieni... na sztuki zrabiani... w czerwieni własnej krwi...

Z nimi tłum szatanów. Dokoła jęki... płomień. Krew... krew... krew tryska, toczy się, płynie, płynie hen, aż ku Wiśle. Upadły powieki, zwarły się usta, stała śmiertelnie biała i martwa.

Bo zamarło w owym dniu okrutnym. zamarło dla niej wszystko, co ludzie zowią szczęściem, życiem.

Sierota, wdowa w zaraniu lat, uboga, z poszarpanem sercem, z duszą zatrutą, wlokła ciężki łańcuch życia i cierpienia, czekając z utęsknieniem śmierci-wybawicielki. Nikt nie opatrzył ran jej chorej duszy, nie złagodził cierpienia współczuciem, nie wskazał ratunku i ukojenia w Bogu. Świątynie stały puste, kapłani wymordowani, ostatki ludności uszły do leśnych kryjówek. A w stosach trupów, zeszpeconych i cuchnących, daremnie szukała choćby zwłok ukochanych. Więc zastygła w żalu i nienawiści.

Lecz teraz...

Otworzyła oczy, płonące jak żagwie.

Teraz przyszedł czas... dojrzała pomsta. Pohaniec znów pod miastem. Teraz jej kolej... ona złoży ofiarę pamięci męża, ojca, stryja i tylu, tylu pomordowanych.

Znała dobrze loch podziemny, dawną wycieczkę, wiodącą z wąwozu pod miastem do zamkowych podziemi; tam ich wprowadzi. Uprzedziła Witkona, wyjście już zamurowane. Gdy horda za nią dziś w nocy wejdzie w podziemne przejście—wójt i wejście zasypie.

Zginą w męce, w ciemności, pogrzebani żywcem. Zginie i ona—lecz jej już czas. Zginie z rozkoszą, bo dokona pomsty za pomordowanych.

Była w obozie tatarskim, oskarżyła Witkona, jako ją ciężko ukrzywdził i że kary nań szuka. Obiecała wskazać tajemne przejście do grodu. Uwierzyli. Zdrajcy sami, łącznie wiarę dają zradzie.

Mrok coraz gęściejszy owijał ukwieconą, rozśpiewaną ziemię. Słowiki kwiliły w kępach wiślanych; na ciemnym błękiecie, tam w górze, mrugały już złote gwiazdy. To dusze pobitych za wiarę... za ziemię... I ona wkrótce będzie z niemi.

Oczyma zawisła na gwiazdzistym niebie; cisza wiosennej nocy lała w jej duszę spokój, tęsknota do ukochanych trwogę śmierci zmniejszała.—Tam... wysoko... do nich!—westchnęła.

Od strony grodu odezwał się puszczyk. To Witkon daje znak. Gdy puszczyk zakwili poraz wtóry i odpowie mu chichot sowy—trzeba iść... na śmierć.

Zmęczone oczy niewiasty osunęły się ku ziemi. Niespokojne, błyszczące, pomknęły wokół i zatrzymały się na wielkim krzyżu, wiszącym na bielonej ścianie izby.

— Panie Jezu!—szepnęła i urwała, bo nagle w jej duszy zaciętej, mściwej, głos tajemny powtórzył proste słowa pacierza:

„Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“.

Skamieniała w bólu i nienawiści, otrząsnęła się Halina.

— Mam odpuścić? darować mękę ludzką, spustoszenie, nieszczęście? Kto pokrzywdzonym wyrządzi sprawiedliwość?

W pamięci zadźwięczały słowa, słyszane niedawno przy konfesjonale: „Bogu zostaw pomstę. On odda, jako obiecał“.

— Nie, nie! — zawołała głośno. — Bóg nierychliwy! serce nie ucieszy się pomstą, czy moje nie ujrzą jej. Nie, nie...

— Nie ujrzysz i tych, ku którym idziesz. Bramę niebieską otwiera miłość; piekielną... nienawiść.

Niewiasta obejrzała się: za nią, płaszczem czarnym odziany, stał ojciec Piotr, jej spowiednik, zakonnik św. Dominika. Więc rzekła:

— Nie ujrzę moich? mówisz ojcze. Wszak żywot niosę w ofierze. Męka otworzy mi Pańskie podwoje.

Biały zakonnik potrząsnął głową.

— Żywot dajesz w ofierze przez zemstę, nie dla dobrej sprawy. Patrz, żebyś nie znalazła zguby tam, gdzie szukasz zbawienia.

Halina zacisnęła blade, wychudłe ręce na piersi.

— Ojcze—szepnęła—czas uchodzi. Nie osłabiajcie mi ducha. Wszak na mękę idę. Nie macie litości!

— Nad duszą twoją litość mam, niewiasto. Idź na śmierć w imię miłości jako ofiara, nie jako mściciel. Panu jeno wolno brać pomstę. I on ją wybiera... nierychło, lecz okrutną. Chrześcijanom przystoi przebaczać.

Z zaciętych ust kobiety padły słowa szyderskie, gorzkie, zjadliwe.

— Przebaczać mordercom i gnębiicielom, katom krwią czerwonym? może nieś im pomoc, może od śmierci bronić. I co jeszcze? I co?

Ksiądz podniósł się groźny, nakazujący.

— Płonne są czyny nienawiści, miłość jeno płon przynosi. Chcesz-li ocalić miasto, połączyć się tam, w górze z ukochanymi? Miłuj a przebaczaj!

Puszczyk zakwilił raz po raz grobowo, złowieszczo; sowa odpowiedziała mu szyderskim chichotem. Niewiasta zadrżała, błysnęła oczyma, wyprostowała chudą postać.

— Czas na mnie, czas! — szepnęła, okrywając się czarną opończą.—Błogosław, ojcze!

I przypadła do nóg kapłana.

— Przebaczasz mi?—pytał, kładąc dłoń na jej głowie i podsuwając do ust znak zbawienia.

Halina przywarła ustami do ran Chrystusowych, wpila się w nie ostatnim, gorącym pocałunkiem. Z ócz rozpalonych poczęły płynąć łzy, rosa niebieska na spieczoną nienawiścią duszę.

— Przebaczam... — wyszeptała.
— Jak pragniesz, aby ci Bóg przebaczył i przyjął do chwały swojej?

— Jak pragnę przebaczenia i zbawienia.
Za oknem wciąż chichotała sowa — jakiś hufiec zbrojny tajemniczo sunął ku bramom miasta.

Kapłan nakreślił krzyż nad pochyloną, szepcząc potężne słowa rozgrzeszenia.

Halina powstała z klęczek; cicho wysunęła się z izby, minęła uchyloną furte i znikła w cieniach nocy.

Ksiądz smutny i poważny krzyżem przeżegnał jej drogę ostatnią.

Kury piałły na przedmieściach, gdy w wawóz, tatarskim szlakiem dziś zwany, wsunął się długim węzem oddział Mongołów. Przodem spokojna, wyniosła, postępowała czarna niewiasta. U wejścia w podziemie zabłysła pochodnia. Wolno, jak widma piekielnie, wchodzili w ciasne przejście.

Zaledwie znikł ostatni, podkopana ziemia usunęła się olbrzymim złomem, Witkon wypadł z ukrycia, setki rąk zarzuciły wyjście kamieniem i ziemią...

Ryk wściekłości zabrzmiał w głębi; odpowiedział mu zdala bojowy okrzyk Dersława z Obręczny, który właśnie w tej chwili uderzył na obóz mongolski.

Nazajutrz rozbita horda uchodziła równie szybko, jak szybko przybyła. Miasto było oswobodzone, a wieczna tajemnica pokryła mękę i śmierć Haliny z Krempy.

* * *

Gdy w noc cichą, noc gwiazdzistą, idziesz tatarskim szlakiem pod Sandomierzem—wznies oczy: nad omszałym wiekową pleśnią kościołem św. Jakóba ujrzysz gwiazdy jarzące. To ukołchani orędownicy sandomierskiej ziemi patrzą z wysoka na ludzkie prace, walki i nędzę.

A z wnętrza ziemi, z poza gliniastych zrębów wawozu — jeśli nie ucho, to serce twoje dosłyszysz stłumiony wrzask Татарów i śmiertelny jęk Haliny.

I jej prośbę z za grobu: „Pamiętaj“.

W 16-ym wieku tron Piastowski zasiadał ostatni z Jagielonów. Kraj cieszył się potęgą i pokojem. Tylko u kresów południowo-wschodnich ciągle wrzało. Dawne plemię mongolskie, rozgromione i rozproszone, obsiadło pobrażę morza Czarnego i ztamtąd bezustannie czyniło wyprawy na grabież i rozbój; za Bałkanami zaś rosło w potęgę, pochłaniało słabsze plemiona słowiańskie i groziło Europie—państwo Tureckie.

Na tej granicy długiej, otwartej, strażując pokój Europy i chrześcijaństwa, stał żywy szaniec—rycerstwo polskie—dzielne, hartowne, ofiarne. Życie pędzili, walcząc—ginęli, broniąc wiary i ziemi. Według dziejów, 91 napadów tatarskich rozbiło się o ten mur żywy. A iluż innych groźniejszych wrogów szczybiło te szanse!

Ażeby podtrzymać siłę ducha i dzielność ramienia, panowie niektórzy, będąc w Rzymie, prosili Ojca Ś-go o relikwie dla Polski, o kości świętych rycerzów dla rycerskiego ludu.

Starzec w potrójnej koronie odrzekł:

„Synowie mili, chętnie spełnię prośbę waszą, bo na placówce potrzebne i ducha męstwo, i ramienia krzepkość, i wytrwałość granitu. Zanim jednak zbiorę dla was święte kości, przywieźcie mi ziemi cmentarnej z waszego starego grodu Sandomierza.

Stało się zadość woli Ojca ludów.

Pius V zgniótł w dłoni garść ziemi sandomierskiej: przez palce kropkami poczęła się sączyć krew.

— Oto wasze relikwie—rzekł święty starzec.—W miłości ku nim znajdziecie i siłę, i męstwo, i zasługę.

Gryf.



Ludzie pracy i zasługi.

Z życia księdza Stanisława Staszycza.

Przed laty blisko trzydziestu wyszła w świat skromna książeczka pod nagłówkiem: „O księdzu Stanisławie Staszycu.“

Był to życiorys jednego z najlepszych i najrozumniejszych synów ziemi polskiej z końca 18-go i początku 19-go stulecia, napisany przez Promyka.

Z rzewnem uczuciem biorę zawsze do ręki tę drobną książczynę. Przypomina mi ona i przypominać będzie zawsze te niepowrotne lata młodości, gdy z kilku przyjaciółmi, pełni miłości i zapału zaczęliśmy wędrowkę po chatach chłopskich, po kryjówkach stróżów warszawskich, po kramach podkościelnych, niosąc wszędzie „Elementarz“ Promyka i jego „Księdza Staszycza“ — te pierwsze zdrowe ziarna po wielu latach zupełnej ciemnoty.

Do tej właśnie książeczki Promyka „O Staszycu“ odsyłam dziś wszystkich tych, komu drogą jest pamięć ludzi wielkich, ludzi, którzy pracą i cnotą nowe drogi narodowi torowali.

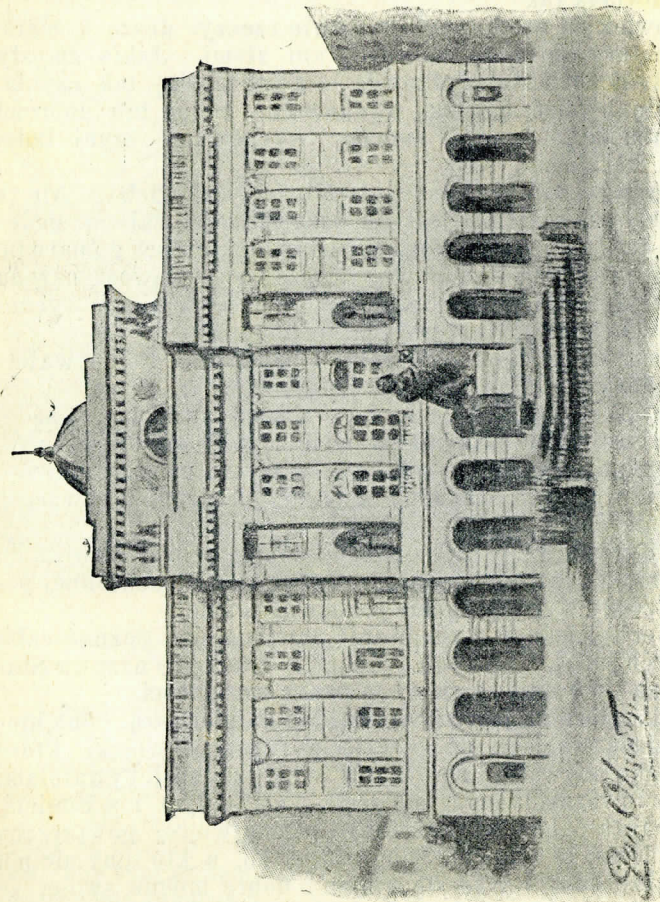
Kto czytał dawniej książeczkę „O ks. Stanisławie Staszycu“, niech odczyta ją z największą uwagą dziś, gdy po latach 150 tylko co minęła rocznica urodzin Sztażycy w r. 1755-m. Kto nie zna jej dotąd, niech przeczyta tymbardziej, a dowie się, jak wielką była dusza Staszycy, jak płodną dla kraju jego praca.



Stanisław Staszyc, jako minister.

Ja tutaj, ku czci tego znakomitego męża, pragnę jeno przypomnieć kilka myśli jego o wychowaniu. Zdaje mi się bowiem, że w poglądach człowieka prawdziwie wielkiego znaleźć może zawsze pokarm duchowy nie tylko pokolenie współczesne, ale i te, które setki lat później żyć będą. Tymbardziej zaś ważnemi zdały mi się myśli o wychowaniu Staszycy, że właśnie wychowanie i nauka młodzieży jest najważniejszą ze wszystkich spraw bieżących naszego życia.

Najznakomitszą książką Staszycy, która wpływ ogromny wywarła w końcu 18-go wieku na cały nasz naród, było dziełko: „Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego“. Daje on w niej rady narodowi, jak dźwignąć się z upadku po pierwszym rozbiory kraju, jak zło w życiu publicznym wykorzeniać, a dobro krzewić. Przedewszystkiem zaś zastanawia się nad celem i środkami wychowania młodzieży — „albowiem—mówi—zawsze takie rze-czypospolite będą, jakie ich młodzieży chowanie“.



Dom, ofirowany przez Staszycę Towarzystwu Przyjaciół nauk, a potem zabrany przez rząd i przerobiony na gimnazjum rosyjskie.

Wielkie słowa!

Takim będzie naród, jaką młodzież sobie wychowa. Społeczeństwo składa się z ludzi, a ludzie rozwijają się z młodzieży. Jak wychowamy dzieci i młodzież, takich potem będziemy mieli dojrzałych członków społeczeństwa.

Prawda to odwieczna, a jednak mało jest takich, którzy stosują tę prawdę w życiu. Miljony dzieci u nas chowają się, jak te dzikie płonki w zapuszczonym sadzie; miliony młodzieży rosną bez światła, bez słońca! To też cały prawie nasz naród ciemny jest i bezradny; lada bałamuctwo go się czepia, lada bajka w głowie mu przewraca, a niezdolny jest dojrzeć jasnych dróg, które najpewniej prowadzą do lepszej doli.

Jak wychowywać młodzież? — pyta Staszyc.

I odpowiada tak:

„Człowiek do wychowania ma dwie rzeczy: duszę i ciało. Ludzie z natury nie są ani dobremi, ani złemi. Jakie zmysły ich odebrały uczucia, tak oni myślą — a jak myślą, tak czynią. Wychowanie myśleć naucza, wychowanie złemi lub dobremi uczynić ich może“. Inaczej mówiąc: wychowanie czyni ludzi światłemi i moralnemi.

Celem wychowania jest szczęśliwość człowieka. Ale ta szczęśliwość nierozdzielna jest od szczęśliwości całego społeczeństwa — każdy bowiem człowiek jest członkiem swego narodu, obywatelem swego społeczeństwa. Że zaś szczęśliwość narodu zależy od użyteczności jego członków, przeto winniśmy wychowywać młodzież na **użytecznych obywateli kraju**.

Zastanawiając się dalej nad sposobami takiego **obywatelskiego** wychowania, Staszyc takie podaje zasady:

„Wszystko na tym świecie jest z sobą związane. Każdej rzeczy istność terazniejsza stosować się musi do stworzeń przytomnych. Człowiek sam na sobie przestać nie może. Wewnętrzna szczęśliwość jego od jednych mniej, od drugich stworzeń zawisła koniecznie.

To też przedewszystkiem poznać winien człowiek to, co do utrzymania życia jest niezbędne, to jest rzeczy nieuchronnej potrzeby. Rzeczy wygody będzie poznawał później.

Najpierw jednak wychowanie powinno dać poznać człowiekowi tych ludzi, z którymi żyć musi.“ Naukę tę nazywa Staszyc **moralną** — my dziś zwiemy ją **nauką moralności**.

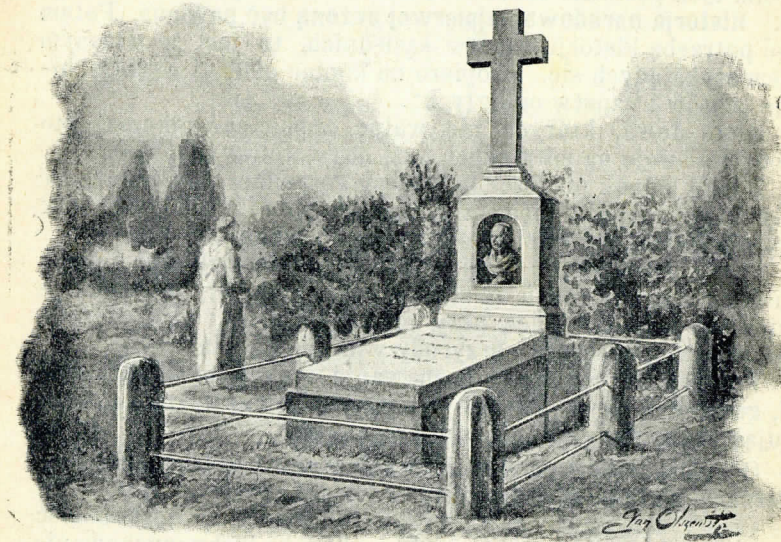
„Nauka moralna jest ze wszystkich najpierwszą. Ona niechaj przekłada dziecku od powzięcia rozumu związku, które człowiek, jako obywatel, ma sam z sobą, ze spółobywatelami drugimi, z towarzystwem (społeczeństwem) całym i z Bogiem.

Niechaj ta nauka najczęściej, a jak najwięcej powtarzana będzie młodemu, że człowiek sobie wszystko, a kto inny nie mu nie winien; że sam starać się winien o dobre mienie swoje; że **pierwszym obowiązkiem człowieka jest pracować**; że tylko pracą staje się obywatelem użytecznym, że w każdym stanie prężowanie czyni człowieka szkodliwym i sobie samemu i innym“.

„Niech każdy — mówi dalej Staszyc — od młodości uczy się, że jest równym obywatelowi drugiemu, przeto nikomu szkodzić nie ma prawa. A chociaż społeczeństwo nie obowiązuje do po-

większenia szczęśliwości sąsiada, jednak, gdy obywatel przez udzielenie swojej własności, gdy przez swoją pracę, nawet ze szkodą własną, los innych polepszy, zostanie **obywatelem (notliwym)**, czeka go nagroda i sława. Im większą liczbę ludzi uczyni jego uszczęśliwi, tym cnotliwszym on będzie. **Powiększyć dobro wszystkich spółobywatelów jest cnotą największą.**“

Tak mówi człowiek, którego całe życie było jednym pasmem cnoty obywatelskiej, który dla dobra i pomyślności kraju i współbraci poświęcił swoją naukę, pracę, majątek i szczęście osobiste.



Pomnik Stanisława Staszycy na Bielanach pod Warszawą.

Lecz posłuchajmy dalej rad i przestróg tego wielkiego myśliciela.

„Społeczeństwo jest jedną moralną istotnością, której członkami są obywatele. Przeto prawdziwe i własne dobro każdego nie różni się od dobra całego społeczeństwa. Wszyscy obywatele tak są między sobą związani, iż **jeden nie może szkodzić drugiemu**, aby tym samym nie krzywdził całego społeczeństwa i nie szkodził sobie samemu.“

Ileby to nieraz zła i nieszczęść ubył, ileby przybyło na ziemi spokoju i szczęścia, gdyby ludzie chcieli stosować się do tych wielkich słów prawdziwie chrześcijańskiej moralności!

Staszyc rozumie, że samo **uczenie** moralności wystarczyć nie może, żąda on, aby dzieci i młodzież wcześniej zaprawiały się

do czynów moralnych, „same prawidła nauki moralnej dobrze gadać, ale nie dobrze **czynić** nauczą. Trzeba, aby dzieci to **wykonywały**, czego ich prawidłami uczono“.

W związku z nauką moralności jest **znajomość dziejów ojczych**. Te każdy obywatel najpierw umieć powinien.

„Dzieci, które najpierwszy raz otwiera swoje oczy, nie innego widzieć nie powinno nad ojczyznę, dla której samej tylko zamknąć je kiedyś obowiązek będzie miało.“

Pierwszą książką, którą w rękę weźmie, niech będą dzieje tych ludzi, z którymi żyć mu trzeba. Ono o swoich pradziadach, o swoim ojcu posłucha ciekawie i zawsze mu ta powieść miła będzie. **Historja narodowa najpierwej uczoną być powinna.** Potem uczyć potrzeba historii państw sąsiednich, to jest z własnym krajem stykających się. Dopiero na koniec niechaj czytają historję czasów i państw odległych“.

Złote słowa, których nie wolno zapominać nikomu, kto chce dzieci swoje na miłujących kraj obywateli wychować.

I tego jednak niedość. Jak dobry gospodarz powinien znać każdy zagon, każdą piędź ziemi swego pola i posiadłości, tak **dobry obywatel znać musi swoją ziemię rodzinną.**

„Przy poznawaniu ludzi, z którymi człowiek żyć będzie musiał, trzeba, aby razem tę ziemię, która go żywi, jej urodzaje i zwierzęta poznał. Więc przy nauce moralnej, zaraz **trzeba uczyć krajowej geografji i przyrody własnego kraju.**“

Potem mówi Staszyc o poznawaniu innych nauk, arytmetyki, geometrii, fizyki, chemji, rękodzieł i rzemiosł — lecz zawsze stosując je najwięcej do potrzeb krajowych.

Ostatnią część rozdziału „O wychowaniu“ poświęca Staszyc **kształceniu ciała młodzieży.** Człowiek ma duszę i ciało. Te dwie części człowieka tak są ze sobą złączone, iż doskonałość jednej od zdolności drugiej zawisła. „Trzeba, żeby wychowanie nie było wychowaniem samego tylko ciała, albo samej tylko duszy, ale człowieka. Lepiej jest zaniedbać trochę doskonałości duszy, aby zachować dla niej zdolność ciała. Rozsądniej staje się, gdy czas, do nabywania bardziej ciekawych, niż potrzebnych, wiadomości wyznaczony będzie użyty na ciała wzmocnienie, ukształtowanie i zręcznienie.“

„W wychowaniu publicznem, z jakim porządkiem i z jaką pracą uczone bywają różne umiejętności, z takim porządkiem, z taką pilnością być wyznaczone powinny codzienne godziny, miejsce i nauczyciele do ciała ćwiczenia.“

„A jako wszystkie wiadomości obywatela, tak też ćwiczenia ciała stosować potrzeba do przyszłego stanu jego. On równie swoją moc, jak swoją wolę, społeczeństwu oddaje. Nawet wszystkie młodych zabawy powinny mieć pewny zamiar, do obowiązków obywatela stosowny.“

Zapamiętajmy sobie i weźmy głęboko do serca te wszystkie prawdy, wypowiedziane przed wielu laty przez najzacniejszego z naszych obywateli — a tak dziwnie nam dzisiaj przydatne. Boć najpierwszą rzeczą, do której wziąć się musimy, to przekształcenie naszego wychowania, zakładanie szkół dla naszych dzieci. Niechże przy tej nowej pracy twórczej świecą nam zawsze, jak gwiazda przewodnia, wielkie myśli Staszycy o prawdziwie obywatelskim, prawdziwie narodowym wychowaniu.

M. Brzeziński.

W pole!

Marsz, marsz, marsz, marsz dalej w pole!
Marsz drużyno cała,
Trzeba dobrze zorać rolę,
By nam plon wydała.

Hej za brony, hej za pługi,
Dalej, do roboty!
Nie zbraknie nam, jak dzień długi,
Do pracy ochoty.

Zasiejemy wnet zagony
Żyta i pszenicy,
Hej za pługi! hej, za brony!
Marsz w pole, rolnicy!

Pracy Bóg pobłogosławi,
Piosnka trud osłodzi,
Więc kiedyśmy silni, żwawi,
W pole, dziarska młodzi!

J. Chrzęszczewska.



„Niech się dzieci moje kochają“.

W 50-tą rocznicę zgonu

Adama Mickiewicza.

Kiedy w rodzinie umrze ojciec ukochany, corok w bolesny dzień zgonu zbierają się dzieci i z serdecznem rozrzewnieniem rozpamiętują ostatnie chwile rodzica. I przed oczyma ich duszy zmartwychwstaje ta droga postać, dźwięczą ostatnie słowa, bu-

dzą się dawne wspomnienia, — łzami dziecięcej miłości rosząc nieraz dojrzałe oblicza mężów...

O ileż głębszym, o ile serdeczniejszym musi być to synowskie wspomnienie, gdy dotyczy pamięci najdroższego Ojca narodu!

A Ojcem narodu polskiego był ten, kto powiedział:

... miłość moja na świecie,
Ta miłość nie na jednym spoczęła człowieku,
Jak owaś na róży kwiecie,
Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku:
Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,
Przycisnąłem tu do łona
Jak przyjaciół, kochanek, małżonek, jak ojców;
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić...

Przed kilku tygodniami, 26 listopada r. 1905-go, przypadła 50-ta rocznica zgonu tego Ojca, co „kochał i cierpiał za miliony“... Uczcijmyż świętą pamięć tego najwyższego z duchów Polski walczącej przypomnieniem Jego chwil ostatnich, — chwil pełnych niewysłowionego smutku i bólu.

Było to w roku 1855-ym. Mickiewicz już od lat dwudziestu kilku przebywał za granicami kraju, pożerany tęsknotą, trawiony gorączką pracy dla jego wolności, wiecznie oczekujący chwili, w której ta upragniona wolność miała się urzeczywistnić. I zdało mu się, że tej chwili szczęśliwej doczekał.

W roku 1854-ym na wschodzie zerwała się burza... Nad morzem Czarnym zagrzmiały działa, — rozpoczęła się wielka wojna Turcji, Anglii i Francji przeciw Rosji...

Wśród Polaków emigrantów z r. 1831-go odżyły dawne nadzieje. Jak niegdyś za Napoleona I-go, jak potem we Włoszech w roku 1848-ym, tak wówczas w Bulgarii, do Turcji wtedy należącej, poczęto formować legiony polskie, aby z niemi wkroczyć potem do kraju. Michał Czajkowski tworzył pod Burgas pułk „sułtańskich kozaków“, Władysław Zamojski zaciągał pod Warnę „legię polską“.

Mickiewicz, pełen głębokiej wiary w szczęśliwy dla Polski koniec „wojny krymskiej“, oddawna rwał się na wschód, gdzie trzeba było godzić waśnie, zachęcać do wytrwałości i męstwa.

Znękany niedawną śmiercią żony, niepewny o los drobnych dzieci, złożył troski osobiste na ołtarz ofiarnym Ojczyzny i w końcu września przybył do Konstantynopola, skąd udał się natychmiast do obozu polskiego pod Burgas. Tu cieszył się widokiem rodaków, objeżdżał obóz, odbywał mustry, — ale zarazem zgryzł się niezgodą wodzów, która, jak przekleństwo szatańskie, zda się ciążyć na wszelkich naszych sprawach publicznych.

W połowie października powrócił do Konstantynopola, gdzie żył w szczupłym kółku rodaków, wśród których najbardziej mu oddanymi byli Henryk Służalski i żyd z pochodzenia — a polak z duszy — Armand Lewi.

Zamieszkał Mickiewicz na przedmieściu Jeniszeri, w dzielnicy nizinnej, pełnej niezdrowych wyziewów. Wynajął sobie obszerny pokój od niejakiego Rudnickiego, u którego też się stawał. Przyrzadzano tam na obiady barszcze, kapuśniaki, kolduny, bigos i inne potrawy, które Adamowi Ojczyznę przypominały, ale na on czas nie były zdrowymi.

W Konstantynopolu panowała cholera...

„26 listopada zrana — czytamy w jednym ze wspomnień — Mickiewicz uczuł się niezdrowym, dostał mdłości, które jednak prędko przeszły. W południe powtórzyły się jeszcze raz, — lecz nikt nie podejrzewał strasznej choroby. Około godziny czwartej pojawiły się kurcze: nie było wątpliwości — cholera! Lekarze przybiegli, radzili i robili co mogli — bez skutku. Chory opadał na siłach, chciał Służalskiemu dyktować testament — już nie mógł. Kazał iść po księdza „litwina“ (był taki, znajomy, ksiądz Ławryniewicz); ale gdy przyszedł, już konający stracił mowę. Ostatnie jego słowa, do Służalskiego wymówione, były: „Powiedz moim dzieciom, niech się kochają zawsze“. Skończył o godzinie 8 ej minut 40 wieczorem...“

Ciało Wieszcza, ubrane w polską czamare, złożono na środku izby w trumnie dębowej, przy której kolejno czuwali nieodstępni przyjaciele — Służalski, Lewi i inni rodacy. W parę dni potem odwiedził zwłoki Adama Tomasz Teodor Jeż, który w sprawach Polski wtedy również w Konstantynopolu przebywał.

„Poszliśmy we dwóch — pisze Jeż — Kozłowski i ja. Na pierwszym pięttrze otworzył nam Rudnicki, który następnie otworzył na klucz zamknięty pokój.“

Nie zdołał opisać uczucia, z jakim przestępowałem próg izby, służącej za schronienie dla martwych szczątków człowieka, dla którego cześć, naksztalt czci religijnej, w duszę moją od dzieciństwa wrosła. Wchodziłem na palcach, z głową pochyloną, z pokorą, co w dół mnie gnioła, jak się do świątyni wchodzi. W postawie modlitewnej stanąłem i w milczeniu słuchałem Rudnickiego, który mi półgłosem opowiadał o trumnie potrójnej: wewnętrznej ołowianej i dwóch zewnętrznych drewnianych.

Oblicza Mickiewicza i po śmierci nie oglądałem. Widziałem jeno trumnę ogromną dębową, okutą, zastrubowaną i zaopatrzoną w antaby mosiężne. Spoczywała na środku izby, na stolikach. Nie przykrywał jej całun, nie powlekała farba, nie otaczały światła, nie było przy niej nikogo. Zajmowała środek izby, w której sprzęty i meble pozostawały tak, jak za życia wielkiego nieboszczyka. W kącie na prawo stało kapą białą osłonięte łóżko żelazne, na którym wydał tchnienie ostatnie; nie-

opodal od łóżka stolik, na którym do dzieci, przyjaciół i znajomych pisywał; dalej kanapa i drewniane opłatanе krzesła, przy progu umywalnia, obok drugi stolik, ze środka dla zrobienia miejsca trumnie usunięty; na ścianie zwierciadła i litografji parę, w oknach firanki perkalowe, wszystko to skromne, proste, pospolite, owiane jednak urokiem wspomnienia poety, co Polskę blaskiem wielkim wśród narodów oświecił.

Stałem długo przed trumną jego w pokorze ducha, zdjęty skrucłą głęboką.

W dni parę później rozeszła się pomiędzy nami wiadomość, że, stosownie do ostatniej nieboszczyka woli ciało jego przeniesionem zostanie do Francji, i że na przeniesienie to nadeszło ze strony rządu francuskiego pozwolenie.

O godzinie wyznaczonej, przed domem, w którym ciało leżało, zgromadzili się przebywający w Konstantynopolu Polacy. Zebrało się nas sporo cywilnych i wojskowych — ludzi kilkuset. Ze Skutari nadciągnął oddział piechoty pod bronią, z oznakami żałoby na karabinach, z bębnami krepą osłoniętymi. Wązka a kręta ulica zapchaną była ludem, wśród którego widzieć się nie dawał inny, aniżeli polski, żywioł. Wydawało się, że sami jeno Polacy odprowadzają pochodem pożegnalnym zwłoki poety swego, celem wyprowadzenia ich na spoczywanie wieczne. Czekaliśmy na karawan.

Karawan nadciągnął i przede drzwiami się zatrzymał. Stałem nieopodal. Widziałem, jak wyniesiono z wysiłkiem niemałym trumnę wielką, przy której w mundurach czerwonych i w granatowych z wylogami kurtach obsługę czynili Służalski i Lewi. Wyniesiono trumnę, okryto ją całunem; eskorta wojskowa uszykowała się we dwa, po dwóch stronach karawanu, szpalery; bęben się głucho odezwał, wóz ruszył i w chwili tej na przodzie, przed orszakami księży, słysząc dały się tony ponure marsza pogrzebowego. Kolonja włoska ofiarowała się z popędu własnego, a bezinteresownie, w sposób ten złożyć hold i oddać usługę ostatnią nieboszczykowi.

Dzień był grudniowy, posępny, mglisty, mgła niekiedy zmieniała się w drobniuchny deszczyk, który mżył i moczył. Ulice zalewało błoto. W ścisku nie można się było parasolami osłaniać. Depcąc błoto i moknąc, posuwaliśmy się powoli za wozem, który krok za krokiem, ulicami wąskimi wydobywał się z niziny jenişzerskiej pod górę perotską, i kiedy na górę wyciągnął, odsłonił się oczom naszym widok, o ile niespodziany, o tyle rzewny. Wydawało się nam, jakem rzekł wyżej, żeśmy sami Polacy. Pokazało się, żeśmy się mylili. Poza nami, niby rzeka ujęta w łożysko uliczne, płynęły tłumy ludzi, okrytych turbanami czarnymi. Okiem ich ogarnąć niemożna było; czoło kolumny tej nas dotykało, koniec gubił się gdzieś w dali nie-dojrzanej. Ludzie szli w milczeniu, w skupieniu ducha znamionu-

jącem udział w przejmującym nas żalu i smutku. Niespodziankę tę sprawili nam Bułgarzy.

Nie sami jednak oni, spośród ludności, Konstantynopol zamieszkującej, na eksportację się stawili. Nie było jeno Turków; okrom nich atoli wszystkie zresztą narodowości miały swoich w orszaku pogrzebowym przedstawicieli. Widziałem; serbów, dalmatów, czarnogórców, albańczyków, greków, włochów. Bułgarzy zeszli się najliczniej.

Na ulicy Pera, nieopodal od gmachu ambasady rosyjskiej znajduje się zamaskowany od frontu domami, kościół katolicki. Przed kościołem karawan się zatrzymał. Wniesiono do środka trumnę. Setna część ludzi wcisnąć się za nią i wysłuchać nabożeństwa żałobnego nie mogła. Reszta w szeregach ściśnionych, w błocie i na wilgoci, przed kościołem czekała, aż się ceremonia religijna skończyła i wóz ruszył dalej. Znowuśmy szli za trumną orszakiem ogromnym przez Perę, Galatę do Tofane, gdzie się znajdowała przystań dla kaików i łodzi, obsługujących statki, do Konstantynopola przybywające i z Konstantynopola odchodzące. Trumnę przeniesiono na łódź dużą, zawczasu na cel ten zamówioną; w łodzi ulokowali się ksiądz w komeżce z krzyżem w ręku i osób kilka. Widziałem ją, jak odpłynęła, i żal mi taki serce ścisnął, jakby łódź ta uwodziła istotę, z którą istotą moją żyłem się całkowicie. Czyż nie tak jest? Czyż wśród nas, obecnie nawet po upływie tylu lat od zgonu Mickiewicza, znajdzie się człowiek piśmienny, coby z nim żyty nie był?

Po przybyciu do Francji, zwłoki Adama po uroczystem nabożeństwie złożono w Mąmorensi (Montmorency) pod Paryżem, na cmentarzu emigracyjnym, obok grobu Juliana Niemcewicza.

Ileżały te drogie szczątki Wieszcza-tulacza na obcej ziemi aż do roku 1890, gdy za synowską myślą polskiej młodzieży akademickiej w dniu 4-ym lipca uroczyste wobec przedstawicieli całego narodu polskiego złożone zostały na Wawelu w grobach królewskich...

Ilekróć wśród uroczystej ciszy podziemi wawelskich z sercem ściśnionem podchodzę do kamiennego grobowca Wieszcza zda mi się, słyszę z tej piersi nieśmiertelnej ulatujące ostatnie słowa:

„Niech się dzieci moje kochają!”

M. Brzeziński.

Przepisy ochronne przeciw cholercie dla ludności wiejskiej,

opracowane przez Tow. Lekarskie w Radomiu.

Cholera—to choroba zaraźliwa, objawiająca się biegunką, wymiotami, silnym pragnieniem i kurczami, głównie w łydkach; zarazki jej mieszczą się w odchodach stolcowych chorego i wymiocinach. Gdy dotkniesz ręką odchodów chorego i wymiocin, albo rzeczy niemi zawalanych, a później tą ręką poniesiesz strawę do ust; gdy jeść będziesz cokolwiek (chleb, jarzyny, owoce i inne rzeczy), co było zakażone wypadkowo przez ludzi, stykających się z chorymi; gdy wreszcie używać będziesz wody, do której w jakikolwiek sposób dostały się zarazki cholery—bardzo łatwo sam jej dostać możesz.

Aby ustrzedz się od cholery, miej ciągle na pamięci niżej wymienione przepisy:

1. Pamiętaj, że czyste i świeże powietrze, światło słoneczne, czystość ciała, odzieży, mieszkania i dobre pożywienie, wstrzemięźliwość w trunkach, umiarkowanie w jadłach i zabawie—dają zdrowie, a im zdrowszym będziesz, tem trudniej ulegniesz zarazie.

2. Myj się codziennie czystą wodą (najlepiej gotowaną) z mydłem na miednicy lub misie, albo lepiej niech drugi polewa ci z dzbanka ręce czystą wodą.

3. Zmieniaj bieliznę na sobie najmniej co tydzień, na pościeli co miesiąc, albo i częściej, jeżeli się zbrudzi.

4. Nie kupuj starej odzieży i bielizny od przekupniów; brudną pierz starannie nie w zimnej, a w gorącej wodzie z ługiem i mydłem.

4. Biel izbę wapnem, a nie glinką; podłogę zamiataj; sprzęty czyść codziennie; nie trzymaj w izbie brudnej bielizny, kapusty kwaszonej, kartofli, bydłęcia, świń, owiec, ani nawet drobiu, bo z tego powstają choroby; staraj się tępić robactwo a zwłaszcza muchy i pluskwy; podłogę zepsutą napraw, bo dziurawą trudno utrzymać w czystości.

6. Odżywiaj się dobrze, abyś miał siły, jedz mięso, mleko, gotowane, jaja, groch, fasolę. Kartofle w ogóle dają mało siły, a młode są szkodliwe. Jedz tylko świeżo ugotowane, a nie zimne lub odgrzewane jedzenie. Garnek z jadłem nakryj szczelnie pokrywą, aby go muchy nie brzydziły i nie zarażały cholera. Kupione w piekarniach chleb i bułki przed jedzeniem połóż na brytwannę i przetrzymaj na kuchni gorącej przez 10 minut. Wódki nie pij dużo; nie wierz temu, co mówi, że wódka chroni od cholery. W czasie cholery nie jedz na surowo grochu, marchwi, ogórków, rzodkiewki, rzepy; gruszki i jabłka sparz ukropem i obieraj czystym nożem ze skórki; najlepiej jedz tylko te

owoce, które sam czystą ręką zerwałeś z drzewa, a nie kupione z kosza od brudnego przekupnia; nie jedz ulegalek. Pilnuj się w jedzeniu, bo najprędzej zachoruje, kto żołądek zepsuje.

7. Zła woda do picia częstą bywa przyczyną cholery i tyfusu. Nie pij wody ze stawu, rowu, sadzawki, a nawet z rzeki wdół biegu jej poza wsią, lecz tylko ze źródła lub z dobrze zbudowanej studni. Dobrą jest tylko ta studnia, która jest głęboka najmniej na 2 sążnie, ocembrowana tak, że bokami nie przecieka do niej woda zaskórna, zbudowana na wzniesieniu, zdala od chlewów i gnojowiska, obrukowana na podkładzie z gliny dookoła, ze spadkiem od studni ku zewnątrz, pokryta daszkiem, ma wiadro stale umocowane i żłób opodal do pojenia bydła. Nie pierz brudów blisko studni, bo wodę zanieczyszczysz. Opatrz swoją studnię i popraw ją zgodnie z temi przepisami. Jeśli nie możesz jej doprowadzić do należytego porządku, to wody z niej ani do picia, ani do przyrządzenia jadła, ani do mycia, ani do kąpieli, ani do prania nie używaj inaczej, jak po przegotowaniu. Woda przegotowana i ostudzona w naczyniu szczelnie przykrytem nie zdradzi cię nigdy, a smak jej łatwo naprawić przez dodanie kwasu cytrynowego, jakiego za kilka groszy dostanie w składzie aptecznym. Podczas cholery nie pij piwa, wody sodowej, lemoniady ani kwasu, bo przekupnie nie myją butelek lub robią te napoje na surowej wodzie; napoje takie psują żołądek i ułatwiają zarażenie cholera.

8. Drogę przez wieś trzeba osuszyć, kałuże na niej i przy domach zasypać, drogę okopać rowami, rzucając przez nie mostki do każdej zagrody. Uporządkuj podwórze, przenieś gnojowisko i śmietnik w najdalszy od chaty kąt podwórza, a miejsce po nich posyp grubo gorącym popiołem.

9. Pamiętaj, że zaraza cholery mieści się tylko w odchodach stolcowych i wymiocinach; pot chorych, powietrze dokoła nich i ich oddech nie zawierają zarazków; wszystkie więc rzeczy zawalane odchodami i wymiocinami, jeśli się ich dotkniesz rękami, zarazić cię mogą; myj przeto często ręce, a głównie przed jedzeniem, aby uniknąć zarazy, lecz chorego się nie bój, nie odstępuj go w nieszczęściu, ale ratuj tak, jak to niżej podano.

10. Jeżeli kto we wsi zachoruje, to koniecznie trzeba go oddzielić od innych zdrowych członków rodziny, albo odwożąc go do szpitala, albo przenosząc go do innej izby, albo pozostawiając go w izbie, w której zachorował i usuwając ztamtąd zdrowe osoby. Najlepiej wszakże odwieźć chorego do szpitala. Odwiedzenie chorych na cholera powinno być skasowane, przy chorym niech pozostanie tylko jedna osoba lub dwie do obsługi. Obsługujący chorych, ile razy wychodzi z izby chorego lub bierze się do jedzenia, za każdym razem powinien ręce nasmarować szarem mydłem i dobrze zmyć przegotowaną wodą, a potem twarz i usta, żeby nie przenieść zarazy na siebie lub innych. Odchody i wy-

miociny chorego natychmiast zalać równą ilością mleka wapianego lub zasypać proszkiem świeżo gaszonego wapna, a potem zakopywać w doły zdala od chaty.

11. Jeśli kto zachorował wkrótce po jedzeniu i wymiotuje tem, co zjadł, to daj mu ciepłej wody lub herbaty dla ułatwienia wymiotów; jeśli ma odbijanie, a brzuch go boli, daj mu łyżkę lub kieliszek oleju rycinowego, a potem cytrynę do ssania, na brzuch do rozgrzania połóż woreczek z popiołem, otrębami lub czemś innym; pod stopy włóż palone cegły, zawinięte w mokre szmaty. Jeśli chorego wciąż ciągnie do wymiotów, a wymiotować niema czem, to, aby stan ten przerwać, daj choremu mocnej kawy lub herbaty zupełnie zimnej, albo bardzo gorącej mięty, rumianku lub melisy, bo nie wszystkim jedno i to samo pomaga; dobra jest też gotowana woda gorąca z winem czerwonym pół na pół; gdy i to nie pomaga, a chory wciąż pić woła, daj mu wody zimnej, ale źródlanej lub z czystej, dobrej, bardzo głębokiej studni. Jeśli chory ma kurcze w nogach lub rękach, trzeba go mocno rozcierać ręką lub kawałkiem sukna, namoczonym w gorącym occie lub spirytusie tak długo, póki rozcierana część ciała nie zaczerwieni się. O każdym chorym trzeba zawiadomić soltysa, aby ten dał znać doktorowi, który dalsze leczenie zarządzić powinien.

12. W każdej wsi należy na czas cholery wybrać dom, lub jaki pusty budynek i przeznaczyć na kaplicę przedpogrzebową. Zmarłych na cholere nie trzymać w domu, a zaraz po umyciu i ubraniu przenieść do takiej kaplicy.

Po śmierci lub wyzdrowieniu chorego, a także po przeniesieniu go na inne miejsce, tę izbę, gdzie zachorował, należy oczyścić dla zniszczenia zarazy: słomę lub grochowsinę z pościeli spalić, ubranie, jakie miał na sobie, gotować w mocnym ługu (z popiołu) przez godzinę, a potem wyprać; łóżko i wszystkie inne sprzęty wyszorować mocnym gorącym ługiem, poczem ubranie, bieliznę, poduszki trzymać na słońcu w przewiewnym miejscu przez kilka dni; ściany i podłogę w izbie wybielić świeżo przyrządzonem wapnem, a po dwóch godzinach podłogę wyszorować gorącą wodą z szarym mydłem; do tak oczyszczonej izby wnieść sprzęty i przez dwa dni palić w piecu przy zamkniętych drzwiach i oknach. Zrobiwszy to, możesz śmiało napowrót zamieszkać oczyszczoną izbę.

Uwaga. 1) Zamiast mocnego ługu można użyć do bielizny, sprzętów drewnianych i podłogi chlorku wapna t. zw. bielido — kupić w aptece: pół funta chlorku zmieszać z 3 garncami zimnej wody, a po odstaniu zlać z wierzchu, uważając, aby kawałków nie było; w takim roztworze trzymaj bieliznę przez godzinę, a potem wypierz; tenże roztwór chlorku służyć może do mycia sprzętów, podłogi, a nawet rąk zawałanych.

2) Mleko wapienne do bielenia przygotowywa się takim sposobem: garniec wapna dobrze wypalonego polewa się po trochu wodą, póki całe wapno nie rozsypie się w pulchny proszek. Proszek ten miesza się z 4 garncami wody i zaraz używać na świeżo do bielenia izby.

Rady dla matek.

Co robić, aby zapobiedz chorobom nerwowym u dzieci,

napisał

dr. Stanisław Kopczyński.

Ciało ludzkie składa się ze skóry, mięsa, kości, mózgu i nerwów, — z narządów zmysłów (oczy, uszy, nos, język), — wreszcie z różnych wnętrzności (serce, płuca, kiszkę, wątroba, śledziona, nerki z pęcherzem, przyrządy płciowe). Każda z tych części ciała może podlegać różnym chorobom. Do najgorszych wszakże należą choroby mózgu i nerwów, czyli choroby nerwowe. Albowiem od zdrowia mózgu i nerwów zależy zdrowie wszystkich innych części ciała.

Choroby nerwowe wśród dzieci są niestety bardzo rozpowszechnione i matki powinny na to bacznie zwrócić uwagę. Przyczyny tych chorób nieraz tkwią w samych rodzicach. Tak np. dziecko, którego choć jedno z rodziców jest pijakiem, cierpi konwulsje lub miało chorobę umysłową, a także dziecko, poczęte w stanie upicia się którego z rodziców, może przyjść na świat jako głuptak czyli idjota, może od urodzenia cierpieć konwulsje lub dostać później choroby umysłowej. Również jeśli kobieta, znajdując się w stanie brzemiennym, pije mocne trunki (wódke, wino, piwo), doznaje gwałtownego przestrawienia lub silnych zmartwień, albo też zostanie uderzoną w brzuch, to dziecko, które się urodzi, przynosi ze sobą na świat skłonności do wymienionych powyżej chorób.

W celu zapobiegania chorobom nerwowym u dzieci matki powinny spełniać następujące przepisy:

1) Strzedz niemowlę od wypadnięcia z kołyski lub łóżka od upuszczenia z rąk, gdyż wstrząśnienie mózgu, spowodowane przez upadek, może wywołać u dziecka konwulsje, może być przyczyną głuchoniemoty, paraliżu i różnych chorób nerwowych.

2) Przez cały czas karmienia nie pić żadnych mocnych trunków (wódki, wina, piwa). Alkohol (spirytus) przechodzi bo-

wiem w pokarm, powodując u niemowląt bezsenność i różne nerwowe objawy.

3) Starać się, by dziecko należycie spało. Sen jest dla mózgu tem, czem pokarm dla całego ciała. Przyswajając niemowlę, by zasypiało bez kołysania. Nie usypiać go nigdy odurzającymi środkami, a zwłaszcza makowcem. Niemowlę powinno spać jak najwięcej. W drugim, trzecim i czwartym roku życia, dziecko powinno sypiać ze 2 godziny w ciągu dnia i 12 godzin w nocy. Od 5 do 10 roku życia dziecko powinno sypiać od godz. 8 wiecz. do godz. 7 rano.

4) Nie bawić zanadto niemowlęcia, co chwila zagadując do niego lub pokazując mu coraz to nowe przedmioty. Gdy poczyzna mówić, nie zadawać mu wciąż pytań. Najlepiej, gdy dziecko małe samo się bawi i gdy mówi, kiedy chce. Mózg dziecka i bez tego bardzo pracuje i szybko się męczy.

5) Pod żadnym pozorem dzieciom i młodzieży nie dawać trunków (wódki, wina, piwa). Alkohol (spirytus) dla dzieci jest silną trucizną. Mleczną lekką kawę i lekką herbatę starsze dzieci pijać niekiedy mogą. Najzdrowszy napój dla dzieci stanowią: woda i mleko. Dzieciom do lat dwóch najlepiej mięsa nie dawać.

6) Od pierwszego roku życia przyzwyczajać dzieci do trzymania podczas leżenia w łóżku rąk na kołdrze, a nie pod kołdrą. Zapobiega to nałogowi bawienia się częściami rodnemi, co bardzo źle wpływa na nerwy i na umysł dziecka.

7) Nie pozwalać dzieci straszyć, np. przez nagłe krzyknięcie, przez opowiadanie strasznych i okropnych rzeczy, a zwłaszcza przez przebieranie się i nakładanie dziwacznych masek. Przestraszone dzieci nieraz dostawały konwulsji, które męczyły je potem całe życie lub od tej pory stały się bardzo nerwowymi. Dziecko od najpierwszych miesięcy należy przyzwyczajać do znoszenia ciemności i samotności. Widowiska cyrkowe i tym podobne, ze względu na niezwykle, rażące umysł dziecka, widoki, są dla dzieci do lat 10 szkodliwe.

8) Nie dozwalać dzieciom znęcać się nad zwierzętami, gdyż to wytwarza w nich popędy i drażni ich nerwy.

9) W postępowaniu z dziećmi zachować dobroć, cierpliwość i wyrozumiałość. Nigdy dzieci nie bić i nie straszyć ich biciem.

10) W razie wystąpienia u dzieci objawów nerwowych (bezsenność, silny niepokój, konwulsje i t. p.), zwrócić się niezwłocznie do lekarza.

KROTKI PRZEBIEG Wojny Japońsko-Rosyjskiej w r. 1904-ym i 1905-ym.

Przez półtora roku — od lutego 1904-go roku do września 1905-go — cały świat z największym wyteżeniem i uwagą śledził za przebiegiem jednej z najkrwawszych wojen, jakie kiedykolwiek toczono na ziemi — wojny Rosji z Japonją.

U nas w kraju budziła ona z wielu względów niesłychane zajęcie — między innemi dlatego, bo na polach Mandżurji walczyły i ginęły dziesiątki tysięcy naszych ojców i braci, zarówno z poborowych, jak i z zapasu armji.

Na wieki wieków pamiętną będzie ta wielka wojna w historii; przez długie lata wspominać ją będą rodziny tych, których łaska Boska powróciła z tych krwawych zapasów, a jeszcze bardziej tych, których śmierć nieubłagana zabrała im na polach bitew, w szpitalach wojskowych i w falach morza.

Oto krótki przebieg tej wiekopomnej wojny.

Już w jesieni roku 1903-go wybuchł pomiędzy rządem japońskim a rosyjskim spór dyplomatyczny. Japonja, widząc coraz bardziej wzrastający wpływ rosyjski na Korei, zaprotestowała przeciw temu, twierdząc, że Koreja, na mocy blizkiego sąsiedztwa i praw odwiecznych, należy do krajów, które powinny podlegać wpływom japońskim, i że Japonja od praw tych nie odstąpi. Rząd japoński wystąpił z żądaniem, aby Rosja wycofała zupełnie swoje załogi i przedsiębiorstwa przemysłowe z Korei, oraz aby zwróciła Chinom Mandżurję, w której władza rosyjska od r. 1900 coraz silniej się gruntowała. Zaczęły się układy, prowadzone przez Japonję energicznie, przez Rosję obojętnie, niemal lekceważąco. Rosja zgadzała się na oddanie Korei, o ile trzy najważniejsze porty przyznane zostaną Rosji. Co do Mandżurji Rosja utrzymywała, że ta nie powinna obchodzić japończyków nie leży bowiem w granicy ich wpływów i interesów.

Spór zaostrzał się coraz bardziej, wreszcie świat dowiedział się ze zdziwieniem, że w dniu 7-ym lutego poseł japoński w Petersburgu zerwał z rządem rosyjskim stosunki dyplomatyczne i wyjechał. Nie wierzono początkowo, aby mała, słaba — jak ogólnie przypuszczano — Japonja chciała zmierzyć się orężnie ze swym olbrzymim sąsiadem.

Nagle, o północy z dnia 8-go na 9-ty lutego rozbrzmiewa pod Portem Artura huk armat. Był to atak niespodziewany torpedowców japońskich na flotę rosyjską. Zanim się spostrzeżono, co się stało, pancerniki rosyjskie „Retwizan“ i „Cesarzewicz“ oraz krążowiec „Pallada“ zostały poważnie uszkodzone,

skutkiem czego poważna eskadra port-arturska na pewien czas ujrzała się zmuszoną do bezczynności.

Wojna rozpoczęła się więc w chwili, gdy jeszcze w Europie szeroko rozprawiano, czy do niej dojść może. Początkowo jednak traktowano ją lekceważąco, nikt bowiem nie miał pojęcia o siłach, jakimi Japonia może rozporządzać. Tymczasem japończycy zaatakowali stojące w porcie koreańskim Czemułpo okręty rosyjskie: krążownik „Warjag” i kanonierkę „Korejec” i oba zmusili do zatopienia. Równocześnie zaczęło się pośpieszne wysyłanie wojska japońskiego, najpierw przez południowy port koreański Fuzan, następnie przez zachodni Czemułpo. Rosja ze swej strony mobilizowała pułki syberyjskie i dla utrudnienia japończykom wysadzania wojsk na ląd, zagroziła minami ujścia rzek Jalu i Lao. Jednocześnie Japończycy bombardowali bezustannie od morza Port-Artura.

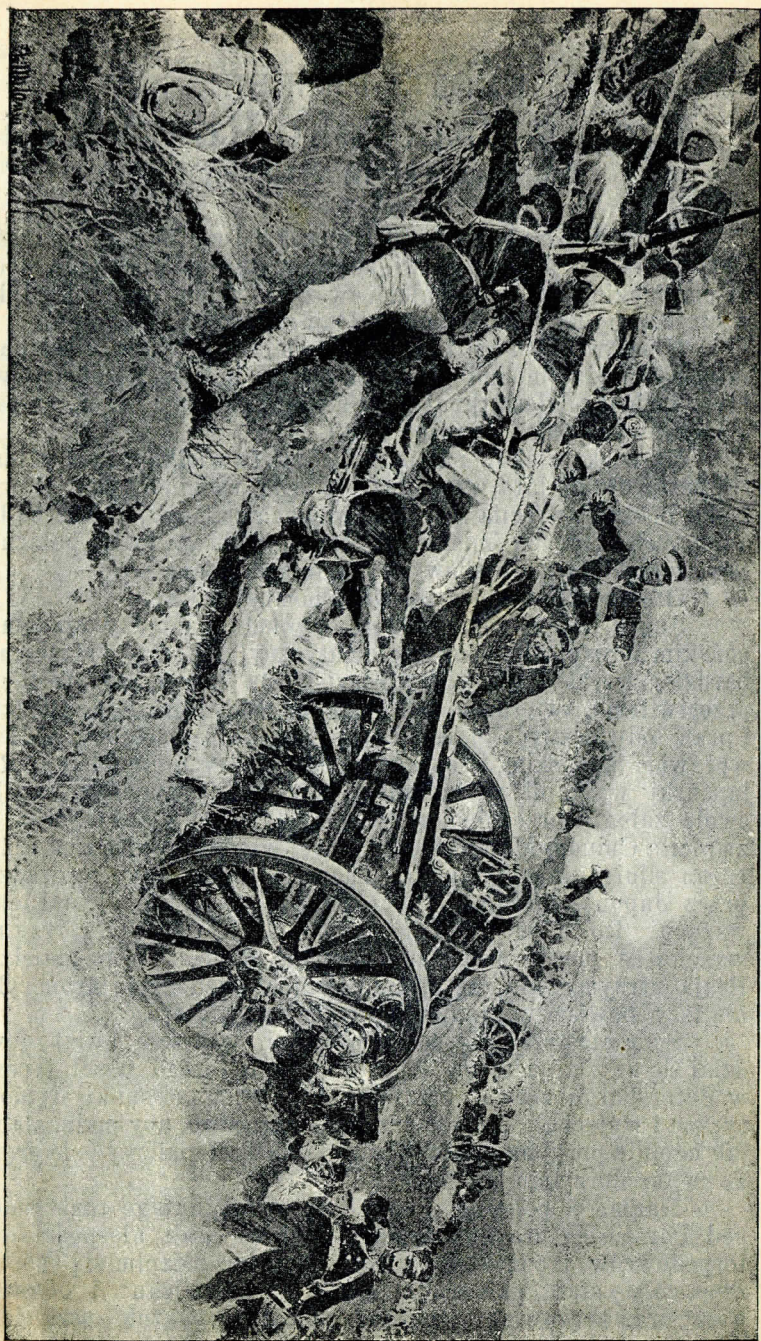
Dwa miesiące pierwsze minęły na przygotowaniach; japończycy posuwali się ku północy w Korei, pod wodzą generała Kuropatkin; rosjanie skupiali swe siły w Laojanie, gdzie dowództwo naczelne objął generał Kuropatkin. Drobne potyczki na drodze Mandaryńskiej, wiodącej od Seulu do Mandżurji, przerywały ciszę wojenną i znaczyły etapy posuwania się japończyków.

Pod Portem Artura tymczasem japończycy zagroźili minami przystań zewnętrzną, by utrudnić rosjanom wyjście okrętów. Na jedną z min natknął się pancernik rosyjski „Petro-pawłosk”, wyleciał w powietrze i zatonął wraz z admirałem Makarowem, kilkudziesięciu oficerami i całą załogą, złożoną z 600 ludzi.

Pierwszą bitwę większą na lądzie stoczono pod Kuljanczenem, nad rzeką Jalu, w dniu 1-ym maja. Była to pierwsza przegrana rosyjska; japończycy przekroczyli rzekę Jalu i weszli w granice Mandżurji.

Równocześnie na półwyspie Laotuńskim wylądowała druga armia japońska pod wodzą generała Oku, co skłoniło rosjan do opuszczenia Niuczwanu i cofnięcia się ku Laojanowi. Wkrótce potem pojawia się trzecia armia japońska, pod wodzą generała Nodzu na północnem wybrzeżu zatoki koreańskiej.

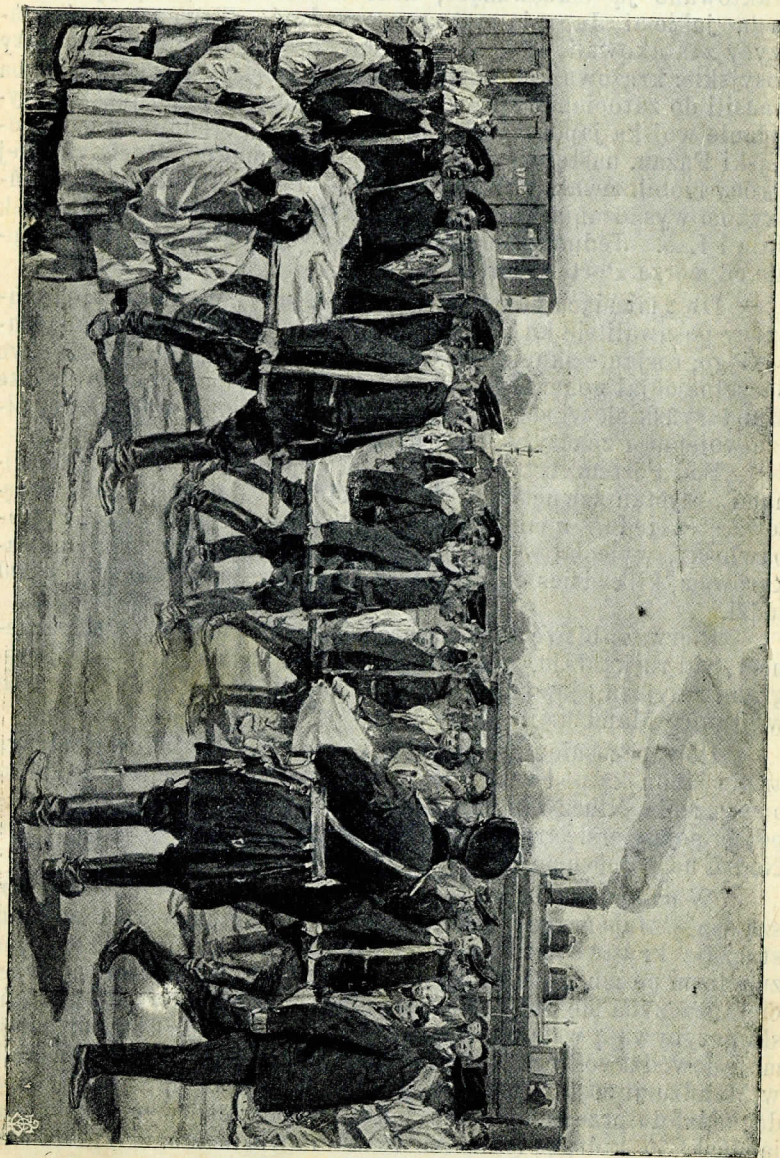
W połowie maja rozpoczynają się działania wojenne na szerzą skalę. Japończycy, chcąc odciąć Port Artura od strony lądu, staczają krwawe bitwy pod Kiuczou i Wafangou, zakończone zupełnie po ich stronie zwycięstwem. Kolej port-arturska przecięta; zaczyna się oblężenie Portu-Artura; na półwyspie Laotuńskim przybyszą wciąż nowe siły japońskie, nad którymi obejmuje dowództwo Nogi. Naczelnym kierownikiem wojsk japońskich w Mandżurji zostaje marszałek Ojama. Teraz dopiero Europa dochodzi do przekonania, że jakby z pod ziemi wyrósł olbrzym japoński, o którego istnieniu wcale nie wiedziiano. Widocznem



Wciąganie dział japońskich na wzgórze.

stało się, że bitwy pod Kuljanczenem, Kinczou, Wafangou były dopiero przygrzewką do dalszych wielkich wypadków.

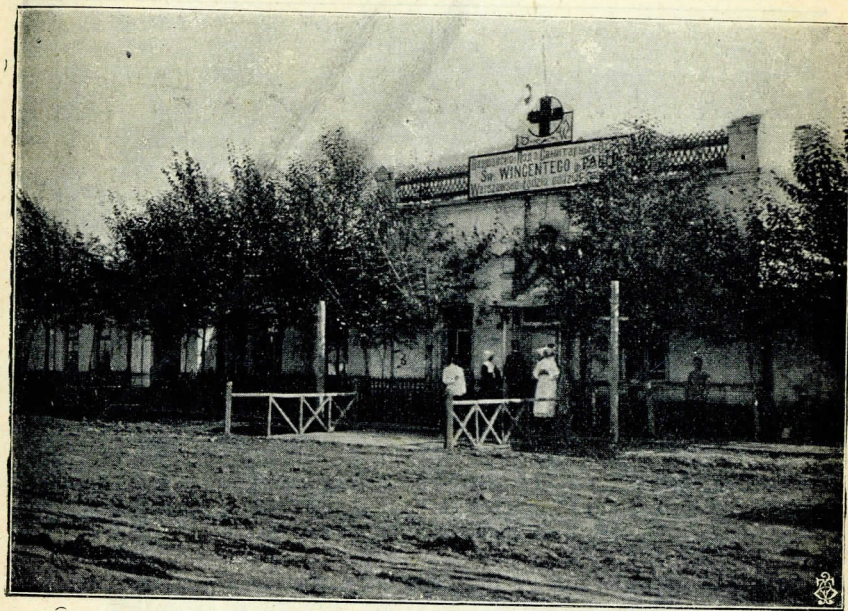
W czerwcu zaczęły się ruchy armji japońskiej, obliczone na wielkie rozmiary. Japończycy posuwają się powoli trzema ar-



Przenoszenie rannych.

miami ku północy, zakreślając wielki łuk dokoła armji rosyjskiej, czwartą zaś wysyłają ku Portowi Artura. Drobne utarczki znaczą ich pochód. Każdą miejscowość zajęta zamieniają w silną warownię, stającą się punktem oparcia. Pora deszczowa utrudnia działania wojenne, ale ich nie przerywa. Koło, zacieśniające Port Artura, zwęża się powoli, lecz stale.

W dniu 10-ym sierpnia eskadra Portu Artura, pod wodzą admirała Withefta, pragnąc wyjść ze swej roli bezczynnej i wydobyć się z pułapki, jaką już widocznie stał się port wspomniany, wyszła na pełne morze i stoczyła bitwę, trwającą kilka godzin. Wynikiem jej była śmierć admirała Withefta i rozbitcie floty rosyjskiej. Część jej pod wodzą admirała Uchtomskiego



Szpital Warszawsko-Łódzki św. Wincentego w Charbinie.

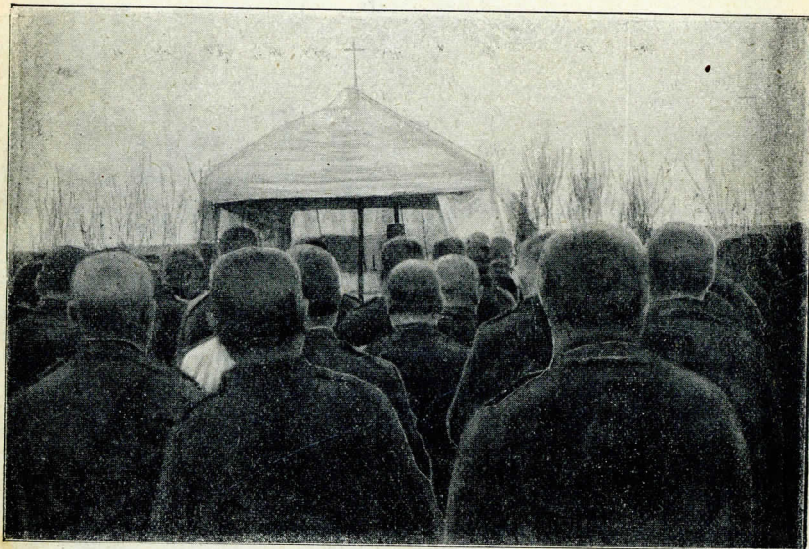
cofnęła się uszkodzona, do portu, reszta zaś schroniła się do portów neutralnych: w Szanghaju, w Kiaoczao i w Saigonie. Okręty te zostały rozbrojone. Prawie równocześnie eskadra wladwostocka stoczyła bitwę z eskadrą japońską Kamimury; wynikiem było zatopienie krążownika rosyjskiego „Ruryk“.

Tymczasem operacje lądowe doprowadziły do strasznej bitwy pod Laojanem, trwającej przez ośm dni, od 27 sierpnia do 4 września, w którym japończycy zajęli Laojan.

General Kuropatkin cofnął się ku północy, straciwszy około 30,000 wojska w zabitych i rannych. Obie armje stanęły w okolicach rzeki Szache i zajęły postawę wyczekującą.

W początkach października generał Kuropatkin przeszedł do akcji zaczepnej. Akcja ta doprowadziła do wielkiej bitwy nad rzeką Szache, trwającej dni jedenaście, zakończonej zwycięstwem japończyków. Rosjanie cofnęli się do Mukden.

W ciągu tego czasu z morza Bałtyckiego w połowie października wypłynęła eskadra rosyjska pod wodzą admirała Rożestwińskiego. Po drodze, na morzu Niemieckim, w dniu 23-im starła się z flotyllą rybacką angielską, co stało się przyczyną sporu z Anglią, załatwionego przez sąd rozjemczy.



Przed kaplicą katolicką w Mandżurji.

Listopad i grudzień minęły na mandżurskim placu boju stosunkowo dosyć spokojnie. Zato pod Portem Artura japończycy rozwinęli ożywioną działalność; szturm po szturmie postępował prawie nieprzerwanie. W dniu 1-ym grudnia japończycy, kosztem nadzwyczajnego wysiłku, zdobyli „Wysoką Górę“, straciwszy około 10,000 zabitych i rannych, ustawili na niej działa ciężkie i zaczęli bombardować okręty, przystań i bliższe forty.

Zaczęły się walki krwawe o każdy fort poszczególny. Port Artura poddał się w dniu 1 stycznia r. z. Przed poddaniem warowni rosjanie zatopili całą swoją stojącą tam eskadrę. Japończycy wzięli do niewoli około 30,000 ludzi.

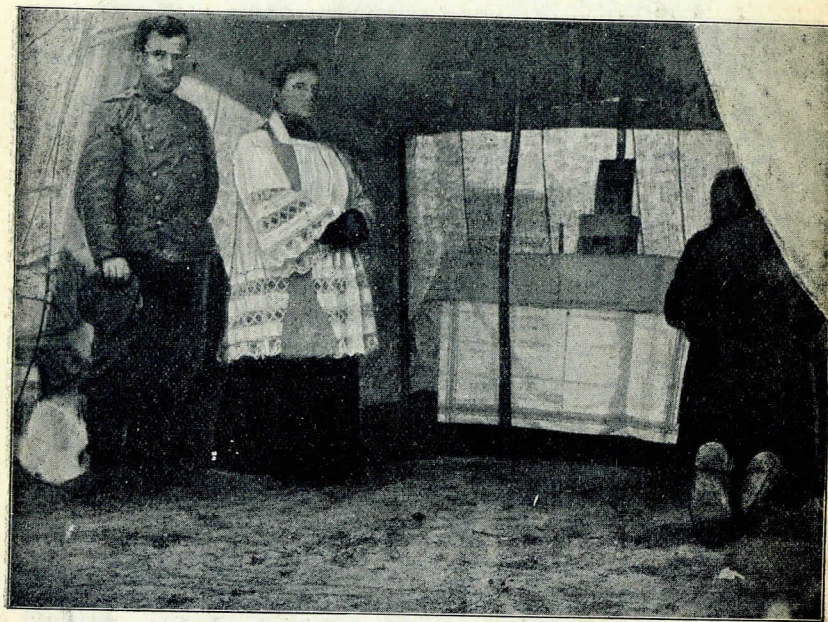
Upadek Portu Artura zdecydował o dalszych losach wojny lądowej.

Armia generała Nogi pośpiesznym marszem pociągnęła na północ, gdzie w końcu lutego doszło do bitwy pod Mukdenem, najstraszniejszej, najdłuższej, jaką zapisały kroniki wojenne. Trwała ona dwa tygodnie, a skończyła się zajęciem Mukden przez Ojamę w dniu 10 marca.

Rosjanie cofnęli się na północ, pozostawiając około 180,000 ludzi zabitych, rannych lub wziętych do niewoli.

Straty japońskie w zabitych i rannych doszły do 40,000.

Japończycy szybkim pochodem zajęli Tielin i posunęli się aż do Czantufu.



Wnętrze kaplicy katolickiej w Mandżurji.

Od bitwy pod Mukdenem na lądzie zapanowała względna cisza, przerywana tylko drobnymi potyczkami. Uwaga całego świata zwróciła się na morze, gdzie flota bałtycka, pod wodzą admirała Rożestwińskiego, miała rozstrzygnąć o dalszych losach wojny.

Po długim krążeniu, po połączeniu się z eskadrą pomocniczą admirała Niebogotowa, flota rosyjska wypłynęła w dniu 27-maja do zatoki koreańskiej, chcąc przedrzeć się tamtędy do Władywostoku. Pod wyspą Tsuszimą spadła na rosjan flota japoń-



Stawianie pomników poległym żołnierzom japońskim.

ska pod wodzą admirała Togo. W dwudniowym, najzaciętszym boju, jaki kiedykolwiek widziano, flota rosyjska została niemal doszczętnie zniszczona. Admirałowie, oficerowie, załogi albo zginęły, albo dostały się do niewoli. Utonęło 14,000 ludzi, około 5,000 przewieziono wraz z kilku zdobytymi pancernikami i krążownikami do Japonji. Z japońskich okrętów żaden większy nie zatonał.

Bitwa pod Tsuszimą uwieńczyła szereg zwycięstw japońskich, a zarazem nastąpiła prezydentowi Stanów Zjednoczonych sposobność do zaproponowania pokoju stronom walczącym. Wynikiem usiłowań Roosevelta były rokowania pokojowe, prowadzone w Portsmouth przez pełnomocników: Wittego — ze strony Rosji i Komury — ze strony Japonji. 29 sierpnia zawarto pokój.

Tak się skończyła wojna, jedna z najstraszniejszych, jakie dotychczas prowadzono. Po stronie rosyjskiej kosztowała ona około 250,000 w zabitych i rannych, około 100,000 wziętych do niewoli, tyluż wybyłych z szeregów z powodu chorób. Japończycy podają cyfrę około 180,000 w zabitych i rannych, około 80,000 wybyłych z szeregów skutkiem choroby i około 10,000 jeńców.



PRZYSŁOWIA.

Co masz na piśmie, to ci djabeł nie zliźnie.

Gdzie pracują, to chleb mają, gdzie próżniactwo, biedę znają.

Jeden cudzy grosz dziesięć swoich wyciąga.

Jedną ręką nie zwiążesz węzła.

Kto za młodu patrzy chłodu, ten na starość umrze z głodu.

Miłość bratnia silniejsza od kamiennych ścian.

Na śmierć nie pomoże pieniędzy ćwierć.

❖ ŻARTY. ❖

Dobroczynny.

- Panie, daj grosik na chleb, cały dzień nie jadłem.
- Nie mam czasu, dajcie mi pokój, śpieszę na posiedzenie do Towarzystwa dobroczynności.

Warszawscy żebracy.

- Taki maleńki i już zebrzesz?
- To dla ojca.
- A gdzie ojciec?
- Tu na rogu, siedzi w piwiarni.
- Proszę pani, ten ^{*} żebrak ^{*} prosi ^{*} chleba.
- Więc mu daj.
- Dawałam.
- Więc?
- Nie chce chleba.

Świeże jaja.

- A gdzie to Wojciechowa taką chmarę jajków niesie?
 - Albo to kuma nie wie, że za miesiąc letniaki przyjadą?
- Trzeba mieć dla nich kupę świeżych jajów!

Dobre grzyby.

- Te grzyby są niedobre, nie jedzcie ich, kobieto!
- A dyć nie jem, ino letniakom sprzedaję!

Z polowania.

- Cóż, wy podobno, Macieju, życie teraz z polowania.
- A tak, proszę łaski pana. Wielmożne panowie caszami człowieka podstrzelają, to i coś niecoś padnie na leki...

GRZECZNY ŻEBRAK.

- Znówescie przyszli i jeszcze z jakąś kobietą; toć nie dalej jak wczoraj dałam wam wsparcie.
- Widzi wielmożna pani, ja się wczoraj ożeniłem akurat i przychodzę przedstawić żonę.

CHATA.

A kiedy patrzę na dach słomiany,
Jak w przedwieczornej łunie się pali,
Na te omszałe, żywiczne ściany,
Pod jarzębiną pełną koralu;
Kiedy nad dachem bocian klekota,
A bór gdzieś szumi, a łąka rosi,
Gdy z starej lipy pszczołeczka złota,
Jak za piastowych czasów miód nosi;
Kiedy pod dębem siadają ojcowie,
Jak wiec pradawny, niebem nakryty,
Gdy dźwięk zamarły ozwie się w słowie,
Gdy się zabiela siermiężne świty;
Kiedy przy smolnym trzasku łuczywa,
Winie się nitka długa, ciągniona
Z siwych łnów naszych, het, ot jak żywa,
Na czarodziejskie baśni wrzeciona:
— Wtedy mi duszę rzewność oblata,
Czegoś mi tęskno i czegoś miło,
I mówię sobie: oto jest chata,
Z której nam wyszło wszystko, co było.

.....

A kiedy patrzę na dach słomiany,
Jak w jutrenkowe pali się zorze,
I widzę z berwion dębowych ściany,
Którym czerw serca wygrzyć nie może;
Gdy siewacz rzuca wiosenne ziarno,
Kiedy się runią ugór odziewa,
Gdy lemiesz skibę odwała czarną,
A oracz idzie i piosnkę śpiewa;
Gdy się skowronek w polu rozdzwoni,
Gdy po kurhanach zakwitną zioła,
Kiedy szum cichy idzie po błoni
A dzwon wioskowy na pacierz woła;
Gdy dziad beznogi dziwy powiada,
A dziatwa patrzy, a chłopię słucha,
Czy konie zarzą, czy wiatr zagada,
Czy pies zawietrzy blizkiego ducha;
Kiedy na pole, pod ranne rosy,
Kosiarze wyjdą, a brzękną w kosy,
I kiedy razem, całą gromadą
Z wielkim rozmachem łan zboża kładą:

— Wtedy nadzieja w pierś mi kołata,
Dumka się jakaś snuje a przędzie...
I mówię sobie: oto jest chata,
Z której nam wyjdzie wszystko, co będzie.

M. Konopnicka.



KOMU?

Temu tylko plug, a socha,
Kto tę czarną ziemię kocha,
Kto ten zagon zna do głębi,
Kogo rosa ta nie ziębi,
Kto rodzinnych swoich pól
Zna wymowę — łyż i ból!
Temu tylko ostra brona
Na kurhanach wyszczerbiona,
Kto ukochał lud w siermiedze,
Kto zna twardej doli nędze,
Kto wyciągnął, jako brat,
Dwoje ramion do tych chat!

Temu tylko kosa krzywa
Kto w przyszłości wierzy żniwa,
Kto po nocach cichych słucha
Przyjścia zorzy, tchnienia ducha,
Komu lemiesz — to dziś miecz...
A wy, zimni z pól tych — precz!



Przy najmie.

— Mój gospodarzu, wynajalbym to mieszkanie, ale pod warunkiem, iż nie będziecie prosiat puszczać pod okna.
— A to bez co?
— Ponieważ jest to niezdrowo.
— Et, co pan tam baje; prosięta od tyła czasu ryją pod oknami letników, a nigdy mi jeszcze nie słabowały!

Praktyczna niańka.

Pani. — Kasiu, a weźże termometr i zmierz, czy woda dla dziecka jest dobra?

Niańka. — Iii... po co tam jakieś tryjometry: jak dziecko się zaczerwieni, to woda za gorąca; a jak zsinieje, to za zimna!

Sroga kara.

Matka (do zbytującego Jasia). — Jak nie będziesz spokojny, to cię będę myła co rano bez cały tydzień!

W sądzie.

— Sznapsikowski! po raz szósty aresztowany za awanturowanie się po pijanemu. Co masz na swoją obronę?

— Chyba to, prześwieitny sądzie, że mnie te pięciokrotne areszty wcale nie poprawiły!

DOKĄD?

— Dokąd?
— Do biura! A ty?
— Do knajpy!
— Sam?
— Nie, z tobą!
— To chodźmy razem!

W SĄDZIE.

— Czy oskarżony przyznaje się do kradzieży zegarka.
— Owszem, przyznaję, panie sędzio, ale upraszam o uwzględnienie okoliczności łagodzącej...
— Jakaż to?
— To był zegarek damski... nadzwyczaj malutki...

W sklepie.

— Czy nie ma pan kupiec jakiego dobrego środka przeciwko muchom.
— Owszem, proszę pani, mam doskonały „lep na muchy.“
— A jak się go używa?
— Trzeba miejsca, gdzie muchy najczęściej siadają, posmarować tym lepem, a każda zaraz przylgnie...
— Najwięcej siadają mi na twarzy.
— To twarz wysmarować, proszę pani, a skutek pewny...



Jaskółka.

Z za morza powraca!.. ach leci tu, leci
Jaskółka pod strzechę pod naszą...
A cichoż ty, bosa gromadko! sza, dzieci!
Bo krzyki ptaszynę wystraszą...
Ach leci, ach leci! powraca zza morza
Do naszej wioskowej zagrody
I czarnem skrzydełkiem pozdrawia rozdroża
I łąki, i pola, i wody.

* * *
— Witajcie! tak do was tęskniłam z oddali!
Dziś wracam z piosenką radosną...
Cóż słyhać nowego? Czy zdrowi? czy cali?
Czy żyją staruszki, jak jabłoń zsiwiali?
A Kasie, Maciusie czy rosną?
Ach cóż to? te same, jak widzę kłopoty,
I bieda, jak przed laty!
Na drogach kałuże, wyboje, wywroty,
Podwórka nie strzegą ni drzewa, ni płoty,
I dach się zapada garbaty...
Przez strzechę zamszałą deszcz w chatę przecieka,
A ściany się krzywią i paczą,
Jakgdyby nie były siedzibą człowieka,
Co ziemię tę potem uprawia od wieka,
Lecz nędzną gospodą tułaczą.
Na twarzach zniekanie, i niechęć, i troski,
Na ustach piosenka niedoli,
A dzieci wzrastają jak płonne te kłoski
Na dzikim ugorze zbujają wśród wioski,
Bez myśli, bez czynu, bez woli.
Stęskniona leciałam przez morze z nadzieją
Wiosennych błękitów i słońca,
Lecz tutaj błękity nad wioską ciemnieją
I wichry lodowe czatują z zawieją,
Tu zima i zima bez końca...
Czyż mi tak co wiosna trzepotać napróżno
U okien skrzydłami czarnemi?
I kiedyż wybiegną ptaszynę podrózną
Wieściami powitać dobreimi?
I kiedyż gniazdeczko pisklętom uwinę

Pod strzechą szczęśliwą wieśniaczą?
I kiedyż tu światłem ubogą dziecinę,
Jak chryzmem na życie naznaczą?
O słońko świeć jaśniej, bo ziemia zakrzepła
Rozbudzić się ze snu nie może...
O, więcej dać światła, i więcej daj ciepła,
I rosy ożywczej, o Boże!

M. Konopnicka.



Westchnienie wychodźcy.

Darmo błędzę oczyma,
Mokrą mrugam powieką,
Mojej wioski tu niema,
Ach, daleko, daleko!
Skąd te chmury tu płyną?
I skąd wietrzyk ten wieje?
Tam nad piękną krainą
Piękniej słońce jaśnieje.
Jak minione dni moje,
Kwitnie niwa tam cicha,
Czystsze niebo i zdroje,
Wonnej kwiatek oddycha.
Poza chatą na prawo
Jest gaj piękny i dziki,

Tam źródło bieży murawą,
W drobne dźwięczy kamyki.
Wyżej góra na lewo,
I krzyż na niej złamany,
A za krzyżem tuż drzewo,
A na drzewie bociany.
Jakże ziemia ta wszystka,
Jak w zwierciadle odbita,
Od księżyca do listka
W mej pamięci rozświta.
Widzę jasne te łąny,
Jak się wonią i kwitną,
A poranek rumiany
Płoni wodę błękitną.



Kochająca matka.

— Czy pani Maciejowa kocha swego syna?
— Niezmiernie.
— To dlaczego go pani ciągle tłucze?
— A kogoż będę tłukła, jak nie tego, którego kocham?
Przecież obcy się nie da!

ZAGADKI.

Moje miłe siostry mają nosek ostry;
W każdą dziurkę wlezie, flak za sobą wiezie.

Dwa chlewiki o jednym słupku.

Pełny chlewiczek białych cieliczek,
A między niemi czerwony byczek.

Oczterej rzeźnicy zabili krowę, z której był wóz flaków,
nóg drugi, głów trzeci — gadaj, czego najwięcej?

Czerwony koral białą rolę orał, gęsią włóczył, czarnym
makiem siał, wiedział jak się zwał.

Ułatane, upłatane, choć igła w nim nie powstała.

Co po śmierci pięknego?

Po czym lezie nędza do wsi?

Po odłogu, gdy nie zasiewają.

Jedna baba miała 12 córek, a te córki miały po 4 córki,
a te 4 córki miały po 6 synów.
(Rok ma 12 miesięcy, miesiąc 4 tygodnie, tydzień 6 dni)

W jednej becze dwa trunki,
a w niej niema dziurki.

Pełna stajnia tłustych koni,
przyjdzie suchy i wygoni.

Dwie dziurawe płachty po polu latają.

Żeby ojciec kazał, matka także, stryj dopomógł, ciotka
wsparała, ludzie chcieli, chłopcy wzięli, tobym za mąż poszła.

Kto choruje na pana, umiera na gałgana.

